SZUKAJ WYDANIA Z FILMEM FABULARNYM „WYKLĘTY”

NR 3(73)/2019 MARZEC 2019

CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

# HISTORIA

DO RZECZY MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

## Duma polskiej floty

# PODWODNE DRAPIEŻNIKI

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296031
9 772299 951509 03 >

eprasa.pl cdf2d61de1

## DZIECI HITLERA

### Czy można być żarliwym nazistą i troskliwym ojcem?

Jak to jest być dzieckiem zbrodniarza, który przyczynił się do śmierci milionów ludzi? Jak żyć z nazwiskiem, które jest synonimem największego zła? Czy można kochać kata?

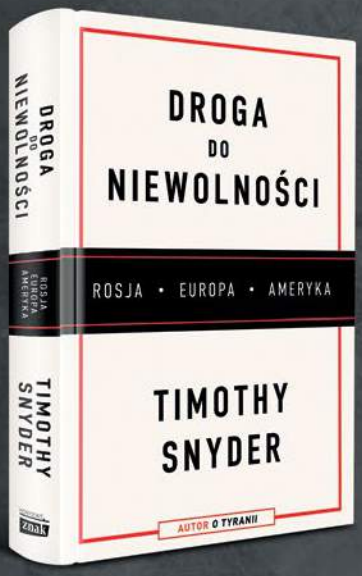


## DROGA DO NIEWOLNOŚCI

Wierzyliśmy, że koniec zimnej wojny przyniesie ostateczne zwycięstwo demokracji i zapewni wolność przyszłym pokoleniom. Byliśmy naiwni.

Dzięki doskonałej analizie zarówno współczesności, jak i historii Timothy Snyder przejrzyście uświadamia, dokąd zmierzamy: ku wolności czy oligarchii, ku indywidualizmowi czy totalitaryzmowi, ku prawdzie czy fałszowi.

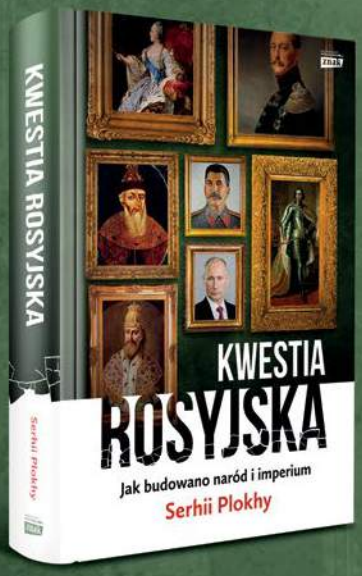


## KWESTIA ROSYJSKA

### Czy Rosja przeobrazi się w nowoczesne państwo narodowe?

Gdzie zaczyna się i kończy Rosja? Czy jej dzisiejsze granice polityczne pokrywają się z granicami ambicji Władimira Putina? Zagadnienie rosyjskiej tożsamości decyduje o wojnie i pokoju na wschodnich rubieżach Europy – i będzie o nich decydować jeszcze przez wiele pokoleń.

eprasa.pl cdf2d61de1

HISTORIA DO RZECZY

**ADRES: HISTORIA DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
*tel.:* +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
*e-mail:* historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: Marcin Bartnicki

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

**REDAKCJA:**
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

**Z ZESPOŁEM:**
Redaktorzy: **Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Marcin Bartnicki, Piotr Włoczyk**
Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

**PORTAL DORZECZY.PL** redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress)
Współpraca: **Magdalena Złotnicka** (także TVP Warszawa), **Marek Budzisz**

**WYDAWCA:**
**Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
*tel.:* +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu spółka Orle Pióro wchodzi w skład grupy kapitałowej PMPG SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd spółki Orle Pióro:
**Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki**

**BIURO REKLAMY:** +48 22 347 50 10
reklama@dorzeczy.pl

**PUBLIC RELATIONS:**
pr@point-group.pl

**DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:**
**Adam Borzęcki** (kolportaż),
**Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

**ISSN 2299-9515**
**Nr indeksu nakładu podstawowego 296031**
**Nr indeksu nakładu z filmem 297887**

**PRENUMERATA:**
**Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

## Ze starych klisz / Gdynia, 11 lipca 1937 r.

Prezydent Ignacy Mościcki i dowództwo Marynarki Wojennnej na pokładzie ORP „Mazur" podczas Święta Morza

FOT. NAC

## Od redaktora

*Piotr Zychowicz*

# Chwała podwodniakom

Każde polskie dziecko wie o naszych rycerzach przestworzy. Pilotach myśliwców – na czele z lotnikami legendarnego Dywizjonu 303 – którzy podczas II wojny światowej toczyli podniebne pojedynki z wrogami z Luftwaffe. Powstają o nich wysokobudżetowe filmy, seriale i niezliczona ilość popularyzatorskich książek oraz artykułów. A nawet poświęcone im koszulki.

Znacznie mniej znani są nasi podwodniacy. Oficerowie i marynarze polskich okrętów podwodnych. Ich przygody i dokonania w niczym nie ustępują zaś przygodom i dokonaniom lotników. Tyle że ich scenerią nie były rozświetlone słońcem podniebne przestworza, ale zimna, ponura głębia mórz i oceanów.

Bitwy morskie, polowanie na U-Booty, dramatyczne pościgi i ucieczki. Ochrona konwojów i ryzykowne przeprawy przez pola minowe. Wszystko to w sytuacji gigantycznego stresu i napięcia nerwowego. Wystarczył bowiem jeden pocisk przeciwnika lub usterka techniczna, aby okręt podwodny znalazł się na dnie i na zawsze zamienił w głuchy, milczący grobowiec swojej załogi. W takiej sytuacji marynarzy czekało długie, straszliwe konanie w samotności.

Mimo tego ryzyka polscy podwodniacy przez całą wojnę toczyli heroiczne, zacięte boje z Niemcami. Zadawali śmierć i sami ginęli. Wierząc, że ich poświęcenie i ofiara otworzą drogę do niepodległej Polski. Jak wiemy, niestety tak się nie stało. II wojna światowa skończyła się dla Polaków klęską i wielkim rozczarowaniem. Alianci, którzy tak chętnie szafowali polską krwią, na koniec bez mrugnięcia okiem sprzedali nas Stalinowi.

Ta katastrofa nie przekreśla jednak bohaterstwa marynarzy naszych okrętów podwodnych, którym dedykujemy to wydanie „Historii Do Rzeczy".

PS Dziękuję bardzo panu Mariuszowi Borowiakowi – wybitnemu znawcy dziejów polskiej Marynarki Wojennej – za udzieloną nam wielką pomoc. Jest pan niezastąpiony! ©℗



eprasa.pl cdf2d61de1

## / TEMAT NUMERU


.8 MARIUSZ BOROWIAK
**Podwodne drapieżniki**

.12 TOMASZ STAŃCZYK
**„Straszne bliźniaki" na Morzu Śródziemnym**

.16 MARCIN BARTNICKI
**„Wilk" – okręt przeklęty**

.20 TIMMY GAMBIN
**W poszukiwaniu wraków**


## / CZASY I LUDZIE


.24 JAKUB OSTROMĘCKI
**Królowa Margot**

.29 PIOTR SEMKA
**Wrocławski wszechświat**

.32 SŁAWOMIR KOPER
**Błędy akcji na Kutscherę**

.36 MIKOŁAJ IWANOW
**Tajemnica śmierci Berii**

.40 GERALD POSNER
**Dzieci brunatnych potworów**

.44 PIOTR ZYCHOWICZ
**Afera Hotelu Polskiego**

.48 MACIEJ ROSALAK
**Jak Brytania stała się wyspą**

.52 PIOTR KOSMALA
**Budrecki: wielki umysł i mała kolaboracja**

.55 ŁUKASZ CZARNECKI
**Cesarzowe modliszki**

.58 ARKADIUSZ KARBOWIAK
**Litwini przeciw „czerwonej zarazie"**

.62 MARIAN ZACHARSKI
**MINOX – marzenie szpiegów**

.66 MAREK GAŁĘZOWSKI
**Wojna generałów**


## / CO CZYTAĆ


.70 KRZYSZTOF MASŁOŃ
**Wierność prawdzie Jana Józefa Szczepańskiego**


## / FELIETONY


.78 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
**Sąd nad żołnierzem**




eprasa.pl cdf2d61de1

.79 PIOTR SEMKA
**Kruty – ukraińskie Termopile**

.99 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
**Na odejście Pana Premiera**

/ TECHNIKA

.80 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
**Czas letni**

/ KRESY

.79 TOMASZ STAŃCZYK
**Królowie we Lwowie**

/ BATALIE I WODZOWIE

.84 MACIEJ ROSALAK
**Bitwa pod Lipanami**

/ KOMIKS

.91 **Poniatowski pod Raszynem**

REKLAMA

REBIS

DERMOT TURING
XYZ
PRAWDZIWA HISTORIA ZŁAMANIA SZYFRU ENIGMY

PRAWDZIWA HISTORIA ZŁAMANIA SZYFRU ENIGMY

NICK REDFERN
Tajemna historia świata
Teorie spiskowe od „starożytnych wizyt obcych" po „nowy ład światowy"

TEORIE SPISKOWE OD „STAROŻYTNYCH WIZYT OBCYCH" PO „NOWY ŁAD ŚWIATOWY"

GERAINT JONES
KRWAWY LAS
Powieść łącząca emocje *Gladiatora* Ridleya Scotta z autentyzmem *Plutonu* Oliviera Stone'a

POWIEŚĆ ŁĄCZĄCA EMOCJE *GLADIATORA* RIDLEYA SCOTTA Z AUTENTYZMEM *PLUTONU* OLIVIERA STONE'A

REBIS Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
www.rebis.com.pl FB/REBIS



epresa.pl cdf2d61de1

Wywiad / Z Mariuszem Borowiakiem, autorem książki „Stalowe drapieżniki. Polskie okręty podwodne 1926–1947”

*rozmawia Piotr Włoczyk*

# Podwodne drapieżniki

**Załogi polskich okrętów biły się po rycersku, atak z ukrycia był dla nich nie do pomyślenia**

eprasa.pl cdf2001

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI



eprasa.pl

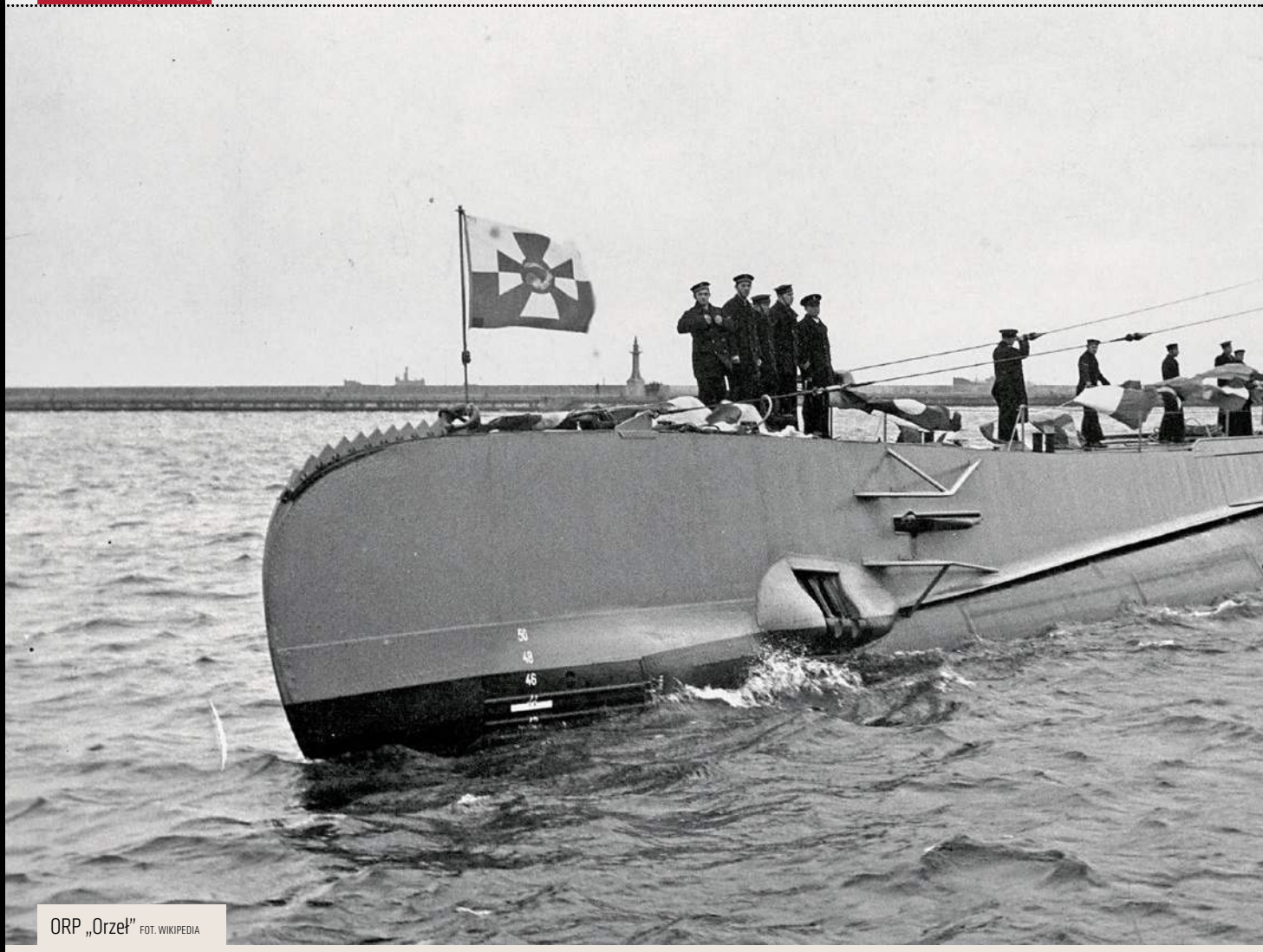

ORP „Orzeł" FOT. WIKIPEDIA

**PIOTR WŁOCZYK: Co się działo na pokładach polskich okrętów podwodnych na początku września 1939 r.?**

**MARIUSZ BOROWIAK:** Załogi tych jednostek przeżywały wtedy prawdziwą gehennę. Pięć naszych okrętów podwodnych było cały czas tropionych i atakowanych z morza oraz z powietrza. Nasze okręty na Bałtyku prawie cały czas były pod wodą, tylko nocą wypływały na powierzchnię w celu przewietrzenia i naładowania akumulatorów. Ukryć się było o tyle trudno, że z powietrza doskonale widać było smugi oleju. W takich warunkach trudno nawiązać walkę.

**Które momenty były najcięższe?**

Szczególnie obciążające psychicznie dla załóg były ataki z użyciem bomb głębinowych. Polacy mogli tylko czekać, czy kolejna bomba rozerwie kadłub ich okrętu. Co ciekawe, dowódcy niemieckich U-Bootów twierdzili, że unicestwili polską flotę podwodną. Podchwyciła to zresztą propaganda III Rzeszy, która otwarcie głosiła takie rewelacje.

**Szybko jednak się okazało, że Polacy, wydawałoby się wbrew logice, przetrwali.**

Tak i dlatego myślę, że możemy tu mówić o dużym sukcesie. To, że wszystkie pięć okrętów podwodnych przetrwało, było w tamtych okolicznościach naprawdę sporym wyczynem.

**Nasi podwodniacy nie mieli we wrześniu 1939 r. żadnej okazji do ataku?**

W tamtych warunkach nie dało się walczyć. Zresztą w przedwojennych rozkazach dowództwa floty było jasno powiedziane, że nasze okręty mogą zatapiać jednostki od niszczyciela w górę. Chodziło o unikanie niepotrzebnego ryzyka. A jeżeli już nasz okręt spotkałby w sprzyjających okolicznościach np. duży transportowiec, to nasza jednostka była zobowiązana do wypłynięcia na powierzchnię i zmuszenia wroga do zatrzymania. Nie było mowy o ataku z ukrycia, co tym bardziej utrudniało atak.

**Piękny, rycerski wręcz etos, tylko zupełnie nieprzystający do realiów tamtej wojny...**

Zgadza się. Co ciekawe, nawet gdy „Orzeł" zatapiał w kwietniu 1940 r. niemiecki transportowiec „Rio de Janeiro", nie był to atak w stylu U-Boota. „Orzeł" wynurzył się, kazał „Rio de Janeiro" zastopować maszyny i dopiero gdy Niemcy zaczęli „kombinować" i wzywać pomocy, nasz okręt przystąpił do ataku i zatopił niemiecki statek. Przypomnijmy, że wojna trwała już osiem miesięcy, a nasi podwodniacy wciąż walczyli po rycersku…

**Wróćmy do września 1939 r. Jak te okręty miały być wykorzystane? Polska Marynarka Wojenna była w końcu zaprojektowana głównie do walki z sowieckimi okrętami.**



eprasa.pl cdf2d61de1

Dysponowaliśmy wówczas trzema podwodnymi stawiaczami min – „Rysiem", „Wilkiem" i „Żbikiem" – oraz dwoma oceanicznymi okrętami podwodnymi „Orzeł" i „Sęp". Te dwie ostatnie jednostki tak naprawdę nie do końca nadawały się do operowania na Bałtyku, który jest przecież płytkim morzem. To były 85-metrowe kolosy, o wyporności 1,5 tys. ton. Należały do najnowocześniejszych jednostek w Europie.

**Do dziś wiele osób nie przestaje się temu dziwić. Po co nam były oceaniczne okręty?**

Powodem było podejście starszej kadry oficerskiej II RP, przyzwyczajonej do realiów marynarek państw zaborczych, w których nie brakowało dużych jednostek. Chcieliśmy trochę doszlusować do największych w Europie. W przypadku wojny z ZSRS „Orzeł" i „Sęp" miały polować na sowieckie okręty wychodzące z baz na Bałtyku, z kolei podwodne stawiacze min miały postawić zagrody minowe w Zatoce Fińskiej.

Najważniejszą rolę miał jednak w operacji minowania odegrać „Gryf", nasz okręt flagowy, który mógł zabrać na pokład prawie 600 min. Była to jednak wolna jednostka, więc liczono się z tym, że to może być jedyna misja tego okrętu.

**O ile w starciu z Niemcami na lądzie można było mieć jakieś nadzieje, o tyle w walce na morzu staliśmy na straconej pozycji?**

Niestety tak. Początkowo nasze okręty miały minować odległy rejon Morza Bałtyckiego, ale w 1939 r. opracowano plan zagrodzenia minami naszych własnych baz w Zatoce Gdańskiej i na Helu.

**Mówimy o planie „Worek".**

Plan ten przygotowany został przez kmdr. Aleksandra Mohuczego za przyzwoleniem adm. Józefa Unruga, dowódcy floty. Do jego realizacji wyznaczono trzy podwodne stawiacze min. Gdy 1 września nasze okręty udały się do swoich sektorów wokół Półwyspu Helskiego, przystępowały do wojny z obniżoną gotowością bojową. Po prostu nie dysponowały maksymalnym zapasem min morskich – do 40 sztuk. Dowództwo zakładało, że wszystkie te okręty powtórnie pobiorą z bazy po 20 min i dokończą operację. Sytuacja na morzu, przewaga Kriegsmarine, pokrzyżowała jednak nasze plany.

Plan „Worek" został zrealizowany połowicznie. „Wilk" postawił 20 min kilkanaście kilometrów na północ od Jastarni. Z kolei „Ryś" postawił tylko 10 min z uwagi na obecność w wyznaczonym rejonie okrętów nieprzyjaciela. Więcej szczęścia miał „Żbik", który rozmieścił 20 min kilka kilometrów od Jastarni. Okazuje się, że na jedną z nich wszedł 1 października 1939 r. niemiecki trałowiec M-85, już po przerwaniu walk na Helu. Jak widać, sporo brakowało do pełnej realizacji planu.

**Równocześnie okręty nawodne miały zrealizować plan „Rurka".**

Zrobić to miały stawiacz min „Gryf" i trałowce przy wsparciu niszczyciela „Wicher". „Gryf" był największym okrętem bojowym II RP. To była namiastka krążownika. Oddany w 1938 r. „Gryf" stawiał miny, był jednostką flagową, szkolił podchorążych, był to po prostu nasz omnibus. Jednak jego dowódca, bez wcześniejszego uzgodnienia z dowódcą floty, zbyt szybko podjął decyzję o wyrzuceniu nieuzbrojonych min do wody. Od tego momentu zrealizowanie operacji „Rurka" nie było już możliwe.

**Polskie siły podwodne cudem ocalały we wrześniu 1939 r., ale reszta floty nie miała niestety tyle szczęścia.**

Polska marynarka nawodna na Bałtyku przestała istnieć już 3 września. Tego dnia zostały bowiem zatopione „Gryf" i niszczyciel „Wicher". Z kolei nasze trzy inne niszczyciele były już w Wielkiej Brytanii, bo adm. Józef Unrug zdawał sobie sprawę, że ewakuacja była dla nich jedynym ratunkiem. Po 3 września dysponowaliśmy na Bałtyku już tylko małymi jednostkami – trałowcami i kanonierkami, które były bezsilne bez wsparcia reszty floty.

Reasumując, plan „Rurka" realizowany przez jednostki nawodne nie został wykonany, natomiast plan „Worek" został przeprowadzony tylko częściowo. Szczęściem w nieszczęściu było to, że polscy podwodniacy, mimo nieustającego tropienia i ataków, nie dali Niemcom zatopić ani jednego okrętu. W ten sposób „Wilk" i „Orzeł" dotarły do Wielkiej Brytanii, a trzy okręty podwodne – „Ryś", „Żbik" i ogromny „Sęp" – udały się do Szwecji, gdzie zostały internowane do końca wojny.

Nasze okręty podwodne działały tak długo, jak można było działać. Żadna z załóg nie chciała kapitulować i oddawać okrętu w ręce wroga. Decyzje o internowaniu były trudne, bo załogi nie były jednomyślne w tej sprawie.

**Co się stało z dowódcą „Orła" w pierwszych dniach wojny?**

To wielka tajemnica i ciężko wydać tu jednoznaczny werdykt. Pamiętajmy, że ten oficer cieszył się przed wojną mianem najlepszego podwodniaka. Wiele wskazuje jednak na to, że objawy, które zgłaszał kmdr Henryk Kłoczkowski, były symulowaniem choroby – tak widziała tę sprawę część oficerów i podoficerów z „Orła".



eprasa.pl cdf2d61de1

Widać bowiem niemal od początku, że chciał on jak najszybciej dać się internować. To wprowadziło bardzo złą atmosferę na okręcie. Od samego początku na „Orle" dochodziło do dużych zgrzytów między Kłoczkowskim a jego zastępcą kpt. Janem Grudzińskim.

**Podobno kmdr Kłoczkowski po wpłynięciu do portu w Tallinie nagle dostał olbrzymiego zastrzyku energii...**

A następnie bardzo szybko wyszedł ze szpitala... Gdy Estonię zajął Związek Sowiecki i Kłoczkowski trafił do obozu, nie cieszył się wśród polskich jeńców poważaniem. Uważano go za tchórza, wręcz zdrajcę, który „sprzedał" się Rosji. Nie ma na to jednak żadnych twardych dowodów, to tylko opinie jego kolegów. Kiedy Kłoczkowski, po wyjściu z Rosji sowieckiej z armią Andersa, chciał wrócić do polskiej Marynarki Wojennej, usłyszał od adm. Jerzego Świrskiego zdecydowane „nie".

**Jaką stawia pan hipotezę w sprawie zachowania kmdr. Kłoczkowskiego?**

Myślę, że ten wybitny podwodniak czasów pokoju po prostu załamał się psychicznie w czasie wojny. Symulował chorobę, bo chciał się jak najszybciej znaleźć w niewoli.

**Nie takie mamy wyobrażenie o naszych podwodniakach...**

Kłoczkowski okrył się złą sławą, ale nie zapominajmy o oficerach „Orła" z drugiego szeregu. Ci podwodniacy jak najbardziej sprostali wyzwaniu, o czym świadczy zresztą udana ucieczka z Tallina.

**Plan na przedarcie się przez cieśninę Sund musiał brzmieć dla części załogi jak samobójstwo.**

Dokładnie tak. Te wody były pilnowane przez niemieckie okręty nawodne i podwodne. W pewnym sensie przedarcie się do Wielkiej Brytanii było więc misją samobójczą. Dlatego adm. Unrug nie naciskał i dawał dowódcom okrętów podwodnych alternatywę: Szwecja albo Wielka Brytania.

Estończycy zabrali z „Orła" mapy, ale nasi oficerowie byli na tyle dobrzy, że potrafili z atlasu szkolnego wykreślić drogę do Wielkiej Brytanii. Jednak nie da się powiedzieć, że wszyscy chcieli uciekać. Na okręcie były dwa obozy. Pierwszy to grupa wciąż lojalna wobec Kłoczkowskiego, która chciała pozostać w Tallinie. Druga grupa to marynarze skupieni wokół zastępcy Kłoczkowskiego, kpt. Grudzińskiego. Ten ostatni wykazał się nie lada zdolnościami, bo przekonanie załogi do ucieczki nie było łatwe. Ci, którzy nie mieli rodzin, bardzo chcieli płynąć do Wielkiej Brytanii, jednak ci, którzy mieli rodziny, byli bardziej sceptyczni.

**„Orła" wyprzedził o kilka dni „Wilk". Jak wyglądało przyjęcie w Wielkiej Brytanii?**

To był dla Brytyjczyków szok, że oto polski okręt podwodny przedarł się przez teren tak dobrze kontrolowany przez Niemców. To się Brytyjczykom nie mieściło w głowach! Jednak przez kilka tygodni nie upubliczniano informacji, że Polakom udało się uciec. Dowództwo Royal Navy poprosiło o dyskrecję. Dopiero w październiku 1939 r. zrobiono wielki show, włącznie z późniejszą wizytą pary królewskiej. Polska Marynarka Wojenna w Wielkiej Brytanii liczyła więc trzy niszczyciele i dwa okręty podwodne.

**Nie było szans, żeby jednostki internowane w Szwecji poszły w ślady „Orła"?**

Były takie pomysły. W kwietniu 1940 r. został wysłany w tajnej misji do Szwecji dowódca „Wilka". Kapitan Bogusław Krawczyk miał spróbować wysondować, czy jest to realne. Brytyjczykom jednak bardzo się to nie podobało. Byłby to bowiem doskonały pretekst dla Niemców, żeby zająć Szwecję. Dlatego Londyn postawił weto i Krawczyk musiał przerwać swoją misję.

W ten sposób załogi pozostały do końca wojny w Szwecji. Polacy dostali tam pracę m.in. w hutach i przy wyrębie lasu, a spora część marynarzy pozakładała rodziny. Dla załóg tych trzech okrętów wojna skończyła się we wrześniu 1939 r. Rozmawiałem z niektórymi z tych marynarzy. Ci ludzie raczej nie chcieli już walczyć, próbowali sobie zorganizować życie w Szwecji. Tylko nieliczni pod sam koniec wojny przedostali się do polskich sił zbrojnych w Wielkiej Brytanii.

Książki Mariusza Borowiaka poświęcone okrętom podwodnym

**Jak wyglądała służba polskich podwodniaków pod dowództwem Royal Navy?**

Początek nie był najlepszy. Pierwszy znaczący sukces to zatopienie przez „Orła" niemieckiego transportowca „Rio de Janeiro" w przededniu napaści na Danię i Norwegię. Kolejne patrole były jednak bezowocne. Niemcy dobrze się pilnowali, a w sektorach wyznaczonych „Orłowi" nie było po prostu okazji, by coś zatopić. Mało tego, sam „Orzeł" musiał uciekać przed lotnictwem niemieckim.

**Co się stało z tym okrętem? Ta zagadka wciąż pozostaje nierozwiązana.**

„Orzeł" wyszedł w ostatni patrol 23 maja 1940 r. To wciąż bardzo tajemnicza historia. „Orzeł" od momentu wyjścia z bazy nie wysłał ani jednego meldunku, czyli najpewniej – moim zdaniem – zatonął na samym początku patrolu.

**Co posłało „Orła" na dno Morza Północnego? Mina?**

Myślę, że to najbardziej racjonalne wytłumaczenie. Zabójcą „Orła" mogła być po prostu dryfująca mina. Gdyby to Niemcy zatopili ten okręt, z pewnością bardzo szybko by się tym pochwalili. Z kolei Brytyjczycy nie mieliby powodu, by ukrywać to przez tyle lat.

**Dodajmy tylko, że nie jest pan w tej sprawie jedynie teoretykiem, bo przecież jest pan członkiem ekipy poszukującej wraku „Orła".**

Tak, wciąż szukamy dumy marynarki II RP. Na razie moja grupa – Stowarzyszenie Wypraw Wrakowych z Łodzi – znalazła po 72 latach wrak niszczyciela eskortowego „Kujawiak", który zatonął



eprasa.pl cdf2d61de1

na Morzu Śródziemnym.

**„Wilk", który dotarł do Wielkiej Brytanii przed „Orłem", od początku miał „pod górkę". W czym tkwił problem?**

„Wilk" był w bardzo złym stanie technicznym. Był on, mówiąc wprost, kompletnie „zajechany".

Kapitan, a następnie kmdr ppor. Krawczyk był prymusem szkoły podchorążych, był to oficer, który chciał wiele dokonać. Brytyjczycy proponowali, żeby „Wilka" odstawić do szkolenia, a Polacy dostaliby nowy brytyjski okręt podwodny. Krawczyk jednak nie chciał o tym słyszeć.

Zawsze twierdził, że tym okrętem wiele jeszcze dokona. Jednak w czasie dziewięciu patroli (okręt przepłynął wówczas 18,5 tys. km) nie udało się zatopić ani jednej jednostki wroga. Z powodu ciągłych awarii doszło w końcu do poważnego konfliktu między załogą a dowódcą. Marynarze „Wilka" skupiali się bardziej na problemach technicznych okrętu niż na szukaniu celów do ataku.

Z biegiem czasu dyscyplina na „Wilku" kompletnie upadła. Załoga się regularnie upijała, trafiała za kratki, dochodziło wręcz do buntów.

**Tak się zachowywali polscy marynarze?!**

Niestety. Od dziecka byłem uczony, że w naszej ówczesnej armii i w lotnictwie nie brakowało problemów, ale za to polska marynarka była zawsze i wszędzie wzorem. Cóż, nie zawsze tak było. Załoga i oficerowie „Wilka" chcieli przejść na inny okręt, ale Krawczyk celowo nie informował ani adm. Świrskiego, ani Brytyjczyków o awariach. Wszystko zamiatał pod dywan.

**Wygląda na to, że kmdr Krawczyk kochał swojego starego dobrego „Wilka", którym udało mu się przedrzeć aż do Wielkiej Brytanii...**

Tak, na pewno była w tym miłość. Dowódca podchodził do tego bardzo emocjonalnie, aż w końcu, nie godząc się na odstawienie „Wilka" do rezerwy, popełnił 19 lipca 1941 r. samobójstwo. Tak wyglądał koniec „Wilka", od tej pory okręt służył tylko do celów szkoleniowych.

Kapitan Jan Grudziński, dowódca ORP „Orzeł" FOT. ARCHIWUM

**W ten sposób straciliśmy oba okręty podwodne.**

Brytyjczycy przekazali nam wtedy w dzierżawę (to nie była darowizna!) „Sokoła", który – operując na Morzu Śródziemnym – odniósł największe sukcesy. Do 1944 r. okręt ten wziął udział w 31 patrolach. W sumie przebywał na morzu 630 dni i wystrzelił 42 torpedy. Udało mu się zatopić 13 jednostek handlowych, jeden patrolowiec, a uszkodzony został przez niego jeden niemiecki transportowiec wojska.

**W ten sposób na dno szło zaopatrzenie m.in. dla Afrika Korps. „Sokół" miał jednak swojego „bliźniaka". Razem z „Dzikiem" tworzył parę ochrzczoną przez prasę mianem „terrible twins" („straszne bliźniaki"). To określenie dobrze oddaje sukcesy obu okrętów?**

Myślę, że jest w tym pewna doza przesady, w końcu prasa wymyśliła to miano (śmiech). Owszem, pod względem liczby zatopionych jednostek przeciwnika te sukcesy robią spore wrażenie, ale gdyby porównać to z sukcesami U-Bootów, to pod względem tonażu wygląda to nieco mniej spektakularnie – „Sokół zatopił w latach 1941–1944 jednostki o wyporności ok. 11 tys. BRT. Tymczasem jeden U-Boot zatapiał czasem aliancki transportowiec o podobnej wyporności...

Podobnie było z „Dzikiem", na którym banderę podniesiono w grudniu 1942 r. Trafiła na niego załoga, która wcześniej służyła na „Jastrzębiu" przekazanym nam przez Amerykanów. „Jastrząb", mimo że dawał wyraźne znaki, został omyłkowo zatopiony 2 maja 1942 r. przez Brytyjczyków i Norwegów podczas osłony konwoju. Zginęło wówczas trzech polskich marynarzy, dwóch brytyjskich, a kilku było rannych. Uratowani z „Jastrzębia" przeszli następnie na „Dzika". Podczas 16 patroli okręt ten wystrzelił 28 torped i zatopił pięć statków o wyporności ok. 9 tys. BRT, jedną jednostkę o tonażu 155 t, a także wyeliminował ze służby na morzu jeden nowoczesny włoski zbiornikowiec (8257 BRT).

Brytyjskie media bardzo nagłaśniały kolejne sukcesy „strasznych bliźniaków", chcąc dowartościować sojusznika pływającego na brytyjskich okrętach podwodnych. Na tym skończyły się sukcesy, ponieważ od 1944 r. Polacy głównie skupiali się już na patrolowaniu wybrzeży Wielkiej Brytanii i nie było okazji do walki z Niemcami. Admirał Unrug powiedział w 1945 r. znamienne słowa: „Dzik" był okrętem, który dorównywał „Sokołowi"zawziętą chęcią walki i nieustraszonym duchem bojowym".

**Jeżeli chodzi o całokształt wojennych zmagań polskich podwodniaków, to możemy być z nich dumni?**

Bez dwóch zdań. Już samo przetrwanie niemieckich ataków we wrześniu 1939 r. było niesamowitym wyczynem. Nasza flota podwodna w czasie II wojny światowej nie była może liczna, Niemcy samych U-Bootów typu VII wyprodukowali ponad 700, ale na pewno wyróżniała się na plus na tle sił sojuszniczych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

**Mariusz Borowiak** – pisarz, dziennikarz, marynista, poszukiwacz wraków. Autor 70 książek o tematyce wojenno-morskiej. Opublikował książkę „Stalowe drapieżniki. Polskie okręty podwodne 1926–1947".



eprasa.pl cdf2d61de1

1941–1944 / Morze Śródziemne

# „Sokół” i „Dzik” na polowaniu

ORP „Sokół”. Obok: flaga Jolly Roger ORP „Dzik”
FOT. ZBIORY MARIUSZA BOROWIAKA I WIKIPEDIA

Tomasz Stańczyk

**Dwa polskie okręty podwodne operowały z baz na Malcie i w Bejrucie, topiąc wrogie jednostki na Morzu Śródziemnym**

Do chwili pojawienia się „Sokoła” i „Dzika” na Morzu Śródziemnym polskie okręty podwodne nie mogły pochwalić się specjalnymi sukcesami. „Orzeł” zatopił w 1940 r. niemiecki transportowiec „Rio de Janeiro” wiozący żołnierzy Wehrmachtu. Według Bolesława Romanowskiego, zastępcy dowódcy okrętu, „Wilk” miał staranować U-Boota. Jednak nie jest to wiarygodne. Co gorsza, Marynarka Wojenna utraciła „Orła”, który zaginął w 1940 r. podczas patrolu. Do dziś nie znaleziono wraku ani nie ustalono przyczyny zatopienia. W 1942 r. „Jastrząb” został omyłkowo ostrzelany przez okręty alianckie. Uszkodzenia okazały się na tyle poważne, że podjęto decyzję o zatopieniu okrętu. Bilans działań okrętów podwodnych był więc wyraźnie niekorzystny.

Sytuacja zmieniła się, gdy na Morzu Śródziemnym pojawiły się „Sokół”, a potem „Dzik”. Były skuteczne. Anglicy nazwali je nawet „terrible twins” – strasznymi bliźniakami, opierając się na raportach dowódców tych okrętów podwodnych. A sukcesy w zatopieniach wrogich jednostek były w niezamierzony, lecz także celowy sposób w przypadku dowódcy „Sokoła” wyolbrzymiane. Mariusz Borowiak i Tadeusz Kasperski w książce „Polska Marynarka Wojenna na Morzu Śródziemnym 1940–1944” zweryfikowali raporty dowódców „strasznych bliźniaków”. I zredukowali liczbę zatopionych przez nie niemieckich i włoskich statków oraz okrętów. I tak jednak bilans był znakomity. Sprowadzenie do rzeczywistych liczb sukcesów „Dzika” i „Sokoła” w żadnym stopniu nie pomniejsza osiągnięć, bohaterstwa ani poświęcenia polskich marynarzy. Ich służba była skrajnie niebezpieczna, a życie załogi nieraz wisiało na włosku.

## Z owcą na morze

Z wejściem „Sokoła”, okrętu brytyjskiej konstrukcji, do służby w 1941 r. wiąże się anegdota opisana przez Jerzego Pertka w „Wielkich dniach małej floty”. Dowódca „Wilka” miał przekazać na nowy okręt część swojej załogi. Jeden z oficerów zaproponował taki podział, by „wilk był syty i owca cała”. Na kartce papieru pojawiły się więc słowa: „wilk” i „owca”. Dowództwo Marynarki Wojennej zatwierdziło skład załogi przeznaczonej dla nowego okrętu podwodnego, jednak biorąc serio słowo „owca”, nie zgodziło się, by nazywała się tak właśnie nowa jednostka. Historia ta musiała zapewne dotrzeć do brytyjskich stoczniowców przygotowujących



eprasa.pl cdf2d61de1

okręt, nazwany „Sokołem", dla Polaków. Ponieważ w angielskim zwyczaju było nadawanie okrętom godeł, zamiast wizerunku drapieżnego ptaka – czego polscy marynarze mogli się spodziewać – wyrzeźbiono w drewnie owcę skubiącą kwiatki na łące...

„Sokołem", skierowanym wczesną jesienią 1941 r. na Morze Śródziemne, dowodził kpt. Borys Karnicki. W październiku „Sokół" dokonał nieudanego ataku na włoski krążownik pomocniczy. Dystans był zbyt duży, by liczyć na pewny sukces.

„Karnicki jednak słusznie wolał zaryzykować, niż w ogóle nic nie robić" – oceniali Borowiak i Kasperski. To niepowodzenie „Sokół" powetował sobie w listopadzie, niszcząc włoski transportowiec. Wprawdzie dwie torpedy chybiły, a trzecia z powodu wady zboczyła z kursu, ale załoga „Sokoła" ostrzelała statek z działa pokładowego, doprowadzając do jego zatonięcia. Także w listopadzie „Sokół" zaatakował włoski zbiornikowiec. Torpedy wystrzelono z dużego dystansu, co więcej – celowniki były uszkodzone. Załoga jednak, słysząc eksplozję, uznała, że zbiornikowiec został trafiony, choć w rzeczywistości tak nie było.

Pocieszono się dopiero po paru miesiącach, w lutym 1942 r. zatrzymując włoski szkuner motorowy u wybrzeży Tunisu. Został ostrzelany i zmuszony do zatrzymania się. Na jego pokład weszła ekipa abordażowa. Szkuner wiózł węgiel. Został zatopiony. Największym sukcesem było zdobycie planu zagród minowych znalezionych na pokładzie.

Prawdziwe chwile grozy załoga „Sokoła" przeżyła jednak nie na patrolach bojowych, lecz w bazie na Malcie. Strategicznie ważna wyspa, położona na środku Morza Śródziemnego, była celem intensywnych nalotów. Dosięgły one w marcu i kwietniu 1942 r. także „Sokoła". Został poważnie pokiereszowany. Ocalał m.in. dzięki manewrowaniu okrętem i ukrywaniu go wśród innych jednostek przez pełną determinacji załogę. Ona też starała się naprawić okręt, gdy – pod grozą nalotów – stoczniowcy bali się wyjść do pracy. Uszkodzenia były jednak na tyle poważne, że „Sokoła" przebazowano dla naprawy z zasypywanej bombami Malty do Gibraltaru.

## Świnia pod Spartivento

Okręt podwodny „Dzik", tego samego typu co „Sokół", otrzymał właściwe do swej nazwy godło: groźny łeb odyńca. Dowódca „Dzika", kpt. Bolesław Romanowski, nadał mu dewizę: „Nullo retentus impedimento" („Żadną niezatrzymany przeszkodą"). Na początku służby „Dzik" wszakże utknął, jeszcze u wybrzeży brytyjskich w podwodnej sieci przeciw okrętom podwodnym.

„Gdy wróciliśmy do Forth – wspominał Romanowski – przewodniczący mesy wręczył mi piękny rysunek dzika uwikłanego w sieć. Był to stary sztych, na którym dzik miał potwornej długości szable i groźnie błyskał białkami oczu" (Bolesław Romanowski „Torpeda w celu"). Romanowskiemu zdarzyła się wkrótce inna niemiła przygoda. Inspekcja wyszkolenia wyszła źle, gdyż – jak twierdził – był to skutek intrygi części nielojalnych oficerów i podoficerów.

W marcu 1943 r. „Dzik" przybył do bazy na Malcie. Na sukces nie musiał długo czekać. W maju wyeliminował włoski zbiornikowiec. Romanowski podkreślał, że „Dzik" był pierwszym okrętem podwodnym, który ugodził w cel pierwszą salwą. Twierdził, że dwie z czterech torped trafiły w statek. Salwa jednak nie była aż tak celna. Borowiak i Kasperski stwierdzają, że trzy torpedy chybiły, ale czwarta dosięgła zbiornikowca i wywołała niszczący pożar. Sukces koło przylądka Spartivento uczczony został przez jednego z członków załogi wierszykiem:

***W całej flocie z nas się śmiano,***
***Że dziką świnię mamy za miano,***
***Ale ta świnia pod Spartivento,***
***Nullo retenta fuit impedimento.***

W Dniu Żołnierza Polskiego, 15 sierpnia 1943 r., kpt. Romanowski zdecydował się zaatakować dwa włoskie statki koło portu Bari. Była to ryzykowna decyzja, gdyż znajdowały się w asyście siedmiu okrętów. Nawet gdyby atak się udał, należało się liczyć, że eskorta zacznie polowanie na „Dzika". I rzeczywiście, zaczęły eksplodować bomy głębinowe. „Dzik" miał jednak szczęście. W okolicy pojawił się „Sokół" i to on stał się celem ataku.

Romanowski pisał we wspomnieniach, że wszystkie cztery torpedy trafiły w cel i zatopiły dwa statki.

„Za pięknie przeprowadzony atak »Dzik« otrzymał podziękowania i szereg depesz z gratulacjami. Najwięcej ceniłem powinszowania od admirała Świrskiego i Maxa Hortona, admirała" – stwierdzał Romanowski. Atak był udany. Tyle że – jak pisali Borowiak i Kasperski – zniszczony został jeden statek, nie dwa.

Miesiąc później „Dzik" zaczaił się pod portem Bastia na Korsyce. „Ośmioma torpedami zatopiłem na pewno dwa statki, holownik, cztery stojące przy burcie barki i trzy duże barki desantowe – tak chwalił się Romanowski swoim sukcesem. – Razem 10 jednostek załadowanych wojskiem i materiałami wybuchowymi. Prawdopodobnie i z drugiej strony stojącego na kotwicy statku były desantówki. Wtedy bilans nasz powiększyłby się o trzy, cztery jednostki".

Rzeczywistość była sporo skromniejsza. Jak stwierdzają autorzy „Polskiej Marynarki na Morzu Śródziemnym 1940–1944", na fladze „Jolly Roger" Romanowski kazał umieścić nie 10, lecz tylko siedem naszywek symbolizujących zatopione jednostki. A w raporcie pisał tylko o dwóch zniszczonych statkach. W rzeczywistości „Dzik" powiększył swoje konto o jeden statek. Był to jednak sukces bardzo cenny, gdyż wrak zablokował wejście do portu dla większych jednostek. A w tym czasie trwała ewakuacja sił niemieckich z Korsyki.

Pod koniec września 1943 r. „Sokół" został skierowany na Adriatyk. „Dowodzący okrętem kpt. mar. Koziołkowski był na tym patrolu wyjątkowo zdeterminowany, ponieważ od kilku miesięcy jego duma cierpiała. Marynarze ORP »Dzik« i jego dowódca kpt. mar. Romanowski zbierali pochwały od polskich i brytyjskich przełożonych za udane patrole bojowe, a Koziołkowski mógł



eprasa.pl cdf2d61de1

ORP „Dzik" u wybrzeży Malty FOT. ZBIORY MARIUSZA BOROWIAKA

jedynie patrzeć na flagę »Jolly Roger« zapełnioną od maja do września 1943 r. aż 14 naszytymi paskami" – pisali Borowiak i Kasperski. Może frustracja kpt. Koziołkowskiego byłaby mniejsza, gdyby wiedział, że w rzeczywistości „Dzik" zniszczył tylko cztery jednostki...

Polowanie „Sokoła" zaczęło się na początku października niedaleko portu Pula. Pierwszy atak wykonano na włoski frachtowiec. Załoga „Sokoła" słyszała pod wodą bardzo silną eksplozję. Życzono sobie wreszcie sukcesu, więc uznano, że torpeda trafiła w cel, a silny wybuch oznaczał, iż wyleciała w powietrze amunicja przewożona na statku. W rzeczywistości torpedy jednak chybiły, a detonacja była prawdopodobnie spowodowana trafieniem torpedy w minę. „Sokół" dwukrotnie jeszcze atakował i pudłował. Natomiast jeden z czterech ataków okazał się sukcesem. Torpeda posłała na dno transportowiec wojskowy. Po wystrzeleniu wszystkich torped „Sokół" zaatakował ogniem działa pokładowego jeszcze jeden statek, który odpowiedział ogniem.

Kapitan Koziołkowski mógł wreszcie umieścić naszywki na fladze „Jolly Roger". Pojawiły się na niej dwie, lecz – jak stwierdzają Borowiak i Kasperski – druga powinna zostać przełamana, gdyż ostrzelany statek nie został zniszczony, lecz uszkodzony.

## Neutralne krowy

Później „Sokół" i „Dzik" operowały z bazy w Bejrucie, a celem ich partoli było Morze Egejskie. Kapitan Romanowski był bardzo niezadowolony. Kierowano go bowiem na akwen, na którym szans na spektakularny sukces w postaci zatopienia dużego statku lub okrętu raczej nie było. „Nie lubiłem Morza Egejskiego – wyznawał Romanowski – Byłem zdania, że terenem działania okrętów podwodnych powinny być otwarte wody, przez które prowadzą szlaki żeglugi nieprzyjaciela. […] Tu zaś, na Morzu Egejskim, nie było ustalonych szlaków, nie było komunikacji, a istniała tylko przypadkowość".

**Dowódcy „Sokoła" i „Dzika" rywalizowali ze sobą. „Dzik" wygrał, jeśli chodzi o unicestwiony tonaż, natomiast „Sokół" zatopił więcej jednostek**

Okręty podwodne mogły liczyć jedynie na łup w postaci niedużych jednostek zaopatrujących niemieckie garnizony na wyspach. I tak też było w praktyce. Większymi statkami, jakie widywano, były jednostki tureckie, z półksiężycami wymalowanymi na burtach. Należały do neutralnego państwa, więc ich nie atakowano. Jednak pewnego razu spostrzeżono statek. „Półksiężyce nie zdobiły jego burty..." – wspominał Romanowski. Kazał wystrzelić cztery torpedy. Usłyszano dwie eksplozje. „Wkrótce znane nam dobrze odgłosy zasygnalizowały tonięcie statku". Romanowski wziął życzenia za rzeczywistość. W dodatku, jak stwierdzają Borowiak i Kasperski, zaatakował statek turecki. Widać nie dostrzegł półksiężyców. W tym przypadku na szczęście żadna z czterech torped nie trafiła.

W swoich wspomnieniach Romanowski odnotował tylko jeden sukces na Morzu Egejskim – ostrzelanie i przechwycenie szkunera, który wiózł kilkunastu żołnierzy niemieckich. Gdy załoga „Dzika" dokonała abordażu, na pokładzie nie było już Niemców. Wyskoczyli do wody. Znajdująca się na pokładzie krowa została zabita strzałami z „Dzika" i obok kiełbasy wzbogaciła menu załogi. Zdobyczą Romanowskiego był pistolet vis. „Słusznie mi się należał, bo w 1939 roku ściągnięto ze mnie, jak z każdego oficera, 300 złotych na »visa«, którego jednak nigdy nie dostałem, tak jak i inni".

Więcej szkunerów miał na swoim koncie „Sokół". Podczas abordażu na jeden z nich, który opuściła w popłochu niemiecka załoga, znaleziono w ładowni krowy z cielętami. Jerzy Pertek w swojej książce cytował wpis zastępcy dowódcy z dziennika okrętowego: „Przykro nam wszystkim było bardzo – bo wiadomo, krowy, bydlęta bardzo pożyteczne i żyć chcą nie mniej od człowieka […]. Po dokładnym przeszukaniu szkunera oddział abordażowy opuścił pokład, na pożegnanie zakładając ładunek dynamitu i zapalając lont. Niedługo męczyły się biedne zwierzęta w zamkniętej ładowni...". Pocieszono się zdobytymi zapasami masła i jajek.

W rywalizacji „bliźniaków" wygrał „Sokół" pod względem liczby zniszczonych okrętów i statków wroga. „Dzik" mógł się jednak pochwalić znacząco większym unicestwionym tonażem jednostek wroga. Obaj kapitanowie – Romanowski i Koziołkowski – nielubiący się zresztą i rywalizujący ze sobą, umieścili na flagach „Jolly Roger" więcej naszywek, niż mieli sukcesów.

Mariusz Borowiak i Tadeusz Kasperski stwierdzili, że Romanowski świadomie jednak nie „fałszował" ani nie dodawał żadnego zatopienia, zwłaszcza wtedy, gdy wiedział, że atak jest niecelny. A nadmierna liczba naszywek brała się z jego przekonania, że zniszczył wrogą jednostkę. Inaczej jednak miała się rzecz z Koziołkowskim, który dokonał ewidentnego przekłamania, żeby liczba naszytych pasków podczas kampanii śródziemnomorskiej w latach 1943 i 1944 była wyższa niż na fladze „Dzika". I oznaczał na fladze zatopienia, do których nie doszło. Umieścił nawet na fladze „sukces bojowy", jakim było zatopienie włoskiego statku w wyniku zderzenia z „Sokołem", i to już po kapitulacji Italii.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl cdf2d61de1

DO RZECZY
HISTORIA DO RZECZY

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

# STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

**WIĘCEJ INFORMACJI:** DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY: ORLEN

PARTNERZY: KGHM POLSKA MIEDŹ, Poczta Polska

eprasa.pl cdf2d61de1

1939–1941 /

# „Wilk” – okręt

Marcin Bartnicki

**Oficerowie ORP „Wilk” nie potrafili zapanować nad zdemoralizowaną załogą. A dowódca jednostki skonfliktował się z admirałem**

„Zdałem swe obowiązki kpt. mar. Jerzemu Koziołkowskiemu i teraz dopiero ten rozkaz podpisuję. Sumienie mam spokojne. Honor opłacam sam” – napisał kmdr ppor. Bogusław Krawczyk, 35-letni dowódca okrętu podwodnego ORP „Wilk”, po czym wyciągnął osobisty pistolet i strzelił sobie w serce. Tak, w samym środku wojny, zginął jeden z najlepszych polskich oficerów Marynarki Wojennej.

Krawczyk i jego załoga od pierwszych dni wojny przechodzili wyjątkowo trudną przeprawę. Zwodowany w 1929 r. ORP „Wilk” w momencie rozpoczęcia wojny był w złym stanie technicznym. Przeciekające akumulatory i dziury w kadłubie spowodowane korozją to pierwsze problemy, z których zdawano sobie sprawę już wcześniej. Po wyjściu w morze 1 września 1939 r. i pierwszych atakach na okręt rozpoczęło się pasmo awarii, które stało się przekleństwem „Wilka” i nie opuściło go już nigdy. Przed wybuchem wojny nie udało się przeprowadzić remontu, ponieważ za priorytet uznano szkolenie załogi.

## Nieszczęsny „Worek”

Żadne naprawy ani szkolenia nie mogły jednak zmienić fatalnego położenia, w jakim znalazły się polskie okręty po wybuchu wojny. Marynarka Wojenna dysponowała dwiema dużymi oceanicznymi jednostkami podwodnymi – ORP „Orzeł” i ORP „Sęp” – wyprodukowanymi w Holandii oraz trzema mniejszymi – francuskimi podwodnymi stawiaczami min typu Wilk (ORP „Wilk”, ORP „Ryś” i ORP „Żbik”). „Wilk” mógł zabrać 38 min, był wyposażony w sześć wyrzutni torped, w tym dwie obracalne, działo kalibru 100 mm oraz karabiny maszynowe. Mierzące 74 m jednostki typu Wilk, podobnie jak jeszcze większe „Orzeł” i „Sęp”, zostały zakupione raczej z powodów propagandowych i prestiżowych niż ze względu na przydatność w obronie polskiego wybrzeża. O ile stawiacze min mogły znaleźć zastosowanie w konflikcie z Sowietami, o tyle w przypadku wojny z Niemcami nie można było stworzyć planu taktycznego, którego celem byłoby cokolwiek innego niż opóźnienie porażki. Wszystko to stawiało polskie okręty podwodne na z góry przegranej pozycji i odbiło się na morale załóg. Mimo to marynarze i oficerowie z „Wilka” poradzili sobie nieźle.

Niemcy dominowali w powietrzu i dysponowali przytłaczającą przewagą na morzu. Polskie okręty podwodne, zamiast polować na niemieckie jednostki, w płytkich wodach Bałtyku stały się więc łatwym celem. Już 2 września „Wilk” zo-



eprasa.pl cdf2d61de1

Pech, brak remontu, niewykonalne zadania

# przeklęty

FOT. ARCHIWUM

stał zaatakowany przez dwa niemieckie trałowce. Bomby głębinowe uszkodziły zbiorniki paliwa, przez co okręt nie tylko tracił ropę, lecz także zostawiał ślad na powierzchni wody, który zdradzał jego położenie. Mimo uszkodzeń następnego dnia „Wilk" rozstawił miny w wyznaczonym sektorze, zgodnie z założeniami planu „Worek". Niestety, wskutek błędnego rozkazu na okręt załadowano tylko połowę zapasu min.

Po zaminowaniu wyznaczonego sektora „Wilk" mógł już tylko próbować uniknąć zniszczenia. I chociaż podejmowano próby ataku na niemieckie jednostki, to na kontrolowanym przez wroga akwenie miały one nikłe szanse powodzenia. Relacje z dokonanego 5 września ataku czterech niemieckich trałowców i samolotu na „Wilka" świetnie pokazują, jak w praktyce wyglądała walka polskich okrętów podwodnych na Bałtyku. Po serii wybuchów bomb głębinowych kpt. Krawczyk wydał rozkaz osadzenia okrętu na dnie, na głębokości 87 m (teoretycznie okręt mógł zanurzać się do 80 m). Aby nie zdradzać pozycji, wyłączono silniki, pompy i systemy wentylacyjne. Niemcy zrzucili na „Wilka" 32 bomby, okręt przepuszczał wodę, kończyło się też powietrze. Tak wspominał ten dzień marynarz Jan Jaworski:

„Serca nasze przestawały bić w momentach, kiedy wybuchały bomby. Każda kolejna zrzucona na nas bomba mogła być tą ostatnią. Eksplozje były tak silne, że farba odpadała od kadłuba. Nachodziły nas myśli, by to wreszcie się skończyło. Pod wieczór odczuwaliśmy już duże braki powietrza. [...] Normalnie dla wynurzenia wystarczyły dwie butle. Tym razem po użyciu dwóch butli o ciśnieniu 180 atmosfer okręt ani drgnął. Podejrzewano uszkodzenie systemu balastowego, co oznaczało tylko jedno – śmierć pod wodą. Wśród załogi zaczęła się panika. Obserwowałem swojego bezpośredniego przełożonego – I mechanika, który najlepiej znał się na sprawach technicznych okrętu. Porucznik stał blisko mnie, a twarz jego stawała się coraz bardziej blada, aż osiągnęła kolor całkowitej bieli. Następnie wzrok mój padł na dowódcę. Nie było widać po nim żadnych zmian w wyglądzie czy postępowaniu. Dowódca wydał rozkaz wyrzucenia wody z balastów przy pomocy powietrza z następnych butli. Akcję szasowania balastów przerwano dopiero wtedy, gdy zostały nam już tylko cztery butle. Szesnaście butli zostało opróżnionych. Dla ludzi przebywających w centrali był to znak, że nie ma ratunku. Mimo krytycznej sytuacji po dowódcy nie było widać oznak zdenerwowania czy strachu. W końcu padł rozkaz uruchomienia śruby napędowej. Była to bardzo ryzykowna decyzja, gdyż leżąc na dnie, można było ją uszkodzić, co również prowadziło do naszej śmierci pod wodą. Jedna śruba pracowała wstecz, druga naprzód. Pracowały tak długo, aż wystarczyło energii w akumulatorach. Dowódca wydał rozkaz otwarcia ostatnich butli. Wszystkie oczy skierowane były na ręce bosmanmata Edwarda Kozaka, który miał otworzyć zawory tych butli. Po ich otwarciu okręt wreszcie drgnął i wyskoczył z wielkim impetem na powierzchnię wody".

Niemców już tam nie było. Prawdopodobnie wyciek ropy uznano za dowód na zatopienie okrętu. W kolejnych dniach „Wilk" przetrwał serię ataków. W nocy z 10 na 11 września Krawczyk odebrał rozkaz od dowódcy floty kontradmirała Józefa Unruga. Okręt miał przebić się przez duńskie cieśniny do Wielkiej Brytanii. Część załogi uznała to za misję samobójczą. Krawczyk zdecydował się jednak na wykonanie tego szalenie niebezpiecznego zadania. Próbę podjęto wieczorem 14 września. „Wilk" przebił się przez dwa pola minowe w rejonie silnie obsadzonym przez Niemców, w dodatku przechodząc przez płytkie wody. Brakujące paliwo zastąpiono pięcioma tonami oleju maszynowego, który marynarze przenieśli w wiaderkach. Okręt był zdewastowany. Nieszczelne klapy lewego tłumika powodowały, że w zanurzeniu na głębokości peryskopowej na pokład



eprasa.pl cdf2d61de1

Bogusław Krawczyk, dowódca ORP „Wilk"
FOT. WIKIPEDIA

Kontradmirał Jerzy Świrski
FOT. WIKIPEDIA

wlewało się pół tony wody na godzinę, nieszczelne były również zawory denne i zewnętrzne balasty ropowe. Uszkodzeniu uległ ster głębokościowy. W takim stanie 22 września o godz. 7 „Wilk" wszedł do Scapa Flow.

„Defilowaliśmy przed największą flotą świata – wspominał kpt. mar. Borys Karnicki. – Pancerniki, krążowniki, tuziny kontrtorpedowców, lotniskowce. Mimo wczesnej godziny na wszystkich okrętach podniesiono bandery i załogi ustawiono wzdłuż burt i nadbudówek. W miarę jak mijaliśmy poszczególne jednostki, załogi, podnosząc czapki, krzyczały trzykrotnie »hurra«! I to na naszą cześć. Łzy ciurkiem leciały mi po twarzy".

## Anarchia załogi

Do Wielkiej Brytanii przedarł się również ORP „Orzeł". Załogi obu okrętów stały się bohaterami gazet. Nastroje zaczęły jednak psuć się bardzo szybko. Marynarzy do furii doprowadziła informacja o tym, że gdy oni przeżywali gehennę na morzu, dowództwo Marynarki Wojennej już w pierwszym tygodniu wojny ewakuowało się z Warszawy, pozostawiając tylko oficera dyżurującego przy radiostacji, która mogła nawiązać łączność z okrętami na Bałtyku. W dodatku kontradmirał Jerzy Świrski, który w opinii załogi „Wilka" po prostu uciekł z Warszawy, miał nadal pełnić funkcję szefa Kierownictwa Marynarki Wojennej.

16 listopada, gdy do Dundee przyjechał gen. Władysław Sikorski, na molo zebrały się załogi „Orła" i „Wilka". Oficerowie i marynarze z „Orła" otrzymali liczne odznaczenia, natomiast załoga „Wilka" nie dostała nawet pochwały. Pytany o to przez oficerów Sikorski tłumaczył, że nie został poinformowany o dokonaniach „Wilka". Naczelny Wódz próbował naprawić swój błąd, wręczając Krawczykowi własny Krzyż Walecznych, marynarze uznali jednak, że Kierownictwo Marynarki Wojennej jest nastawione do nich wrogo.

„Podwodniacy nie cieszyli się sympatią szefa, czego dowodem było nieprzywitanie się z nim oficerów »Wilka« i »Orła« w czasie wizyty gen. Sikorskiego – pisał po wojnie por. mar. Zbigniew Jasiński. – Przez niepodanie ręki Świrskiemu, pomimo parokrotnego przekonywania nas przez generała do odstąpienia od tego afrontu, chcieliśmy dać wyraz temu, że Świrski uważany był za jednego z tych, dla których głównym celem we wrześniu 1939 r. była jak najszybsza ucieczka z Polski".

Sikorski tłumaczył Świrskiego, że ten ewakuując się z Warszawy, wykonywał rozkaz objęcia kierownictwa nad polskimi okrętami, które miały przebić się na Zachód. Niesmak jednak pozostał. Krawczyk i jego załoga cieszyli się za to zaufaniem Brytyjczyków. Załogi i dowódcy polskich okrętów rozważali nawet podporządkowanie się dowództwu Royal Navy, okazało się to jednak niemożliwe.

Podczas stacjonowania w Wielkiej Brytanii „Wilk" wyszedł na dziewięć patroli bojowych. Po dwóch pierwszych, które były pasmem awarii, skierowano okręt do kapitalnego remontu. Przesądziły o tym kolejne uszkodzenia, do których doszło na początku 1940 r. podczas manewrowania okrętem w porcie Rosyth, gdzie „Wilk" uderzył dziobem w... burtę „Orła". Załoga uważała, że ich okręt jest „przeklęty i pechowy".

Wielu marynarzy służyło nieprzerwanie przez nawet osiem–dziewięć lat. Teraz, gdy „Wilk" miał przejść remont, dostali chwilę wytchnienia i szansę na odreagowanie stresu i frustracji. Niestety, rozluźnienie dyscypliny w porcie pogorszyło tylko sytuację. Do pijaństwa i bójek dochodziło już wcześniej, tym razem dyscyplina upadła zupełnie. Marynarze wychodzili na pijackie eskapady po mieście, niektórzy znikali na wiele dni. Jeden z chorążych został odnaleziony przez policjantów – leżał na ulicy pijany do nieprzytomności. Polacy mieli przy tym powodzenie u brytyjskich dziewcząt. Niekoniecznie były to zawsze damy z dobrych domów, dlatego przybywało marynarzy zarażonych chorobami wenerycznymi. Z powodu konieczności podjęcia leczenia niezbędne były zmiany w składzie załogi.

Na długo wyczekiwany urlop udał się również dowódca okrętu kpt. Krawczyk. W kwietniu 1940 r. wyjechał do Szwecji, dowódcą „Wilka" został tymczasowo kpt. mar. Borys Karnicki. Krawczyk wrócił 31 lipca, zdaniem oficerów z jego załogi – był odmieniony. Nieugięty dowódca stał się nagle defetystą. „Podczas alarmu przeciwlotniczego w Rosyth opowiadał o potędze Niemiec i że w Wielkiej Brytanii będą działy się rzeczy straszne – wspominał Karnicki. – Wyraźnie spodziewał się ciężkiego bombardowania i nalotu, ale żadna bomba nie spadła. Najprawdopodobniej był to skutek propagandy niemieckiej i nastrojów panujących w tym czasie w Szwecji. Dla nas było to nieprzyjemne i obce. Również w stosunku do załogi Krawczyk zmienił się nie do poznania. Twierdził, że ludzi trzeba wziąć w garść, »Wilka« doprowadzić do przedwojennego stanu załogi i dyscypliny. Za przewinienia – karać".

Podczas trzeciego patrolu dowodzący „Wilkiem" zastępca dowódcy kpt. mar. Bolesław Romanowski zdecydował się na wykonanie brawurowego ataku i – jak twierdził Krawczyk – „zepsuł" okręt. W nocy z 19 na 20 czerwca dostrzeżono sylwetkę unoszącego się na powierzchni okrętu podwodnego. Cel znajdował się w odległości niespełna 400 m. Nie udało



eprasa.pl cdf2d61de1

się zidentyfikować jednostki, mimo to Romanowski podjął decyzję o ataku. „Wilk" miał staranować inny okręt podwodny! Uderzył z ogromnym impetem, ale mimo poważnych uszkodzeń przetrwał taranowanie. Nie udało się jednoznacznie potwierdzić zniszczenia wrogiego okrętu. „Wilk" zatopił prawdopodobnie jeden z niemieckich U-Bootów – U 102 lub U 122, które zaginęły na Morzu Północnym w tym czasie i w tym rejonie. Według innej hipotezy zatopionym okrętem mógł być sojuszniczy holenderski O-13.

Po zaginięciu „Orła" konflikt załogi „Wilka" z Kierownictwem Marynarki Wojennej jeszcze się pogłębił. Świrski domagał się, aby dowodzący okrętem Karnicki oddał depozyt złota i dolarów znajdujący się na „Wilku". Była to żelazna rezerwa, którą pobrał każdy z okrętów przed wybuchem II wojny światowej. Miał zapewnić m.in. możliwość dokonania napraw i zakupu prowiantu w neutralnych portach na wypadek, gdyby powrót do macierzystych lub sojuszniczych portów był niemożliwy. Po zaginięciu „Orła" dowództwo nie chciało stracić kolejnego depozytu, a oficerowie z „Wilka" zamierzali zachować zabezpieczenie na wypadek, gdyby Wielka Brytania stała się celem inwazji i okręt musiałby płynąć do portu w USA. Na konflikt i kolejne akty nieposłuszeństwa nałożyła się jeszcze frustracja oficerów i marynarzy, którym ciągle brakowało podstawowego wyposażenia – butów i ubrań, a ich wynagrodzenia były znacznie niższe niż wykonujących te same zadania brytyjskich marynarzy (wyrównanie nastąpiło dopiero po interwencji dowódców Royal Navy).

Apogeum konfliktu z dowództwem nastąpiło w czerwcu i lipcu 1941 r. Krawczyk był już wówczas skonfliktowany z własnymi oficerami i marynarzami. Oficerowie zupełnie stracili kontrolę nad tym, co robi załoga na lądzie. Próba zażegnania konfliktu zakończyła się niepowodzeniem. „Część załogi po wieczornej zbiórce 23 czerwca samowolnie opuściła koszary! – pisze Mariusz Borowiak w książce »Stalowe drapieżniki«. – Niezdyscyplinowani marynarze awanturowali się na mieście; pijany bosmanmat Franciszek Karnowski pobił brytyjskiego żandarma. W nocy nieposłuszni członkowie załogi »Wilka« (większość z nich była pijana) wrócili do bazy". Po tym akcie buntu załoga poczuła się zupełnie bezkarna, szczególnie że Krawczyk postanowił zatuszować całą sprawę. Ukryć nie dało się jednak kolejnego zajścia z 14 lipca. Po nieudanych próbach nacisku ws. uwolnienia aresztowanego kolegi, po zajęciach, o godz. 17, 38 członków załogi, w tym 25 podoficerów, wynajęło autobus i pojechało do Forfar. Udali się do Sądu Polowego i zażądali wydania aresztowanego bosmanmata Mariana Matuszczaka. Po odmowie wyłamali drzwi i po prostu wynieśli kolegę. Ich dowódca Bogusław Krawczyk był w tym czasie w Londynie.

Cztery dni później, po odprawie dla oficerów, Krawczyk odebrał telefon z Kierownictwa Marynarki Wojennej. Według najbardziej prawdopodobnej wersji zadzwonił do niego Świrski, aby odwołać go ze stanowiska. Krawczyk zdążył jeszcze podpisać rozkaz przekazania dowództwa kpt. mar. Jerzemu Koziołkowskiemu. Miał już wcześniej przygotowane listy, w których żegnał się z przyjaciółmi. 19 lipca 1941 r. strzelił sobie w serce. „Wilk" nie wyszedł więcej na patrol bojowy. Został wycofany do rezerwy w 1942 r. Zezłomowano go w Gdyni dziewięć lat po wojnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl cdf2d61de1

FOT. ADOBE STOCK

Wywiad / Z prof. Timmym Gambinem, archeologiem podwodnym poszukiwaczem wraków

rozmawia Piotr Włoczyk

# Śledztwa w głębinach

**/ ORP „Kujawiak" wszedł na minę, gdy spieszył z pomocą brytyjskiemu niszczycielowi. Spoczął na głębokości 115 metrów...**

**PIOTR WŁOCZYK: Czym była operacja „Harpoon"?**

**PROF. TIMMY GAMBIN:** Był to konwój, który miał dostarczyć zaopatrzenie dla znajdującej się w bardzo ciężkiej sytuacji Malty. W osłonie sześciu statków transportowych brał udział m.in. ORP „Kujawiak", chroniąc te cenne jednostki przed samolotami i okrętami podwodnymi, a także nawodnymi Włoch i Niemiec. Konwój był bardzo dotkliwie atakowany po drodze, ponieważ państwa Osi chciały zagłodzić wyspę, która stanowiła dla nich potężny problem.

**Churchill nazywał ją „niezatapialnym lotniskowcem".**

Alianci dysponowali trzema kluczowymi punktami na Morzu Śródziemnym: Gibraltarem, Maltą i egipską Aleksandrią. Po stracie Grecji i Krety, gdy Rommel napierał na Egipt, utrzymanie tych trzech baz było absolutnie kluczowe dla tego teatru wojny. Malta była jednak okrążona przez wojska państw Osi. Niedaleko na północy leży Sycylia, a od południa zagrażały nam siły okupujące dużą część Afryki Północnej.

Na wyspie mieściła się baza lotnictwa brytyjskiego, służącego do obrony wyspy, ale także do atakowania okrętów i statków płynących z Włoch do Afryki Północnej z zaopatrzeniem dla wojsk Rommla. Z dużej bazy marynarki wojennej na Malcie wypływały z kolei alianckie okręty podwodne atakujące konwoje Osi.

Wszystkie te operacje wymagały wielkich ilości paliwa, amunicji, wymiany zmęczonych żołnierzy, marynarzy i lotników. Trzeba było też dostarczyć żywność ludności cywilnej, bo Malta od dawna jest bardzo przeludniona, a przez to skazana na import żywności. Dlatego każdy konwój był na wagę złota.

**Tym razem pomoc płynęła z Zachodu.**

Niektóre konwoje wysyłane były z Egiptu, a inne z Wielkiej Brytanii i przepływały przez Gibraltar. Statki i okręty biorące udział w operacji „Harpoon" płynęły właśnie z Gibraltaru. Na tej drodze roiło się od niebezpieczeństw, trzeba było zachować czujność do samego końca.

**Z sześciu statków z zaopatrzeniem tylko dwa dopłynęły, nocą z 15 na 16 czerwca 1942 r., do portu w La Valetcie. „Kujawiak" pozostał z tyłu, osłaniając je do końca. Jak wyglądały jego ostatnie chwile?**

Niemcy i Włosi nieustannie minowali podejście do portu, to była ich ostatnia szansa na zatopienie statków i okrętów idących z pomocą wyspie. Kiedy już było widać wyspę, doszło do tragedii. Jeden z brytyjskich niszczycieli wszedł na minę i zaczął tonąć. ORP „Kujawiak" bohatersko pospieszył mu z pomocą. Niestety,



eprasa.pl cdf2d61de1

rozpoczynający akcję ratunkową polski okręt sam uderzył w minę, która wyrwała dużą dziurę w kadłubie. „Kujawiak" szybko zatonął, zabierając ze sobą na dno 13 marynarzy.

**Na odnalezienie „Kujawiaka" trzeba było czekać 72 lata. Okręt odnaleziony został przez ekspedycję Stowarzyszenia „Wyprawy Wrakowe", przy pańskim współudziale. Dlaczego tak trudno było odnaleźć „Kujawiaka", skoro w raportach na temat zatonięcia podane zostało przybliżone miejsce zdarzenia?**

To wszystko nie jest takie łatwe, jakby się wydawało, ponieważ to, co dla mnie leży w odległości 500 metrów, w pańskiej ocenie może leżeć kilometr dalej, a dla jeszcze innej osoby to mogą być 2 kilometry. Morze to naprawdę duże miejsce, tym bardziej gdy w grę wchodzi większa głębokość. Przypomnę tylko, że „Kujawiaka" odnaleźliśmy na głębokości 115 metrów. Chciałbym skorzystać z okazji i pochwalić polską ekipę poszukiwawczą, bo była ona naprawdę bardzo dobrze przygotowana, jej członkowie zrobili świetny research.

**Czy w tych poszukiwaniach dodatkowym utrudnieniem nie było to, że dno wokół Malty dosłownie usiane jest wrakami?**

Tak, dno wokół Malty faktycznie pełne jest szczątków okrętów i statków, co rodzi pewne komplikacje. Wpaść na szczątki jakiejś zatopionej jednostki to jedno, ale potem trzeba się mocno natrudzić, żeby potwierdzić, z czym dokładnie mamy do czynienia. Tylko statki i okręty o szczególnym wyglądzie są łatwe do identyfikacji. Akurat „Kujawiak" nie należy do takich jednostek. W sukcesie ekspedycji poszukiwawczej dużą rolę odegrał robot podwodny – stworzony w Polsce – który pomógł zidentyfikować L 72, czyli ORP „Kujawiaka".

**Jak będzie pan wspominał pracę przy poszukiwaniach „Kujawiaka"?**

To było dla mnie wyróżnienie, ponieważ „Kujawiak" to bardzo ważny okręt dla Polski z uwagi na bohaterstwo okazane przez załogę, dla aliantów, bo pomógł zaopatrzyć ważną bazę, ale także dla samych Maltańczyków, którzy w czasie wojny bardzo cierpieli i doceniali każdy transport z pomocą.

**To nie było dla pana jedyne takie znalezisko. Po niemal 70 latach odnalazł pan wrak HMS „Olympusa", który zatonął u wybrzeży Malty miesiąc przed „Kujawiakiem". Również w tym przypadku powodem był wybuch miny. Niemal na cud zakrawa to, że dziewięciu członków załogi tego okrętu podwodnego przeżyło wybuch i uratowało się po przepłynięciu 11 kilometrów...**

„Olympus" zatonął bliżej brzegu, ale z powodu prądów morskich załoga musiała nadłożyć sporo drogi. Proszę mi wierzyć na słowo, że przepłynięcie w maju 11 kilometrów w Morzu Śródziemnym to olbrzymie wyzwanie dla ludzi, którzy nie są profesjonalnymi pływakami. Faktycznie, wygląda to jak cud.

**Ich ocalenie stało się sensacją na Malcie?**

Wręcz przeciwnie. Wszystko było trzymane w tajemnicy, żeby nie obniżać morale załogi Malty, a także cywili. Pamiętajmy, że to był sam środek wojny, a wraz z „Olympusem" poszło na dno 89 ludzi. To była największa pojedyncza tragedia w historii sił podwodnych Royal Navy.

„Olympus" przewoził wówczas trzy załogi – niedługo wcześniej dwa okręty podwodne zostały zatopione – na szczęście bez załóg – w porcie. Londyn wysłał więc „Olympusa", by ściągnąć je do domu. Na pokładzie tego okrętu zginęło trzech kapitanów i wielu twardych, bardzo doświadczonych podwodniaków.

To odkrycie nie było jednak planowane. Tworzyliśmy wówczas mapę dna obszaru, na którym w czasie wojny było pole minowe, i tak wpadliśmy na wrak tego okrętu podwodnego. Wieści o odnalezieniu „Olympusa" odbiły się w Wielkiej Brytanii szerokim echem, ale niestety zainteresowanie bardzo mocno osłabło, kiedy zaczęliśmy się starać o fundusze na godne upamiętnienie „Olympusa"...

**Niemożliwe.**

Też mi się to nie mieściło w głowie, ale tak wyglądają fakty. Na szczęście pewna firma wypuściła specjalną serię zegarków „HMS Olympus", dzięki czemu udało się pokryć koszty godnego upamiętnienia ofiar tej tragedii.

**Te wszystkie historie pokazują, że sytuacja Maltańczyków faktycznie nie była w czasie wojny do pozazdroszczenia, bo – chociaż została im oszczędzona okupacja – cały naród żył właściwie na polu bitwy...**

To prawda, Malta przez kilka lat była polem bitwy. I dlatego ludność wyspy została odznaczona Krzyżem Jerzego, najwyższym odznaczeniem cywilnym przyznawanym przez Zjednoczone Królestwo, za swoją postawę w czasie wojny. To jedyny przypadek w historii Wielkiej Brytanii, gdy to odznaczenie zostało przyznane całej grupie cywili. Dla mojego narodu był to naprawdę ciężki czas.

**Jak to wyglądało w przypadku pańskiej rodziny?**

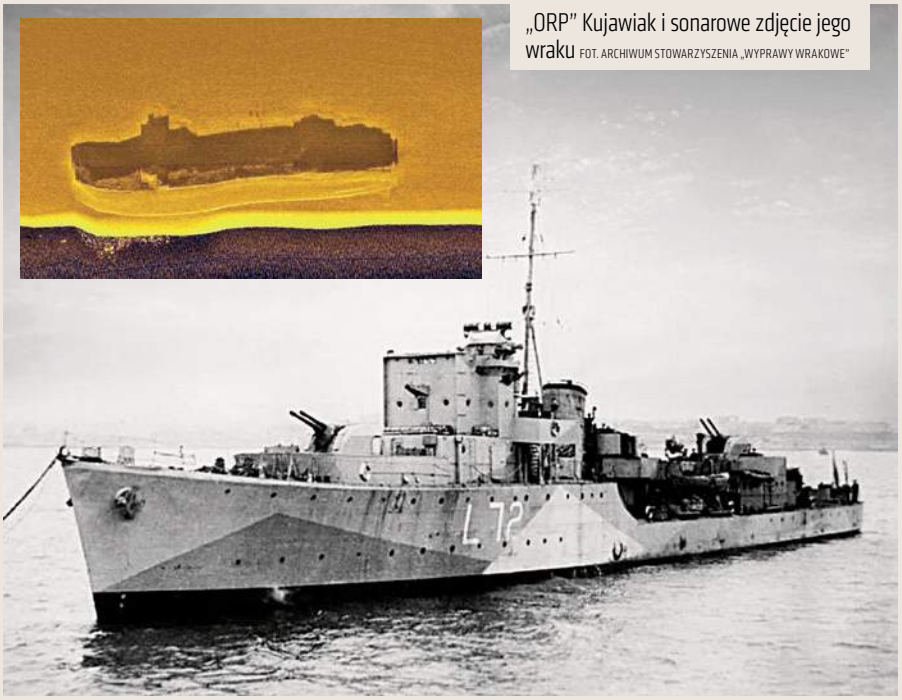


„ORP" Kujawiak i sonarowe zdjęcie jego wraku FOT. ARCHIWUM STOWARZYSZENIA „WYPRAWY WRAKOWE"



eprasa.pl cdf2d61de1

La Valetta na Malcie po bombardowaniu FOT. WIKIPEDIA

Japońskie bliźniacze pancerniki „Musashi" i „Yamato" FOT. WIKIPEDIA

Urodziłem się i dorastałem na Malcie, moi rodzice doskonale pamiętali tamte czasy. Mój młodszy syn brał udział jakiś czas temu w projekcie szkolnym mającym na celu udokumentowanie wspomnień starszego pokolenia Maltańczyków. Kiedy zapytał moją mamę, co przede wszystkim zapamiętała z wojny, odpowiedziała: „Przerażający dźwięk stukasów bombardujących naszą wyspę".

Moja mama podkreślała, że mogła żyć z niedoborem żywności, ale wspomnienie nagłych ataków stukasów wywoływało u niej strach nawet 60 lat po wojnie. Moje pokolenie dorastało w cieniu wojennych przeżyć naszych rodziców. Nie wolno nam było zostawić niczego na talerzu, bo od razu starsi przypominali nam: „Szanuj jedzenie, bo nie wiesz, co to znaczy być głodnym".

Wspomniałem już, że Malta była wówczas – i wciąż jest – bardzo gęsto zaludniona. Dodajmy do tego olbrzymią liczbę alianckich żołnierzy, marynarzy i lotników, którzy u nas służyli. Uzależnienie od dostaw z zewnątrz świetnie widać w oficjalnych rządowych statystykach – gdy był problem z konwojami, tydzień po tygodniu zmniejszane były racje żywnościowe, aż do poziomu, który groził głodem. Na zdjęciach i filmach nakręconych na Malcie w czasie wojny widać, jak chudzi stali się cywile. Konwoje uratowały naszą wyspę przed zagłodzeniem. Dlatego Maltańczycy są tak wdzięczni wszystkim, którzy przyczynili się do zaopatrywania wyspy, i pamiętają o tych, którzy oddali w czasie tej służby własne życie.

**Tylko między marcem a kwietniem 1942 r. sami Niemcy przeprowadzili niemal 12 tys. lotów bojowych nad Maltą i zrzucili na nią 6,5 tys. ton bomb. To musiało być piekło, zważywszy na niewielką powierzchnię wyspy i gęstość zaludnienia...**

Malta – biorąc pod uwagę jej powierzchnię – była jednym z najciężej bombardowanych miejsc w czasie II wojny światowej. Ataki skupiały się na miastach portowych, jedno z nich zostało zniszczone w 90 proc., a stolica, La Valetta, w ok. jednej piątej została obrócona w gruzy. Blisko połowa populacji mieszkała w pobliżu głównego portu – to tam były miejsca pracy. A przecież był to główny cel ataków powietrznych.

Co ciekawe, Maltańczyków uratował wapień – skała, z której zbudowana jest wyspa. Kiedy Włochy wypowiedziały wojnę aliantom, maltańskie władze rozpoczęły gigantyczną kampanię budowy schronów przeciwlotniczych właśnie w skałach. I to dlatego relatywnie niewielu Maltańczyków zginęło w nalotach. Te schrony imponują jeszcze dziś. Budowano w nich nawet kaplice i specjalne sale dla rodzących.

**Na koniec muszę jeszcze pana zapytać o „Musashi", czyli okręt, przy którym nawet „Bismarck" nie wygląda już tak okazale. Ponad 260 metrów długości, 70 tys. ton wyporności, 18-calowe działa... Przez 71 lat „Musashi" leżał ukryty u wybrzeży Filipin, aż postanowił go odnaleźć Paul Allen, współzałożyciel Microsoftu. Jak dołączył pan do zespołu poszukiwawczego? Któregoś dnia odebrał pan telefon od Allena?**

(śmiech) Nie, mój angaż nie był aż tak filmowy. Praca przy poszukiwaniu „Musashi" była czymś, o czym badacze tacy jak ja marzą całe życie. „Musashi" był w końcu największym pancernikiem w historii. Paul Allen (zmarł w zeszłym roku) był wspaniałym facetem, wizjonerem, który poświęcał dużo energii i pieniędzy na poszukiwanie najciekawszych wraków z czasów II wojny światowej.

Mieliśmy do dyspozycji najlepszy na świecie sprzęt, ale mimo to nie było to wcale łatwe zadanie. „Musashi" spoczywa na głębokości 1,2 tys. metrów, a dno morskie w tamtym rejonie jest bardzo górzyste. To była bardzo wymagająca praca, ale rezultat, odnalezienie tego kolosa, był czymś naprawdę niesamowitym. Obawiam się, że już nigdy nie będę miał okazji pracować przy tak spektakularnym projekcie.

**„Musashi" na każdym musi zrobić wrażenie, ale przecież brał pan udział w bardzo wielu projektach poszukiwawczych. Który z wraków jest dla pana najcenniejszy?**

Moim ukochanym projektem jest praca przy wraku fenickiego statku, który zatonął u wybrzeży Malty ok. 2,7 tys. lat temu. Spoczywa on na głębokości 110 metrów, pracuję już przy nim od 11 lat. To najstarszy wrak odnaleziony w centralnej części Morza Śródziemnego.

Przewożone przez niego towary są w bardzo dobry stanie, co jest o tyle ważne, że nie wiemy zbyt wiele na temat handlu śródziemnomorskiego z tamtego okresu. Statek przewoził specjalne kamienie do tarcia ziaren oraz duży zestaw glinianych naczyń do przechowywania wina.

**Skala jest tu nieco inna niż w przypadku „Musashi", ale widać, że mógłby pan opowiadać o tym wraku godzinami.**

Tak, bo jest mi on szczególnie bliski – spoczywa w końcu u wybrzeży mojej wyspy, blisko mojego domu.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

*Autor dziękuje organizatorom VIII Międzynarodowego Festiwalu Nurkowania Wrakowego za pomoc w zorganizowaniu wywiadu.*

**prof. Timmy Gambin**
wykłada archeologię podwodną na Uniwersytecie Maltańskim, od wielu lat bierze udział w ekspedycjach wrakowych. Z jego udziałem udało się odnaleźć m.in. ORP „Kujawiaka", japoński pancernik „Musashi", a także HMS „Olympus".



eprasa.pl cdf2d61de1

HISTORIA DO RZECZY

# CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

## ZAMÓW PRENUMERATĘ

**PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"**

**+ W PREZENCIE KSIĄŻKA LESZKA ADAMCZEWSKIEGO „W KRÓLESTWIE HANSA FRANKA. SENSACJE Z GENERALNEGO GUBERNATORSTWA"**

### GENERALNE GUBERNATORSTWO - NIELEGALNE „PAŃSTWO" UTWORZONE PRZEZ NIEMCÓW NA TERENACH OKUPOWANEJ RZECZPOSPOLITEJ.

Istniało całą wojnę - od 1939 do 1945 roku. Polakom kojarzyło się głównie z ulicznymi łapankami, egzekucjami, deportacjami do obozów koncentracyjnych lub na roboty przymusowe, a także dwoma przegranymi powstaniami. W książce autor prowadzi czytelników na tajne narady hitlerowskich dygnitarzy, zagląda za kulisy przygotowań do zamachów AK na Franza Kutscherę oraz Hansa Franka i Wilhelma Koppego. Odwiedza dwa schrony Führera i próbuje ustalić czy Adolf Hitler mógł gościć w klasztorze jasnogórskim w Częstochowie.

**78 zł**

oszczędność 69 zł

**JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:**
WPŁATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

**JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:**
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

**WIĘCEJ INFORMACJI:**
E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl cdf2d61de1

Jakub Ostromęcki

**Seksowna Isabelle Adjani i krwawa rzeź hugenotów. Film „Królowa Margot" przeszedł do historii kina kostiumowego**

XVI w. / W mroku nocy św. Bartłomieja

# Królowa Margot

Daniel Auteuil i Isabelle Adjani w filmie „Królowa Margot" FOT. EAST NEWS



eprasa.pl cd2d61fd

François Dubois „Masakra w Dniu św. Bartłomieja" FOT. WIKIPEDIA

Chéreau był zmuszony niegroźnie zmienić bieg historii już w pierwszej scenie. Henryk z Nawarry oraz Małgorzata de Valois siedzą razem przed ołtarzem i razem wychodzą z kościoła, prowadząc dość chłodny jak na nowożeńców dialog. W rzeczywistości ich ceremonia ślubna rozpoczynała się według bardziej karkołomnego scenariusza: Nawarczyk hugenota nie brał udziału w katolickiej mszy i czekał na żonę za zewnątrz katedry, gdzie wygłosił swoją część przysięgi. Dopiero stamtąd para ruszyła ku Luwrowi po specjalnie wybudowanym podeście. Będąc wiernym co do joty prawdzie dziejowej, Chéreau straciłby okazję do szybkiego i barwnego zarazem wprowadzenia wszystkich bohaterów opowieści. Uchwycił natomiast słynny historyczny moment, w którym skamieniała Margot dostaje potężnego klapsa w kark, motywującego ją do wypowiedzenia sakramentalnego „tak".

Pierwsze godziny filmowego wesela przebiegają w bardziej napiętej atmosferze niż w rzeczywistości. Henryk Gwizjusz, przywódca najbardziej skrajnych katolików i pan młody, skaczą sobie przy tłumie świadków do gardeł. Wszak przy takim poziomie agresji niemożliwe byłyby wyszukane przedstawienia teatralne, na czele z przebieraniem się za Amazonki, gdzie aktorami byli najważniejsi z hugenotów i katolików.

Kilka scen później Katarzyna Medycejska zaczyna pleść sieć krwawego spisku. Najbardziej paląca nie jest tutaj kwestia odtworzenia samego przebiegu mordu na hugenotach, lecz jej bezpośrednia przyczyna, czyli zamach na adm. Coligny'ego. Dumas i Chéreau zwalili wszystko na chytrą Włoszkę. To ona zleca zabójstwo, wściekła, że Karol IX zamiast słuchać się jej, zaczyna do hugenockiego przywódcy mówić „ojcze". Wściekłość hugenotów z powodu zamachu na ich przywódcę daje Katarzynie wygodny pretekst do rozprawy z nimi. Wystarczy tylko zmusić do podpisu słabego na umyśle króla.

Dzisiaj historycy wskazują jednak na innego zleceniodawcę zamachu – to ród albo Gwizjuszów, albo króla Hiszpanii Filipa II, który chciał wyeliminować niebezpiecznego wodza prącego do wojny w Niderlandach. Zgoda wewnętrzna we Francji, którą zapoczątkować miał słynny ślub, nie była absolutnie w hiszpańskim interesie. W myśl tak ułożonego biegu wypadków Katarzyna Medycejska znalazła się w niebezpiecznej sytuacji z prącymi do zwarcia hugenotami z jednej strony i zarzucającymi jej „miękkość wobec heretyków" potężnymi Gwizjuszami z drugiej. Wybrała rozwiązanie brutalne, ale jej zdaniem konieczne w celu utrzymania władzy.

Dumasa i Chéreau interesował przede wszystkim dwór, nie zaś cała Francja. Stąd dość enigmatyczne zdanie narratora na początku filmu, że „hugenoci prowokowali mieszkańców Paryża". Po prawdzie przemoc między oboma wyznaniami trwała już w najlepsze od kilkunastu lat i warto zaznaczyć, że hugenoci bywali stroną dokonującą krwawych mordów, by wspomnieć rzeź katolików w Nimes, która przeszła do historii jako „Michelada".

## Trujące szminki

Główne narzędzia rozwiązywania sporów politycznych u Dumasa, zgodnie z konwencją powieści, to ampułka z trutką oraz sztylet. Ekranizacja pozostaje wierna temu dogmatowi. Atmosfera spisku gęstnieje już w pierwszej scenie, gdy Henryk Nawarski wypala wprost do Małgorzaty: „Pani matka otruła moją". Chodzi o Joannę d'Albert, której złowieszcza Katarzyna Medycejska miała „podarować" zatrute rękawiczki.

Perfidna Włoszka dwa razy próbuje otruć przebywającego u niej w niewoli Burbona, nie szczędząc przy tym życia Bogu ducha winnych dworzan. Narzędziem zbrodni staje się najpierw silnie toksyczna szminka, podetknięta przez Katarzynę nieświadomej niczego dwórce. Trutka ma przeniknąć do organizmu Nawarczyka w czasie upojnej nocy z ową nieszczęśnicą. W ostatniej chwili do komnaty wpada jednak Małgorzata, przerywając wiodące ku zgubie rozkosze i ratując niewiernego męża. Dwórka



eprasa.pl cdf2d61de1

umiera w konwulsjach, a jej ciało w celu upozorowania samobójstwa zostaje wyrzucone z okna przez ludzi Katarzyny.

Niestrudzona królewska matka przygotowuje kolejną pułapkę, nasączając trucizną strony traktatu o sokolnictwie, w ten sam sposób, jaki widzieliśmy w późniejszej o 150 lat powieści Umberto Eco „Imię róży". Najmłodszy z Walezjuszów podrzuca traktat do komnat Nawarczyka. Pierwszy do ręki bierze go jednak sam król Karol IX. Na jego ciele wkrótce pojawia się krwawy pot. Dni władcy są policzone, o tym jednak, że został otruty, dowiaduje się sam, obserwując psa, który pogryzł feralną książkę. Trucizna działa powoli, toteż król, wdzięczny za uratowanie życia podczas polowania, zdąży jeszcze wyciągnąć Henryka z zasadzki przygotowanej przez sztyletników Katarzyny.

Dumas, a w ślad za nim Chéreau, chcieli stworzyć ciekawą fabułę, gdzie rytm wyznaczają kolejne zamachy i romanse, a nie kronikarsko odtwarzać bieg dziejów. Zdecydowanie wyolbrzymili zatem trucicielskie zapędy Medyceuszki. Jaonna d'Albert i Karol IX umarli w rzeczywistości na gruźlicę. Karolina de Sauve dożyła zaś starości. Aleksandra Skrzypietz, autorka biografii królowej Margot, słusznie zauważa, że gdyby Medyceuszka była opętana manią trucicielstwa, pierwszą ofiarą padłaby kochanka męża Katarzyny, piękna Diana de Poitiers. Owa pani oddawała się królowi niemal na oczach zdradzanej żony. Żadna władczyni nie przepuściłaby takiego upokorzenia – a de Poitiers została zaledwie pozbawiona pałacu i odprawiona z dworu.

Najmłodszy z Walezjuszów, Franciszek, nie nadaje się na narzędzie trucicielstwa w rękach matki. Zakompleksiony książę miał dość bycia sekowanym, poniżanym i wyśmiewanym przez własny ród, toteż stał się sojusznikiem Nawarczyka. Razem planowali nawet ucieczkę w lutym 1574 r., która skończyła się jednak dla obu wizytą za kratami zamku Vincennes. Nie znaczy oczywiście, że historyczny Henryk mógł się czuć w pałacowym areszcie całkowicie bezpiecznie. Podczas seksualnych igraszek z Karoliną de Sauves stracił przytomność i został ocucony przez niezawodną oraz wyrozumiałą jak zwykle żonę – zdarzenie to mogło się stać inspiracją dla sceny z zatrutą szminką.

W filmie pobyt Henryka Nawarskiego w Luwrze został nie tylko udramatyzowany, lecz także skrócony. W rzeczywistości Burbon przebywał tam od 1572 do lutego 1576 r.

W powieści Dumasa oraz w jej ekranizacji życie Henryka z Nawarry zależy tyleż od wsparcia żony, co króla Karola IX. Więź między nimi staje się bardzo silna po tym, jak Burbon ratuje Walezjusza spod szabel dzika podczas polowania. Dzięki wywołanemu zamieszaniu może uciec, wraca jednak z monarchą do Paryża. Druga okazja, z której tym razem Nawarczyk już skorzystał, przydarza się wkrótce po otruciu Karola, również podczas polowania.

Król Karol IX rzeczywiście polubił Nawarczyka, jednak scena, w której Burbon ratuje króla, jest zmyślona. Prawdziwa ucieczka Henryka z Paryża wyglądała dość banalnie, choć również rozegrała się podczas polowania. Stało się to w lutym 1576 r. (w filmie jest pełnia lata) i być może było to ukartowane przez samą Katarzynę Medycejską, której akurat zależało na tym, aby powiększyć grono książąt walczących o przywództwo wśród hugenotów. Henryk nie mógł być do tego użyty, bo pozostawał za kratami Luwru.

Katarzynę zaczęło w pewnym momencie niepokoić, że hugenot może przejąć tron po jej synach. Do żadnego zamachu jednak nie doszło – Małgorzata chroniła męża, nie godząc się na sugerowany przez matkę rozwód i trzymając go z dala od grona podejrzanych w tzw. aferze La Môle-Coconas.

Dumas i Chéreau bardzo mocno pofolgowali sobie w kreacji La Môle'a, hugenockiego szlachcica, który jest jednym z gości na weselu Henryka i Małgorzaty. Gospody są skrajnie zatłoczone, toteż przybysz koczuje na ulicy. Anonimowi łotrzykowie kradną mu konia, ale wściekłego i sfrustrowanego spotyka dość niecodzienna rekompensata – przechadzająca się w masce Margot oddaje mu swoje ciało w jednym z zaułków. To początek romansu młodzieńca o urodzie modela z siostrą jednego i żoną innego króla.

Isabelle Adjani i Daniel Auteuil

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Powieściowy i filmowy La Môle zawdzięcza Małgorzacie naprawdę sporo – zostaje uratowany z rzezi św. Bartłomieja. Potem kilkakrotnie spotyka się z kochanką w czasie tajnych schadzek, wymyślając równocześnie plan odbicia jej i jej męża Henryka z Luwru. Podczas jednej z takich prób zostaje pojmany przez ludzi Walezjuszów i stracony. Jego głowę Małgorzata każe katu zabalsamować i traktuje niemal jak relikwię. La Môle'a i niejakiego Coconata wiąże dość osobliwa przyjaźń. Zrazu zaprzysiężeni wrogowie walczący po obu stronach katolicko-hugenockiego konfliktu po krwawym i brutalnym pojedynku, gdzie niemal wyzionęli ducha, stają się przyjaciółmi.

Kim byli prawdziwy kochanek Margot i Coconat? Oddajmy głos Jeanowi-François Solnonowi, autorowi biografii Katarzyny Medycejskiej: „La Môle, przezywany dworskim błaznem, znany był jako niepoprawny amant, z taką samą wytrwałością oddający się miłosnym podbojom co manifestujący swą pobożność. Nie wzdragał się przed wysłuchaniem kilku mszy dziennie, będąc przekonany, że dzięki nim odpuszczone mu zostaną jego grzechy". W filmie próżno szukać zarówno śladów owej fałszywej pobożności, jak i rozpasania La Môle'a, który pozostaje wierny Margot niczym książę z bajki. Nie jest również prawdą, jakoby znajomość La Môle'a i Coconata była aż tak burzliwa. Panowie poznali się w dość zwyczajnych okolicznościach – na służbie u młodego Franciszka, a Coconat był przy tym hiszpańskim agentem, któremu udało się nawet dołączyć do świty Henryka III w czasie jego podróży do Rzeczypospolitej. Dumas i Chéreau zaprowadzili dwóch spiskowców do kata, co jest zgodne z prawdą historyczną, podobnie jak perwersyjne z naszego punktu widzenia balsamowanie głów przez opuszczone kochanki.

## Luwr zboczeńców

Przedstawiony w filmie ród Walezjuszów to gniazdo zwyrodnialców.

Matka, która ostentacyjnie daje córce do zrozumienia, że jest gorszym dzieckiem. Siostra zmuszona do oddania się braciom w wieku dorosłym wyrastająca na nimfomankę. Brat, który cieszy się ze śmierci brata, bo to przybliża go do korony.

Katarzyna Medycejska faktycznie nie kryła, że ma dzieci lepsze i gorsze, jawnie faworyzując Henryka III. Więcej kłopotów przysparza ocena postaci królowej Małgorzaty i jej olbrzymiej chuci. Królowa ma kilku kochanków jednocześnie: Gwizjusza, La Môle'a, ale w czasie dworskich imprez rozgląda się jeszcze pożądliwie za następnymi. Jej życie erotyczne w filmie przybiera postać patologii. Niezbyt lubiący swoją siostrę Henryk III (u nas zwany Walezym) pod zarzutem rzekomego trzymania z hugenotami upokarza ją publicznie, zdziera suknię i wykrzykuje do rozbawionych zebranych o „tatuażu, który zrobiliśmy ci w pewnym miejscu".

Dostępne na naszym rynku biografie królowej całkowicie sobie w tym względzie przeczą. Najbardziej pobłażliwa wobec Margot jest Aleksandra Skrzypietz, która widzi w królowej niewiastę kochliwą, jakich wiele, ale na pewno nie wyuzdaną. „Wizja rozpustnego domu Walezjuszów, na którym według ówczesnych moralizatorów i kąśliwych pism politycznych czas spędzano przede wszystkim na szaleństwach erotycznych, pozwoliła na ukazanie go w tak czarnych barwach, że nic nie było czynem wystarczająco zakazanym, by nie mogło się na nim wydarzyć. W tak namalowanym obrazie stosunki kazirodcze dzieci Katarzyny Medycejskiej były również do przyjęcia. Jednak w tak daleko posuniętą wolność wewnętrzną Małgorzaty i jej braci należy wątpić. Być może królowa Nawarry była gotowa pójść pod prąd i rzucić wyzwanie zasadom, ale z pewnością nie była aż tak skłócona z zasadami moralności".

O wiele bardziej pikantnie swawole Margot przedstawia w swej biografii Michel de Decker, nazywając ją wprost libertynką i dając wiarę jej pamiętnikowi, w którym sugeruje, że jej własny brat Henryk III próbował wziąć ją siłą. Jakiejkolwiek wersji byśmy się trzymali, Margot z pewnością nie była cichą i cnotliwą myszką. Jej romans (przed ślubem) z Gwizjuszem jest prawdziwy. Według Deckera młoda królewna została przyłapana kilka razy na seksie na schodach i w zakamarkach Luwru. Matka nawymyślała ją za

to od „nocnych worków", a kilkaset lat później reżyser na tej podstawie nakręcił uliczną scenę z La Môle'em.

Dodać należy, że sroga matczyna reprymenda była podyktowana tyleż oburzeniem, że księżniczka parzy się przed ślubem, co faktem, iż kochankiem jest właśnie Gwizjusz. Dobry katolik, ale zarazem przedstawiciel rodu mogącego odebrać koronę Walezjuszom.

W latach, których dotyczy akcja filmu, Margot miała też kilku innych kochanków: Bussy'ego i Balzaca d'Entraguesa. Przygody owe nie wykraczały jednak poza średnią występującą na wielu innych dworach. Pamiętajmy, idąc za fundamentalną pracą Norberta Eliasa „Przemiany obyczajów w cywilizacji Zachodu", że łóżkowe swawole były wówczas bardziej akceptowane niż w XIX w. i na początku XX w. Margot nie szła do łódzka z byle kim – nawet Henryk z Nawarry, przecież kobieciarz, w jej oczach miał opinię „brudnego, cuchnącego gbura wymawiającego »r« jak gaskoński chłop". Filmowy Nawarczyk wygląda i zachowuje się jednak z dużo większą galanterią. Jednakże Dumas i Chéreau dobrze uchwycili potrzebę sojuszy tych dwojga – ona potrzebowała męża, księcia krwi z tak znakomitego rodu jak Burbonowie, aby cokolwiek znaczyć na dworze, gdzie przeciwko niej byli najpotężniejszy z braci i matka; on potrzebował Margot, aby jako hugenot przetrwać wśród katolików.

Z naszego punktu widzenia dwór Walezjuszów rzeczywiście nie był miłym miejscem pełnym matczynej i braterskiej miłości. Henryk III, choć katolik, wrzucił niegdyś małej Margot do ognia modlitewnik, złośliwie zmuszając ją do czytania hugenockich psalmów. Jako król Francji otaczał się gromadką „pieszczoszków", uwielbiających przebierać się za kobiety i według Deckera uskuteczniać homoseksualne orgie. Reżyser, choć zdeklarowany gej, związany zresztą wówczas z grającym z filmie Pascalem Greggorym, stronił od publicznych nawiązań do swojej orientacji. Pozostał wierny tej maksymie, również kręcąc „Królową Margot".

U Chéreau zło związane jest bezpośrednio z dworem i polityką. Mało widzimy w filmie paryskiej ulicy. A praktykowała ona wówczas zwyczaje, które nas napawałyby odrazą. Być może chcąc ograniczyć akcję do wąskiego grona osób, Chéreau pominął najbardziej drastyczny z nich. Chodzi o coroczne palenie żywych kotów. Ów rytuał spełniający funkcję podobną do dzisiejszego oglądania horrorów polegał na zawieszaniu Bogu ducha winnych stworzeń w klatce nad płonącym stosem. Karol IX był gorącym entuzjastą owego „eventu" i sam podobno dorzucił do owej klatki upolowanego lisa.

Nie chcąc mnożyć wątków, Chéreau musiał pominąć cały bagaż intryg następujących po nocy św. Bartłomieja, a świetnie przecież nadających się do filmu kostiumowego. Kochanek Małgorzaty, Bussy, zorganizował brawurową ucieczkę Franciszka Walezjusza z dworu, wykorzystując do tego rozpadające się mury opactwa Saint-Germain-de-Prés. Innym razem Małgorzata, mając dość oszczerstw niejakiego Du Gasta, zleciła jego morderstwo. Zadania podjął się inny szlachcic o nazwisku Vitteaux, ukrywający się w klasztorze za jakieś niecne czyny. Zbereźnik zażądał podobno zapłaty w naturze na zimnej klasztornej podłodze, musiał jednak zadowolić się złotem. Wspiął się zatem po drabince sznurowej do mieszkania, gdzie na schadzki przychodził du Gast, i zasadziwszy się na niego, przeszył go czterokrotnie szpadą, wycierając ubroczony oręż w suknię krzyczącej z przerażenia kochanki ofiary.

Warto na koniec poruszyć pewną zabawną kwestię. Chéreau, choć miał ludzi znających się na zachodnioeuropejskiej modzie renesansowej, popełnił potężne faux pas, ubierając polskiego posła w... turban. Kto by się jednak przejmował przedstawicielem jakiegoś dzikiego kraju?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl cdf2d61de1

Wrocław na drzeworycie z XV w. FOT. WIKIMEDIA

XV–XX w. / Niemcy i Polacy wspominają miasto nad Odrą

# Wrocławski wszechświat

Piotr Semka

**Chociaż Wrocław przez setki lat był poza granicami naszego kraju, to Polacy myśleli o mieście z sentymentem i nostalgią**

Czy można zarysować jakąś mapę polskiej pamięci o największych miastach, z którymi Polska traciła kontakt państwowy i polityczny? Dzisiaj, gdy pada takie hasło, najszybciej przychodzą na myśl Polakom Wilno i Lwów. Do 1939 r. taka archeologia pamięci obejmowała jednak głównie miasta na północ i zachód od Wielkopolski oraz Pomorza.

Silnie związany z myśleniem o Rzeczypospolitej był królewski Gdańsk. W tym przypadku można było zaobserwować constans trwałej pamięci o przynależności tego miasta do państwa polskiego przez cały okres porozbiorowy. „Miasto Gdańsk niegdyś nasze, będzie znowu nasze" – pisał Adam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu".

Z kolei Szczecin – i jego związki ze Słowiańszczyzną raczej, a dopiero na drugim planie z Polską – pojawił się w zbiorowej pamięci Polaków dopiero w XX w. wraz z pamięcią o najdalszym zasięgu państwa Piastów na zachodzie. Olsztyn jako samodzielny symbol kojarzono z Kopernikiem w XIX w., a pamięć o przynależności Warmii do Rzeczypospolitej przypominał silny tam katolicyzm.

Na tym tle Wrocław zajmował osobne miejsce. Po pierwsze, znajdował się na trasie do Drezna i dalej do Paryża, więc był punktem postojowym wielu Polaków jadących na zachód Europy. Po drugie, nikt, kto zwiedzał miasto, nie mógł nie zauważyć licznych pamiątek po Piastach śląskich pod niemiecką politurą. Po trzecie, było to miasto, w którym aż od I wojny światowej żywioł polskojęzyczny był zauważalny, przynajmniej w najniższych warstwach społecznych.

## Przedsionek Wschodu

O tym, jak metropolię nad Odrą postrzegali przez wieki podróżni polscy i niemieccy, opowiada niezwykle interesująca książka „Orbis Wratislaviae – Wrocław



eprasa.pl cdf2d61de1

Wrocław po walkach w 1945 r. FOT. WIKIPEDIA

w relacjach dawnych i współczesnych" autorstwa Krzysztofa Ruchniewicza i Marka Zybury. Tych dwóch badaczy stosunków polsko-niemieckich, związanych z kolegium im. Willy'ego Brandta Uniwersytetu Wrocławskiego, przekopało się przez sporą liczbę relacji z podróży poprzez gród nad Odrą.

Pierwsza zamieszczona w książce relacja pochodzi z 1493 r. Są to zapiski Hartmanna Schedela, lekarza humanisty i historyka z Norymbergi. Ostatni tekst to esej Andrzeja Zawady, pisarza i poety o „wrocławskim genius loci". Łącznie mamy 65 fragmentów relacji lub wspomnień – głównie Niemców i Polaków, choć jest też jeden Amerykanin, poseł USA w Berlinie John Quincy Adams w latach 1797–1802, późniejszy szósty prezydent Ameryki w latach 1825–1829. Trochę rozczarowuje zupełny brak relacji Czechów, co byłoby ciekawe z racji występującej w XIX i XX w. tęsknoty synów Bohemii za byłym miastem czeskiej korony. Nie wybrzydzajmy jednak. Autorzy napracowali się solidnie i w wielu przypadkach włączone do tego zbioru fragmenty po raz pierwszy ukazują się w języku polskim.

„Wrocławiu, ty Niemcom, kupcom wędrownym dajesz u siebie bezpieczną gościnę" – te wierszowane słowa Bartłomieja Steina, renesansowego humanisty z początku XVI w., rodem z Brzegu nad Odrą, a związanego z Krakowem, dobrze obrazują niemieckie spojrzenie na miasto. Dla Niemców Wrocław był bramą do Rzeczypospolitej u szczytu potęgi złotego wieku, a dla bardziej odważnych kupców – ważnym punktem na prastarej Via Regia, która na niemiecko-polskim styku biegła od Frankfurtu nad Menem przez Lipsk i Wrocław, Kraków i Lwów aż do Kijowa.

W 1599 r. wrocławskie piwo zwane szepcem było już tak słynne, że osobny wiersz poświęca mu poeta Anthon Pluntzkau. Z kolei Martin Ziller, geograf barokowy, pisze w 1650 r.: „[…] zaliczają Wrocław do miast w Niemczech najszacowniejszych i najpiękniejszych". Gród Wratysława był wtedy formalnie w Austrii, ale ówcześni uznawali cały teren Rzeszy za „kraj niemiecki".

**KRZYSZTOF RUCHNIEWICZ, MAREK ZYBURA**
**„ORBIS WRATISLAVIAE – WROCŁAW W RELACJACH DAWNYCH I WSPÓŁCZESNYCH"**
VIA NOVA

Jednym z pierwszych Polaków opisujących nadodrzańską metropolię był Franciszek Ksawery Bohusz, który przejeżdżał tędy w 1777 r. Miasto wówczas już od 31 lat znajdowało się w żelaznym uścisku pruskiego „starego Fryca". Bohusz dość boleśnie zapamiętał atmosferę zamordyzmu Hohenzollernów, gdyż opisawszy miasto, relacjonuje wyjazd do Saksonii tak: „Wyjechaliśmy do Drezna [...] bardzo ukontentowani, żeśmy nazajutrz w nocy granicę pruską porzucili, uwolnieni od zdzierstw, przykrych rewizji i twardego tronu pruskiego".

W 1816 r. miasto w drodze do Cieplic odwiedza Izabela Czartoryska, matka polityka księcia Adama Jerzego Czartoryskiego i pisarki Marii Wirtemberskiej. Polska arystokratka potrafi już zauważyć ślady po piastowskiej przeszłości grodu. Oddajmy głos pani na Puławach: „Weszliśmy do przepięknej katedry. Wieki upłynęły, odkąd niezliczone głosy wznoszą się ku Stwórcy w tych murach. Oglądam



eprasa.pl cdf2d61de1

stare sklepienia, gotyckie filary; patrzyłam na nie z szacunkiem i wzruszeniem. Był czas, kiedy to wszystko należało do Polski. Długo tu rządzili Piastowie".

Cztery lata później, w 1820 r., polityk galicyjski Tadeusz Wasilewski zatrzymuje się we Wrocławiu w drodze na studia do Berlina. W mieście słyszy ze zdziwieniem na ulicach polską mowę. „Śląsk utwierdził we mnie dawne przekonanie, że daremne są usiłowania tych, którzy chcą narodowi jakiemu bądź odjąć jego narodowość, a osobliwie mowę. Lud od kilkuset lat oderwany od Polski, pomieszany z tysiącami osadników niemieckich, odmienił po kilkakroć panów, przejął strój i w wielkiej części obyczaje i sposób życia od Niemców, utracił nawet skład ciała i twarzy polski, a język zachował".

Optymizm Wasilewskiego był jednak nieco na wyrost. Po 1871 r. i zjednoczeniu Niemiec gwałtowny boom – ale i koordynacja działań pruskiej szkoły, Kościoła ewangelickiego i katolickiego – oficjalnego patriotyzmu wbijanego w czasie służby wojskowej wykształcił typ „Schlesiera", który zachował ze swej słowiańskości tylko trochę lokalnych reliktów. Do 1938 r. doszło do całkowitej germanizacji potomków poddanych Piastów na zachód od Opola.

A potem wybuchła wojna i Götterdämmerung (Zmierzch bogów) 1945 r. Autorzy opisują oblężenie miasta, cytując relacje pastora Paula Peikerta (dość dobrze znane w Polsce ) i księdza katolickiego Waltera Lassmana (znane znacznie mniej).

## Nowe miasto i starzy obserwatorzy

Ruchniewicz i Zybura postanowili przybliżyć polskiemu czytelnikowi ciekawe spojrzenie niemieckich wrocławian, którzy jeszcze w trakcie wojny lub tuż po niej musieli opuścić swe miasto. Odkurzyli też relacje tych, którzy odwiedzili swe rodzinne miasto w latach 50., 60. i 70., przyjeżdżając z RFN. Przeżywali oni szok zmianą oblicza miasta lub zdobywali się na zainteresowanie szybkością jego polonizacji. Zacznijmy od krytyków.

Ursula Waage opisuje swój mało komfortowy pobyt we Wrocławiu tuż po wojnie jako niechętnie tolerowana Niemka – niezbędna dla polskich władz do odbudowy miasta. Niemka z mało sympatyczną dla polskiego czytelnika dumą przedstawia formy oporu wobec nowych gospodarzy. Jedną z nich było śpiewanie tzw. Schlesienlied, czyli nieformalnego hymnu niemieckiego Śląska, w czasie odgruzowywania miasta. W jej relacji polski nadzorca jest bezradny wobec takiej demonstracji i mści się w prostackiej formie. „Kiedy do jego uszu docierają słowa »Kehr ich einst zur Heimat wieder« (»Powrócę kiedyś znów do ojczyzny«), pojawia się [...] z dwiema łopatami i wciskając je Gizeli i mnie w dłonie, wskazuje na latrynę".

Izabela Czartoryska FOT. WIKIPEDIA

Równie ciekawe dla polskiego czytelnika są relacje Gottholda Rhodego z 1949 r., który ma wdrukowane jeszcze stare stereotypy o „lekkomyślnych Polakach", żywcem wyjęte z niemiecko-śląskich „Heimatromane" z XIX w. Rhode po zwiedzeniu miasta w polskich rękach ironicznie pisze: „Wagę, jaką Polak przywiązuje do życia na pokaz, można rozpoznać po nieproporcjonalnie dużej liczbie restauracji i kawiarni, z których wiele podniesiono całkowicie od nowa z ruin". Rhode zamartwiał się na wyrost nad złymi nawykami polskich wrocławian. Nie minie rok, gdy komunistyczne władze wykończą domiarami i podatkami te placówki prywatnej inicjatywy.

Odwiedzający Wrocław w latach 1956 i 1957 austriacki dziennikarz Charles Wassermann nie ma złudzeń – Polacy skutecznie zasiedlili miasto. „To nie jest już niemieckie Breslau" – pisze z melancholijnym realizmem.

## Zwierciadło

Krzysztof Ruchniewicz i Marek Zybura w końcowej części książki wyraźnie preferują teksty tych Niemców, którzy odkryli w polskim Wrocławiu symbol pojednania polsko-niemieckiego. Heinrich Trierenberg w tekście „Wrocław obcy, a przecież znajomy" opisuje, jak z radością odkrywał rozmaite poniemieckie pamiątki wciąż na swoim miejscu – np. kolumnę ku czci króla Prus Fryderyka Wilhelma II w parku Szczytnickim (choć bez statui monarchy) czy popiersie pruskiego architekta ogrodów Petera Josepha Lenné w ogrodzie botanicznym. Ciekawe są też jego wspomnienia z wizyty w 1971 r. na mszy po niemiecku w kościele św. Krzysztofa. „W ławkach zasiadło może trzydzieści osób, starych, zniszczonych ludzi – nieśmiałych, zapomnianych, osamotnionych".

Dzisiaj niemieckojęzyczna parafia ewangelicka w tej samej świątyni liczy ok. 100 osób i kipi energią.

Nie bardzo rozumiem, dlaczego autorzy tego tomu wspomnień ominęli szerokim łukiem lata 80., gdy Wrocław aż iskrzył się od solidarnościowego, podziemnego oporu. Można też polemizować z esejem Andrzeja Zawady o przedwojennych Niemcach, którzy w czasie wojny mieli „modlić się o koniec wojny, której nie chcieli". Problem w tym, że bardzo wielu z nich chciało wojny, tyle że takiej, która przewalać się będzie po cudzych grzbietach. A tego, że ognisty walec dotrze też do Wrocławia, jakoś nie potrafili sobie wyobrazić. W końcu I wojna światowa trzymała się od grodu nad Odrą z daleka.

„Orbis Wratislaviae" to książka, która wymagała od autorów sporej erudycji i ciężkiej pracy. I za to należą się im podziękowania. Dzięki niej jakoś pomyślałem o sobie jako o przyszywanym „Homo Wratislavienis". Mam nadzieję, że autorzy nie obruszą się na tak bezczelną uzurpację rodowitego gdańszczanina.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl cdf2d61de1

1944 r. / Organizacja zamachu widziana chłodnym okiem

# Błędy akcji na Kutscherę

Sławomir Koper

**Słynny zamach na generała SS Franza Kutscherę był akcją niedopracowaną. Szczególnie bolą niepotrzebne straty wśród zamachowców z AK**

Pierwszą próbę zamachu podjęto 28 stycznia 1944 r., jednak szef policji i SS na dystrykt warszawski Franz Kutschera wyjechał z miasta. Nowy termin wyznaczono na 1 lutego, ale tuż przed rozpoczęciem akcji okazało się, że ktoś nie potrafił liczyć do dziewięciu i dla Stanisława Hluskowskiego („Alego"), zastępcy dowódcy (!) akcji, zabrakło pistoletu maszynowego. Ostatecznie „Ali" otrzymał teczkę z granatami i dwa pistolety parabellum, trudno jednak nie oprzeć się wrażeniu, że jego pistoletu maszynowego zabrakło podczas odwrotu. Może wówczas straty byłyby mniejsze. Zresztą już podczas akcji zdenerwowany „Ali" nie potrafił otworzyć teczki z granatami, w której zaciął się zamek, wobec czego przyłączył się do walki, strzelając z parabellum.

Cała akcja trwała dokładnie 100 sekund. Kutschera nie żył, w strzelaninie poległo czterech (lub pięciu) Niemców, kilku dalszych było rannych. Po stronie zamachowców także były straty. Dowódcę „Lota" (Bronisław Pietraszewicz) i „Cichego" (Marian Senger) postrzelono w brzuchy, lżej ranni byli: „Miś" (Michał Issajewicz) i „Olbrzym" (Henryk Humięcki). Podjechały samochody mające zabrać uczestników akcji, w panującym zamieszaniu wszyscy ranni trafili do jednego pojazdu (zamiast do dwóch), który ruszył w stronę pl. Bankowego. Tam czekał już lekarz, Zbigniew Dworak („Dr Maks"), który prowizorycznie opatrzył rannych i zadecydował, do jakiego szpitala mają trafić.

## Tragedia na moście

„Należy podziwiać organizację zamachu – zwierzał się przyjacielowi pracownik »Kripo« w Warszawie, Fritz Schramm – wszystko było przewidziane i wykonane do najdrobniejszych szczegółów. Tego zamachu mogła dokonać tylko



eprasa.pl cdf2d61de1

Inscenizacja zamachu na Franza Kutscherę

FOT. ADAM NOCOŃ/SE/EAST NEWS

bardzo silna organizacja, posiadająca ludzi fachowych. Moim zdaniem była to polska organizacja wojskowa, rozgałęziona i dobrze zakonspirowana. Musimy się z nimi liczyć, bo któregoś dnia gotowi nam sprawić wielce niepożądaną niespodziankę – nie będziemy nawet wiedzieli, gdzie i kiedy".

W opinii Niemca było jednak dużo przesady. Wprawdzie faktycznie sama akcja została przeprowadzona w profesjonalny sposób, gorzej jednak było z odwrotem zamachowców. Wówczas wyszła na jaw zupełna amatorszczyzna, która zakończyła się niepotrzebnymi ofiarami.

Pierwsze ostrzeżenie nastąpiło, gdy samochód z rannymi dotarł do Szpitala Maltańskiego przy ul. Senatorskiej. Rzekomo miał tam oczekiwać zespół medyczny mający zaopiekować się rannymi, nic takiego jednak nie nastąpiło. Dyżurny lekarz odmówił przyjęcia rannych, motywując to brakiem chirurgów i czystej bielizny do operacji. W tej sytuacji w placówce pozostawiono „Misia" i „Olbrzyma", którzy nie wymagali zabiegu operacyjnego, a dwóch pozostałych rannych postanowiono umieścić w innym szpitalu.

„Zdecydowałem jechać do Szpitala Przemienienia Pańskiego, gdzie pracowałem – wspominał »Dr Maks«. – Jechaliśmy przez plac Teatralny, Senatorską, Miodową. W czasie jazdy zrobiłem opatrunek »Cichemu«. Miał ranę brzucha, przez którą wydostawała się pętla jelit. […] Przed szpitalem auto zatrzymałem od strony ulicy Brukowej [dzisiejszej Okrzei – przyp. S.K.] i poleciłem zajechać im po dwu–trzech minutach, które potrzebne mi były na uprzedzenie lekarza dyżurnego, żeby nie meldował telefonicznie policji o wypadku postrzelenia". „Dr Maks" polecił rannym udawać nieprzytomnych, od razu zostali wniesieni na salę operacyjną. Niestety, zauważył to granatowy policjant pełniący patrol w pobliżu i zgłosił sprawę na komisariat. Natychmiast przysłano mu do pomocy drugiego funkcjonariusza, by wspólnie obserwowali podejrzanych rannych.

Ranni byli w szpitalu i w tej sytuacji „Sokół" (Kazimierz Sott) i „Juno" (Zbigniew Gęsicki) zdecydowali się odprowadzić samochód do garażu na Wolę. Chociaż dostali zalecenie, by w razie niebezpieczeństwa porzucić pojazd i przedzierać się pieszo, podjęli ryzyko. Pojazd był postrzelany podczas zamachu, wewnątrz były liczne plamy od krwi rannych, ale zamachowcy zdecydowali się nim wracać. Wydawać się to mogło zbytecznym ryzykiem, jednak warto pamiętać, że w pojeździe znajdowała się broń użyta podczas zamachu. Były to: osiem pistoletów maszynowych, sześć zwykłych pistoletów i kilkanaście granatów, bardzo cennych dla oddziału, a wycofując się pieszo, nie mogliby ich zabrać. I to zapewne zaważyło na decyzji zamachowców.

Niestety, przy okazji popełnili fatalny błąd, wybierając drogę przez most Kierbedzia, którą niedawno przyjechali do szpitala. Samochód był zapewne już wcześniej zauważony przez Niemców, nieczęsto po ulicach miasta jeździło auto ze świeżymi śladami po pociskach. W efekcie doszło do tragedii. Młodzieńcy nie zajechali daleko, gdyż na moście natknęli się na kordon obławy. Usiłowali zawrócić, ale jedno z kół pojazdu zaklinowało się w barierce mostu. Zresztą niebawem Niemcy pojawili się także z drugiej strony, zamykając zamachowców w okrążeniu. Strzelali oni do ostatniego naboju, wreszcie pozostał im tylko skok do Wisły.

Hitlerowcy prowadzili ostrzał do zamachowców z mostu oraz z brzegów rzeki. „Sokół" i „Juno", wielokrotnie trafieni, zginęli w jej nurtach, a ich ciała niezwłocznie wydobyto na brzeg. I wówczas okazało się, że „Sokół" zabrał na akcję swoje prawdziwe dokumenty (chociaż dysponował fałszywymi), co było niedopuszczalnym złamaniem



eprasa.pl cdf2d61de1

Tablica pamiątkowa na moście Śląsko-Dąbrowskim, wspierającym się na filarach mostu Kierbedzia

FOT. ARCHIWUM

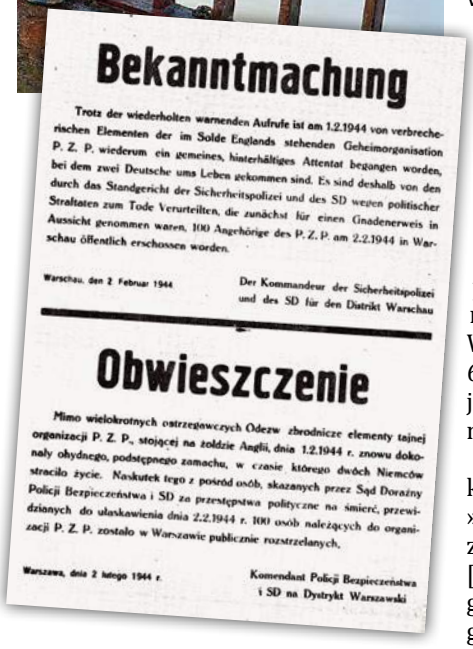

**Bekanntmachung**

Trotz der wiederholten warnenden Aufrufe ist am 1.2.1944 von verbrecherischen Elementen der im Solde Englands stehenden Geheimorganisation P. Z. P. wiederum ein gemeines, hinterhältiges Attentat begangen worden, bei dem zwei Deutsche ums Leben gekommen sind. Es sind deshalb von den durch das Standgericht der Sicherheitspolizei und des SD wegen politischer Straftaten zum Tode Verurteilten, die zunächst für einen Gnadenerweis in Aussicht genommen waren, 100 Angehörige des P. Z. P. am 2.2.1944 in Warschau öffentlich erschossen worden.

Warschau, den 2. Februar 1944

Der Kommandeur der Sicherheitspolizei und des SD für den Distrikt Warschau

**Obwieszczenie**

Mimo wielokrotnych ostrzegawczych Odezw zbrodnicze elementy tajnej organizacji P. Z. P., stojącej na żołdzie Anglii, dnia 1.2.1944 r. znowu dokonały ohydnego, podstępnego zamachu, w czasie którego dwóch Niemców straciło życie. Naskutek tego z pośród osób, skazanych przez Sąd Doraźny Policji Bezpieczeństwa i SD za przestępstwa polityczne na śmierć, przewidzianych do ułaskawienia dnia 2.2.1944 r. 100 osób należących do organizacji P. Z. P. zostało w Warszawie publicznie rozstrzelanych.

Warszawa, dnia 2 lutego 1944 r.

Komendant Policji Bezpieczeństwa i SD na Dystrykt Warszawski

podstawowych zasad konspiracji. Oznaczało to dekonspirację jego rodziny i najbliższych przyjaciół, co mogło mieć fatalne konsekwencje. Na szczęście rodzinę udało się ewakuować, a założony przez Niemców „kocioł" nie przyniósł żadnych efektów.

Tymczasem „Lot" i „Cichy" przeszli wielogodzinną operację. Zakończyła się ona sukcesem, ale ranni powinni pozostać w szpitalu jeszcze przez kolejne dni. To było jednak niemożliwe, granatowi policjanci pilnowali poszkodowanych i zaraz mogło pojawić się gestapo. Zapadła zatem decyzja o przewiezieniu chłopców do innego szpitala.

W ewakuacji uczestniczyło 17 osób pod dowództwem Jerzego Zborowskiego („Jeremiego"). Wśród nich znalazł się także „Ali", który rano brał udział w zamachu. Przed godz. 18 grupa weszła do szpitala, rozbroiła granatowych policjantów, po czym rannych przeniesiono do samochodu Miejskich Zakładów Sanitarnych. Niestety, nie była to karetka, a samochód służący do przewozu węgla był niezbyt dokładnie wyczyszczony. Miało to fatalne skutki dla ciężko rannych „Cichego" i „Lota". Tym bardziej że dalsza część akcji układała się niefortunnie. Obu rannych przewieziono na ul. Koszykową do szpitala przy Warszawskiej Szkole Pielęgniarstwa, jednak dyżurny lekarz kategorycznie odmówił ich przyjęcia. Wobec tego trafili na noc do kliniki położniczej dr. Henryka Webera przy ul. Chmielnej. Właściciel, którego syn był volksdeutschem (!), udawał, że o niczym nie wie.

Rannym zmieniono opatrunki, noc spędzili pod osłoną kolegów. Rankiem „Lota" odwieziono do Szpitala Wolskiego, natomiast „Cichy" miał trafić do Szpitala Ujazdowskiego. Z przyjęciem pierwszego nie było problemów, natomiast „Cichemu" odmówiono miejsca w klinice. Ostatecznie trafił on do Szpitala Maltańskiego (przewożono go po raz szósty!), tak jak było ustalone przed zamachem.

Wędrówka ciężko rannych po mieście nie pozostała bez wpływu na ich stan zdrowia. „Lot" zmarł rankiem 4 lutego, a „Cichy" dwa dni później. Po śmierci pierwszego z nich dokonano sekcji zwłok, miała ona na celu wymianę wątroby i jelit na nienaruszone pociskami. Oficjalnie bowiem „Lot" zmarł na krwotok będący wynikiem gruźlicy i obawiano się, że Niemcy dokonają ekshumacji. Tak faktycznie się stało, wprawdzie stan narządów wewnętrznych nie wzbudził zastrzeżeń okupantów, znaleziono jednak wloty po kulach. Trzech lekarzy ze Szpitala Wolskiego zostało aresztowanych, ale dzięki solidnej łapówce niebawem ich zwolniono.

## Czas odwetu

Niemcy błyskawicznie zareagowali na zamach. Natychmiast rozpoczęli poszukiwania jego uczestników, a jednocześnie zarządzili masowe łapanki. W ciągu jednej doby aresztowano blisko 600 osób, a dzień po zamachu w miejscu jego przeprowadzenia rozstrzelano 100 mężczyzn.

„Skazańcy przechodzą ociężałym krokiem jezdnię – wspominał żołnierz »Pegaza«, Kazimierz Kamiński (»Mazur«) – idą szeregiem jedni przy drugich. […] Widać wyraźnie, że są bez nakrycia głowy, mają tylko jakieś białe opaski na głowach. Potem zrozumiałem, że mają zawiązane oczy. Podchodzą pod mur. […] Salwa. Runęli twarzami na mur, staczając się na ziemię […]. Patrzę znów i widzę, jak biegną następni przez jezdnię. Stanęli obok leżących we krwi na ziemi. Tuż przy samochodzie widać następny szereg skazańców. Salwa zagłusza komendę i znów doprowadzają następnych […]. Wreszcie strzały umilkły. Pluton egzekucyjny odmaszerował w bok. Widać tylko ciała leżące na szerokiej jezdni Alej. Jacyś cywile wrzucają trupy do samochodów [...]. Wyraźnie widać, jak spłukują strumieniami wody cały chodnik i jezdnię. Szynami tramwajowymi płynie krew z wodą".

Kolejne 200 osób rozstrzelano w ruinach getta, to jednak nie było wszystko. 10 lutego rozstrzelano następne 140 osób na Woli i Ochocie oraz bliżej niesprecyzowaną liczbę aresztowanych na terenie dawnego getta. Dzień później na ul. Leszno powieszono 27 osób, a 15 lutego rozstrzelano ok. 40 osób na ul. Senatorskiej. Były to jednak ostatnie egzekucje uliczne w Warszawie, od tej chwili aż do wybuchu powstania warszawskiego nie mordowano już publicznie mieszkańców miasta, nie



eprasa.pl cdf2d61de1

podawano też informacji o liczbie i nazwiskach straconych.

Po zamachu nałożono na mieszkańców miasta kontrybucję w wysokości 100 mln zł (ponad 10 mln euro), z czego 15 proc. miały zapłacić gminy podwarszawskie. Początek godziny policyjnej przesunięto na godz. 19, przez trzy tygodnie obowiązywała w stolicy żałoba. Zamknięte były teatry, kabarety i lokale z wyszynkiem. Przy okazji zamknięto też restauracje przeznaczone wyłącznie dla Niemców. Pojawiło się również rozporządzenie zakazujące Polakom prowadzenia samochodów i motocykli, poza przypadkami, gdy w pojeździe towarzyszył im Niemiec. Okupanci doskonale pamiętali, że do zamachu użyto trzech samochodów.

Dowództwo AK wyciągnęło wnioski z zamachu. Stwierdzono (szkoda, że tak późno), że system opieki sanitarnej nie był dopracowany. Zdano sobie wreszcie sprawę z tego, że z normalnymi szpitalami zawsze będą problemy, i zdecydowano się na organizację własnych punktów opieki medycznej wyposażonych w bloki operacyjne. Zajął się tym „Dr Maks", operować mieli lekarze z zewnątrz.

„Pegaz" został przekształcony w batalion „Parasol" i pod tą nazwą zapisał heroiczne, tragiczne karty podczas powstania warszawskiego (poległo 50 proc. stanu osobowego oddziału). Sierpnia 1944 r. nie dożył jednak „Ali", który zginął trzy tygodnie przed wybuchem powstania podczas nieudanego zamachu na zastępcę Hansa Franka, Wilhelma Koppego. Pod koniec sierpnia poległ na Starym Mieście Henryk Humięcki („Olbrzym"), a kilkanaście tygodni po zakończeniu wojny zmarł na skutek powikłań po dawnej ranie Bronisław Hellwig („Bruno"). Podczas zamachu na Kutscherę był on kierowcą jednego z samochodów rozwożących jego uczestników po akcji.

Funkcjonariusze UB zamordowali w maju 1952 r. Zdzisława Poradzkiego „Kruszynkę" służącego wówczas w stopniu majora w Ludowym Wojsku Polskim. Lepszy los spotkał „Misia", który – chociaż aresztowany w maju 1944 r. – trafił do obozu koncentracyjnego Stutthof, udało mu się jednak przeżyć. Po wojnie został inżynierem budownictwa lądowego, był też konsultantem przy filmie „Zamach" Jerzego Passendorfera opowiadającym o akcji na Kutscherę. Zmarł w Warszawie w 2012 r.

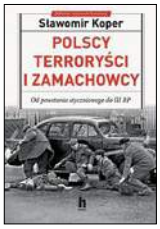


**SŁAWOMIR KOPER „POLSCY TERRORYŚCI I ZAMACHOWCY"**
HARDE

Wojnę przeżyły także trzy łączniczki, które dawały sygnały o wyjeździe Brigadeführera z domu do biura i tym samym zapoczątkowały akcję. „Hanka" (Anna Sarzyńska-Rewska) pracowała jako geodeta, związała się z kołami opozycyjnymi i w 1958 r. została skazana za kolportaż paryskiej „Kultury". Wprawdzie wyrok bezwzględnego więzienia został zawieszony, straciła jednak pracę, a jej nazwisko objęto zapisem cenzury. W efekcie nie wymieniano go w książkach ani artykułach na temat zamachu. Zmarła w 1970 r. Natomiast „Kama" (Maria Stypułkowska) i „Dewajtis" (Elżbieta Dziębowska) po wojnie ukończyły studia, pierwsza z nich została pedagogiem, druga muzykologiem. Obie zmarły w 2016 r. „Dewajtis" była najmłodszą uczestniczką słynnej akcji, w chwili zamachu nie miała jeszcze 15 lat. Zresztą najstarszy z tych dzieciaków, którzy strzelali w Alejach Ujazdowskich, nie miał 25 lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

ZŁODZIEJ, KTÓRY ZAMIENIŁ WYTRYCH NA PIÓRO

Wspomnienia kryminalisty barwnie opisującego realia przestępczego półświatka z początku XX wieku.

Replika
www.replika.eu
Tel. 61 868 25 37
Tel. 515 339 739

Patroni medialni:



eprasa.pl cdf2d61de1

1953 r. / Jak towarzysze rozprawili się z szefem NKWD

Józef Stalin, Gieorgij Malenkow i Ławrientij Beria na kremlowskiej trybunie FOT. ARCHIWUM

# Śmierć Berii

Mikołaj Iwanow

**Prowadzony do celi straceń powiedział: „Po raz ostatni dajcie mi pokochać kobietę…”**

Spośród czterech stalinowskich szefów sowieckich służb specjalnych tylko jeden zmarł śmiercią naturalną. Polak Wiaczesław Mienżyński, skierowany do Czeka jeszcze przez Lenina, jako zastępca Feliksa Dzierżyńskiego kierował GPU-NKWD przez osiem lat. Jak na bolszewika-leninowca dożył na tej posadzie sędziwego wieku – 60 lat. Zmarł w 1934 r. na zawał serca, pozostawiając swą posadę Gienrichowi Jagodzie, któremu dano być na tej posadzie zaledwie dwa lata. Po Jagodzie przyszła kolej na Nikołaja Jeżowa. Obaj byli posłusznymi wykonawcami woli i kryminalnych pomysłów Józefa Stalina, obaj pozostawili swój wyraźny ślad w historii jako architekci wielkiego terroru, co jednak nie uchroniło ich od kuli kata. Pierwszy zginął w podziemiach Łubianki w 1938 r., drugi w 1940 r.

Następca Jeżowa, gruziński bolszewik Ławrientij Beria, uświadomił sobie, jakie niebezpieczeństwo niesie posada kierownika sowieckiego aparatu terroru, i zadbał o odpowiednie środki bezpieczeństwa. Po aresztowaniach jego poprzedników donosy na swych szefów składali ich najbliżsi współpracownicy, sądząc, że donosicielstwo może uratować ich samych przed mieczem partii. Była to skrajna naiwność, bo Stalin na gwałt potrzebował kozłów ofiarnych dla wybielenia swych zbrodni, dlatego prawie zawsze wysoko postawieni NKWD-ziści ginęli w wirze kolejnych czystek. Ich śmierć była swoistym podsumowaniem wielkiego terroru, który oni sami organizowali na polecenie wodza partii.

Beria po objęciu stanowiska szefa NKWD podjął odpowiednie kroki w celu uniemożliwienia ewentualnej rozprawy z nim. Po pierwsze, niezwłocznie przystąpił do tworzenia wokół siebie koła całkowicie oddanych współpracowników, którzy w razie zagrożenia dla niego osobiście mogli stanowić swoistą „gwardię przyboczną”, zdolną odeprzeć każdy atak partii lub jej wodza na szefa służb specjalnych. Po drugie, Beria przystąpił do gromadzenia dokumentów kompromitujących zarówno samego Stalina, jak i innych członków biura politycznego w celu ich szantażowania w razie zagrożenia. Po trzecie, Beria zadbał o wzmocnienie wojsk NKWD tak, aby mogły one stworzyć realną przeciwwagę dla regularnej armii w razie konfliktu między NKWD a partią.

Wkrótce się okazało, że wszystkie te środki są nieskuteczne.

## Pięć wersji egzekucji

Ławrientij Beria został aresztowany 26 czerwca 1953 r., zaledwie trzy miesiące po śmierci Stalina, w wyniku spisku przeciwko niemu w biurze politycznym, w którym wziąć m.in. udział Nikita Chruszczow. Prawdopodobnie miał on najwięcej powodów, by obawiać się swego kolegi w politbiurze. Oficjalna wersja śmierci wszechwładnego szefa sowieckich służb specjalnych brzmi następująco: po przeprowadzonym wielomiesięcznym śledztwie został on uznany za winnego wielu zbrodni przeciwko partii komunistycznej i państwu sowieckiemu oraz skazany na karę śmierci za zdradę stanu. Rozstrzelano go 24 grudnia 1953 r., w dniu wydania wyroku. Czy ta wersja jest zgodna z prawdą historyczną?

Marszałek Żukow w swych wspomnieniach pisze, że Beria podczas śledztwa



eprasa.pl cdf2d61de1

i procesu sądowego zachowywał się bardzo brzydko, bez godności. Błagał sędziów o darowanie mu życia, płakał, a kiedy prowadzono go na rozstrzelanie, kompletnie się rozkleił, zrobił kupę w spodnie, cały był upaprany… Ochrona z trudem doprowadziła go do celi straceń. Jest to wersja mało prawdopodobna. Żukow miał jak nikt inny podstawy nienawidzić Berię, który na polecenie Stalina kierował dochodzeniem w sprawie nieuprawnionego wzbogacenia się marszałka, kiedy ten stał na czele grupy sowieckich wojsk w pokonanych Niemczech. Wiadomo, że marszałek do Moskwy wywiózł kilka wagonów zrabowanych dzieł sztuki i rozmaitych wartościowych przedmiotów. Po ujawnieniu tej afery Stalin, bez względu na wojenne zasługi Żukowa, pozbawił go posady w Niemczech i wysłał do Odessy, by dowodził tamtejszym drugorzędnym okręgiem wojskowym. Żukow nie bez podstaw obarczał winą za swą zsyłkę Berię.

Inna wersja śmierci Berii pochodzi od jego syna Sergo. Informację o niej Beria junior uzyskał od jednego ze śledczych prowadzących sprawę jego ojca, Mitrofana Kuczawy. Twierdził on, że próba aresztowania Berii w czerwcu się nie powiodła. Ochrona rezydencji Berii w centrum Moskwy stawiła zaciekły opór żołnierzom wojsk pancernych przybyłych go aresztować. Wywiązała się strzelanina. Sam Beria strzelał z karabinu maszynowego do ostatniej chwili i został zabity podczas szturmu. Później rolę oskarżonego podczas śledztwa i procesu Berii grał jego sobowtór. Sergo Beria również był przekonany, że ciało jego ojca zostało rozpuszczone w kwasie solnym, żeby nie został żaden ślad tej zbrodni.

Inna wersja śmierci Berii związana jest z niezwykłą karierą wojskową Pawła Batickiego. Ten ówczesny generał wojsk przeciwlotniczych brał czynny udział w aresztowaniu Berii w czerwcu, a w sierpniu dostał kolejny awans na generała-pułkownika. W przededniu procesu (wiadomo było, że wyrok może być tylko jeden – kara śmierci) zgłosił się na ochotnika, aby być katem Berii. Na sali sądowej, tuż po ogłoszeniu wyroku, Baticki podszedł do Berii i bez ostrzeżenia strzelił mu prosto w czoło.

No i ostatnia wersja śmierci Berii, która pochodzi od ludzi zaangażowanych w śledztwo oraz proces sądowy i wygląda na najbardziej wiarygodną. Wbrew opinii marszałka Żukowa Beria w czasie śledztwa wcale się nie załamał, ale na odwrót – trzymał się twardo i próbował bronić swych racji. Na procesie przyznał się częściowo jedynie do swej działalności agenturalnej w czasie wojny domowej na rzecz rządu musawatystów w Azerbejdżanie, a także do słabości wobec kobiet. Odrzucił natomiast oskarżenie o szpiegostwo na rzecz Anglii, o mordowanie zgwałconych przez siebie kobiet i inne zarzuty. Zaprzeczył, że jako szef GPU Gruzji rozprawił się w latach 30. z miejscowymi przywódcami komunistycznymi, by zatrzeć ślady swej współpracy z Anglikami. Nie zgodził się z zarzutem, że nakazał powszechne stosowanie tortur, kiedy w latach 1938–1945 kierował NKWD. Oświadczył, że wykonywał rozkaz Stalina w sprawie stworzenia tajnego laboratorium chemicznego na Łubiance, gdzie zatrudnieni przez NKWD naukowcy opracowywali receptury trucizn i testowali je na więźniach skazanych na karę śmierci.

Beria na okładce amerykańskiego tygodnika

FOT. ARCHIWUM

Kpił również z zupełnie absurdalnego zarzutu sabotowania pracy przemysłu zbrojeniowego. Jako dowód obalający ten zarzut podawał unikalny sukces kierowanego przez niego przemysłu jądrowego. W dniu 12 sierpnia 1953 r. w Związku Sowieckim przeprowadzono pierwszą w historii eksplozję bomby wodorowej. Amerykanie dokonali podobnej próby dopiero niecały rok później.

Wyrok w jego sprawie był jednak przesądzony. Trybunał wojskowy pod przewodnictwem marszałka Koniewa wydał jedyny możliwy wyrok. Po jego ogłoszeniu Beria natychmiast został odprowadzony do celi straceń. Po drodze nie załamywał się i nawet zwrócił się do sędziów z pytaniem: „Dlaczego nie pozwolono mi na ostatnie życzenie?". Wypowiedział też słowa: „Po raz ostatni dajcie mi pokochać kobietę…". Po wprowadzeniu do celi straceń został natychmiast zastrzelony przez gen. Batickiego z jego broni osobistej – niemieckiego pistoletu typu Parabellum. Strzał był między oczy.

## Mit reformatora

Od śmierci jednego z najbardziej zbliżonych do Stalina przywódców sowieckich minęło ponad 65 lat. Jednak 25 lat po upadku komunizmu i rozpadzie Związku Sowieckiego historia jego aresztowania, śledztwa w jego sprawie, wyroku i rozstrzelania nadal stanowi jedną z najbardziej strzeżonych tajemnic państwowych. Co więcej, z powodu braku wiedzy w społeczeństwie powstają liczne nowe teorie spiskowe, mity przedstawiające Ławrientija Berię w zupełnie innym świetle.

Po śmierci Stalina Związek Sowiecki istniał jeszcze przez kolejne 37 lat. Były to lata powolnego pogrążania się sowieckiego systemu totalitarnego w coraz głębszym kryzysie politycznym, ekonomicznym i społecznym. Upadek Związku Sowieckiego w 1991 r. był jedyną możliwą formą przezwyciężenia tego kryzysu i podjęcia przez narody tego państwa próby budowania cywilizowanego demokratycznego ustroju, zdolnego zapewnić obywatelom nowo powstałych państw godne i dostatnie życie. Proces ten, jak się okazało, był o wiele bardziej złożony i bolesny, niż się wydawało w roku 1991.



eprasa.pl cdf2d61de1

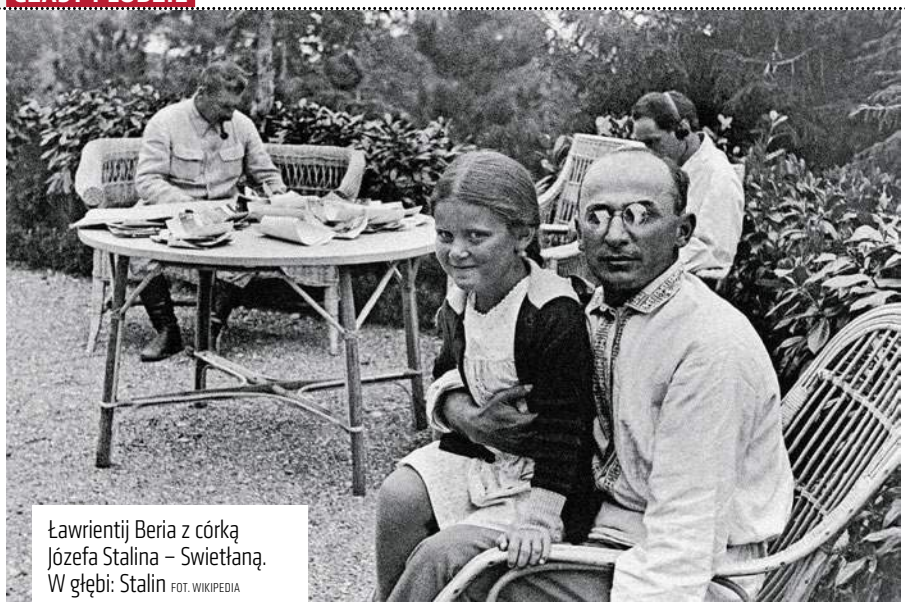

Ławrientij Beria z córką Józefa Stalina – Swietłaną. W głębi: Stalin FOT. WIKIPEDIA

Czy Beria, mimo swych licznych zbrodni, był politykiem, który po śmierci Stalina rozumiał złożone problemy poststalinowskiego ZSRS i już wtedy, w 1953 r., próbował znaleźć wyjście z pełzającego kryzysu?

W swoim przemówieniu na XX zjeździe partii w 1956 r., zwanym zjazdem destalinizacji, Nikita Chruszczow na temat Berii powiedział: „Beria opracował szczegółowy plan likwidacji sowieckiego ustroju społecznego. Nie mógł tego zrobić za życia towarzysza Stalina, dlatego rozpoczął jego realizację tuż po jego śmierci. Przystąpił do dyskredytacji polityki wielkiego Lenina, przygotowywał przejęcie władzy i ustanowienie dyktatury kontrrewolucyjnej. Beria kierował na kierownicze stanowiska ludzi należących do swego spisku. W swym zdradzieckim antysowieckim celu Beria i jego spiskowcy planowali przeprowadzenie reform skierowanych na aktywizację resztek burżuazyjno-nacjonalistycznych niedobitków".

Z punktu widzenia dzisiejszego obiektywnego analityka i na tle tego, co dziś wiemy o istocie komunizmu i zbrodniach komunistycznych, podobną ocenę Berii przez Chruszczowa można uznać za pozytywną. Dodajmy do tego, że to nie Chruszczow, lecz Beria podejmował pierwsze próby destalinizacji. Na mocy wielkiej amnestii, inicjowanej przez Berię wiosną 1953 r., wyszło na wolność z obozów i więzień ponad 1,2 mln ludzi. W ciągu tych trzech–czterech miesięcy, kiedy Beria znajdował się przy władzy, zrezygnowano z procesów politycznych. Na wolność wyszli i byli uniewinnieni lekarze kremlowscy, za życia Stalina oskarżeni o próbę zabicia „ojca narodów". Beria wystąpił z inicjatywą przyjęcia kilku ustaw, które uniemożliwiłyby prześladowanie ludzi z powodów politycznych. Było to pośrednie przyznanie, że wielki terror i inne akty represyjne za czasów Stalina miały jednoznacznie zbrodniczy charakter.

Beria był zwolennikiem polityki odprężenia w stosunkach z Zachodem. Miał zamiar odnowić przyjazne relacje z Jugosławią marszałka Josipa Broza-Tity. Uważał za niecelowe powstanie państwa socjalistycznego we wschodnich Niemczech i dopuszczał połączenie zachodnich i wschodnich Niemiec w jedno państwo.

**Beria rozpoczął proces destalinizacji, zwolnił z łagrów pond milion więźniów tylko po to, by utrzymać się u władzy i ocalić własne życie**

W polityce wewnętrznej Beria planował wyraźną liberalizację życia kołchozowego, likwidację ograniczeń paszportowych dla chłopów, którym za Stalina odebrano prawo swobodnego osiedlenia się. Przypomnijmy, że kołchoźnicy prawnie otrzymali paszporty wewnętrzne (dowody osobiste) w Związku Sowieckim dopiero w latach 70. Beria prawdopodobnie dostrzegał negatywny wpływ ideologii na działalność gospodarczą, był zwolennikiem większej swobody dla kierowników przedsiębiorstw państwowych, był za ograniczeniem centralnego planowania.

Najdalej w kwestii rehabilitacji Berii idzie rosyjski historyk Siergiej Kremlew, autor książki poświęconej temu szefowi sowieckich służb specjalnych. Uważa, że Beria był jedyną osobą w biurze politycznym świadomą nieuniknionego kolapsu sowieckiego systemu politycznego. Jego zreformowanie mógł przeprowadzić tandem Malenkow-Beria. Teoretycznie rolę naczelnego wodza mógł odgrywać Rosjanin Gieorgij Malenkow, Beria natomiast miał znajdować się jakby w cieniu, ale jednocześnie decydować o wszystkim. W tej sytuacji Chruszczow prawdopodobnie pozostałby w biurze politycznym, ale nigdy nie objąłby posady pierwszego sekretarza. Beria, według Kremlewa, mógł poprowadzić rozwój kraju w zupełnie w innym kierunku, unikając otwartej konfrontacji z Amerykanami i koncentrując wysiłek narodu oraz państwa na udoskonaleniu mechanizmów gospodarczych. Możliwe, że ten wybór wcześniej czy później mógł doprowadzić Berię do wprowadzenia reform rynkowych i zrezygnowania z kolektywizacji wsi. Kremlew uważa, że upadek i śmierć Berii symbolizowały dla Związku Sowieckiego oraz dla całego świata straconą szansę na wcześniejszy upadek sowieckiego systemu totalitarnego i wyraźne odprężenie w stosunkach międzynarodowych.

W dzisiejszej Rosji próba rehabilitacji Berii i przedstawienie go jako niedoszłego reformatora, a nawet antykomunistę, antagonistę Chruszczowa, odzwierciedla tęsknotę znacznej części społeczeństwa za imperialną przeszłością. Jest to również próba częściowego wybielenia sowieckiego aparatu terroru i służb specjalnych, z których wywodzi się obecna głowa państwa. Przypisywanie Berii ambicji reformatorskich ma na celu stworzenie mitu straconej szansy na uratowanie imperium sowieckiego przez złagodzenie systemu totalitarnego.

W rzeczywistości Ławrientij Beria planował rekonstrukcję ustroju tylko w jednym celu – by zachować swe miejsce przy kremlowskim stole, wygrać bitwę z przeciwnikami w partii komunistycznej i ocalić własne życie. Okazało się, że w tej śmiertelnej grze Beria został po mistrzowsku ograny przez konkurentów do schedy po Stalinie. Ograny w stylu iście stalinowskim.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl cdf2d61de1

ALEKSANDRA GINTROWSKA | JULIA GINTROWSKA | PAULINA GROCHOWSKA | RENATA PRZEMYK
ŁUKASZ DRAPAŁA | MAREK PIEKARCZYK | JAKUB WOCIAL | KRZYSZTOF KILJAŃSKI
ORAZ ORKIESTRA POLSKIEJ FILHARMONII BAŁTYCKIEJ POD BATUTĄ JANA STOKŁOSY

*Niezapomniany koncert*

# *Gintrowski*

a jednak coś po nas zostanie...

*Do wierszy Zbigniewa Herberta*

## GDAŃSK

POLSKA FILHARMONIA BAŁTYCKA IM. FRYDERYKA CHOPINA

## 18 MARCA 2019

GODZ. 20.00

Fundacja im. Przemysława Gintrowskiego

**BILETY DOSTĘPNE**
**W KASACH FILHARMONII BAŁTYCKIEJ**

Bilety24
WWW.BILETY24.PL

WWW.GINTROWSKI.PL | /GINTROWSKI.PRZEMYSLAW | #GINTROWSKI

MECENAS KONCERTU: LOTOS

PARTNERZY: LOTTO, Poczta Polska, GDAŃSK

PATRONI MEDIALNI: trojmiasto.pl, Do Rzeczy, wprost

eprasa.pl cdf2d61de1

Oficerowie SS w obozie Auschwitz. Drugi z lewej: Joseph Mengele. Obok – z synem Rolfem FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Wywiad / Z Geraldem Posnerem, autorem książki „Dzieci Hitlera"

rozmawia Piotr Włoczyk

# Dzieci brunatnych potworów

**PIOTR WŁOCZYK: Pańska książka zapewne nigdy by nie powstała, gdyby w czerwcu 1985 r. policja nie dokonała sensacyjnego odkrycia na cmentarzu w brazylijskim mieście Embu.**

**GERALD POSNER:** Śledczy stanęli wówczas nad grobem, na którym wyryte było nazwisko Wolfganga Gerharda. Jednak policja była przekonana, że w rzeczywistości w grobie złożone zostały zwłoki człowieka, który był w tamtym okresie najbardziej poszukiwanym na świecie nazistą.

Muszę przyznać, że ja sam byłem początkowo sceptycznie nastawiony do kolejnych sensacyjnych doniesień na ten temat. Tyle razy już media informowały o przełomie w poszukiwaniach, że można było się na to znieczulić.

**W jakim charakterze znalazł się pan wówczas w Brazylii?**

Zostałem zatrudniony jako konsultant stacji ABC News, która przygotowywała na ten temat mnóstwo materiałów. To był wówczas temat, którym żyły media na całym świecie. Praca dla ABC News była tylko zajęciem dorywczym, ponieważ na co dzień byłem adwokatem. Reprezentowałem m.in. interesy grupy bliźniaków z Auschwitz. Ci ludzie starali się uzyskać od rządu niemieckiego i rodziny Mengele odszkodowanie za ogromne problemy zdrowotne, z którymi borykali się przez całe życie po dokonaniu na nich serii diabolicznych eksperymentów.

**Kilka dni po otwarciu grobu Mengelego do redakcji tygodnika lifestyle'owego „Bunte" przyszedł mężczyzna z torbą pełną dokumentów...**

Ten 41-latek przedstawił się jako Rolf Mengele, jedyny syn „Anioła Śmierci". Twierdził, że przyniósł ze sobą 5 tys. stron pamiętników i listów napisanych przez jego ojca. Oczywiście ta informacja zelektryzowała redakcję „Bunte", ale dziennikarze magazynu musieli bardzo uważać. Wszyscy pamiętali, jakie mogą być konsekwencje takich publikacji.

**Dwa lata wcześniej niemiecki magazyn „Stern" zapłacił 9,3 mln marek za „dzienniki Hitlera", które okazały się jednym wielkim oszustwem i zniszczyły reputację tygodnika.**



eprasa.pl cdf2d61de1

List gończy za Josefem Mengele FOT. ARCHIWUM

„Bunte" chciał mieć pewność, że coś podobnego już się nie powtórzy. Tygodnik powołał więc pięcioosobowy zespół ekspertów, którzy mieli ocenić, czy dokumenty są autentyczne. Zostałem zaproszony do wzięcia udziału w tych pracach. Okazało się, że byłem jedynym członkiem zespołu bez stopnia naukowego (śmiech). Reszta ekspertów była wybitnymi znawcami dziejów III Rzeszy, m.in. Norman Stone był jednym z nich. Zajmując się sprawą bliźniaków z Auschwitz, zebrałem mnóstwo materiałów na temat „Anioła Śmierci", moje archiwum na jego temat liczyło 25 tys. stron. Dlatego zostałem poproszony o udział w tym gremium. Niemiecki odpowiednik FBI pomógł nam w sprawdzeniu papieru. Wszystko się zgadzało.

**Jak długo trwało badanie dokumentów?**

Mieliśmy na to dwa tygodnie, ale – co najważniejsze w tej historii – cały czas mogliśmy porozmawiać z synem Mengelego, który przez ten czas siedział po drugiej stronie i spokojnie odpowiadał na nasze pytania.

**Skąd Mengele junior miał te wszystkie dokumenty i dlaczego przyniósł je do „Bunte"?**

Przez te wszystkie lata po wojnie dostawał listy od ojca. Natomiast po dzienniki poleciał specjalnie do Ameryki Południowej i odebrał je od dwóch rodzin (austriackiej i węgierskiej), które pomagały „Aniołowi Śmierci".

Rolf chciał, żeby tygodnik opublikował to wszystko. Myślał zapewne, że pomoże mu to zamknąć niełatwy rozdział życia. Na pewno nie chodziło mu o pieniądze, ponieważ nie chciał za to nawet marki. Postawił tylko jeden warunek finansowy: dodatkowy zysk ze sprzedaży „Bunte" miał wpłacić na specjalny fundusz ofiar Holokaustu. I faktycznie tygodnik przelał na ten cel znaczną kwotę.

**Rolf Mengele przez lata nie wydał ojca organom ścigania, chociaż poszukiwały go Niemcy, Izrael i Stany Zjednoczone. To naturalnie rodzi wiele pytań o dobrą wolę ze strony syna...**

Rolf tłumaczył, że nie był w stanie wydać własnego ojca, chociaż zdawał sobie sprawę z katalogu zbrodni, które popełnił on w czasie wojny. My oczywiście nie potrafimy zrozumieć, jak można było jednocześnie potępiać zbrodnie, czuć obrzydzenie do „badań" Mengelego i ukrywać przed władzami prawdę o miejscu pobytu tego potwora.

Po wszystkim Rolf powiedział jednak, że gdyby mógł cofnąć czas, postąpiłby tak samo. Nigdy tego nie mówił wprost, ale myślę, że tu chodziło o jego matkę, która ponownie wyszła za mąż. Bał się, że wydanie ojca spowoduje, iż jego rodzina znajdzie się w oku cyklonu. A kiedy już odnalezione zostały szczątki „Anioła Śmierci", Rolf zapewne chciał oczyścić swoje sumienie, ujawniając posiadane dokumenty i zgadzając się na rozmowę z historykami i dziennikarzami.

I to właśnie dzięki rozmowom z Rolfem postanowiłem spróbować dotrzeć do dzieci innych zbrodniarzy III Rzeszy. Chciałem ustalić, jak to wszystko wpłynęło na ich życie i jak patrzą na udział ojców w hitlerowskiej machinie.

**Powiedzieć, że relacja Rolfa Mengelego z jego ojcem była skomplikowana, to w zasadzie nie powiedzieć nic...**

Ta relacja nie mieści się w głowie. Zacznijmy może od tego, że gdy Rolf urodził się w marcu 1944 r., jego ojciec nie wziął nawet urlopu z tej okazji. Dlaczego? Ponieważ wolał prowadzić swoje „badania" w Auschwitz. Po raz pierwszy zobaczył syna dopiero pół roku później. Ich drogi rozeszły się na dobre, kiedy Rolf miał pięć lat – „Anioł Śmierci" uciekł w 1949 r. do Ameryki Południowej. Cała rodzina wmówiła chłopcu, że jego ojciec zginął, walcząc bohatersko na froncie wschodnim. Dwunastoletni Rolf widział się jeszcze z ojcem krótko w 1956 r. w Szwajcarii, gdy ten przyleciał na pewien czas do Europy. Rodzina przekonywała Rolfa, że ten pan to... wujek Fritz z Ameryki Południowej.

**GERALD POSNER**
**„DZIECI HITLERA. JAK ŻYĆ Z PIĘTNEM OJCA NAZISTY"**
ZNAK HORYZONT

**W końcu jednak dowiedział się prawdy. Jak do tego doszło?**

W 1959 r. Niemcy po raz pierwszy zaczęły oficjalnie ścigać Mengelego. Zrobiła się z tego głośna sprawa i 15-letni Rolf stanął twarzą w twarz z druzgocącą prawdą... Przez długie lata ich relacja opierała się na listach. Jednak nawet tu Mengele pokazywał się z jak najgorszej strony. Ojciec przez cały czas go pouczał, a często wręcz wgniatał w ziemię wiecznymi pretensjami: dlaczego nie idzie mu w nauce tak dobrze jak jego kuzynowi, że za mało się stara, że nie chce zostać lekarzem jak ojciec. Rolf musiał na to wszystko odpisywać, bo tego oczekiwała od niego reszta rodziny.

**W końcu, pierwszy raz w życiu zupełnie świadomie, stanął z ojcem twarzą w twarz.**

Do spotkania doszło w 1977 r., gdy Rolf miał 33 lata. Josef Mengele miał 66 lat, to było dwa lata przed jego śmiercią. Spotkali się w domu Mengelego na przedmieściach São Paulo. Pamiętajmy, że jego ojciec był już wówczas najbardziej poszukiwanym na świecie nazistą. Mengele był cieniem tego butnego lekarza z Auschwitz i to też wprowadzało pewien dysonans. Rolf wspominał w rozmowie ze mną, że jego ojciec wówczas „był złamanym człowiekiem, przestraszonym stworzeniem". Syn spędził z ojcem bardzo trudny tydzień i z chęcią wrócił do Niemiec. Oczywiście padły pytania o Auschwitz. Rolf mówił potem, że miał nadzieję, iż ojciec powie coś w stylu: „Musiałem tam pracować, to było straszne miejsce. Nienawidziłem tego obozu i od lat żyję w poczuciu winy". Rolf bardzo chciał to usłyszeć. Nic z tego, jego ojciec generalnie stwierdził, że Rolf nic z tego nie rozumie, że byli o krok od wielkiego przełomu w nauce. A na koniec w ogóle zakazał mu poruszania tego tematu.



eprasa.pl cdf2d61de1

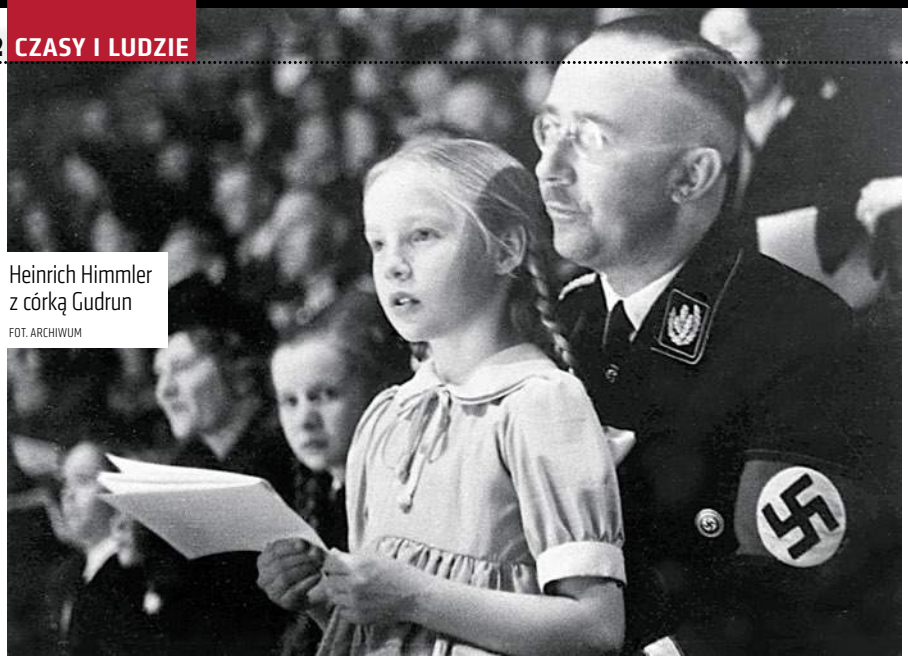

Heinrich Himmler z córką Gudrun FOT. ARCHIWUM

Hermann Göring z córką Eddą FOT. ARCHIWUM

**Trudno zrozumieć, jak przez te wszystkie lata „Anioł Śmierci" umykał sprawiedliwości, i nie chodzi tu tylko o pomoc ze strony rodziny. Chyba można spokojnie powiedzieć, że Mengele był pod tym względem urodzony pod szczęśliwą gwiazdą?**

Bez wątpienia Mengele miał po prostu mnóstwo szczęścia w tych sprawach. Jako pierwszy ujawniłem, że Amerykanie po wojnie dwa razy mieli go w rękach, i to pod jego prawdziwym nazwiskiem! Umieszczali go w obozach jenieckich, z których następnie go wypuszczali. Taki panował chaos. A Mengele był już przecież wtedy poszukiwany jako „główny zbrodniarz wojenny". Gdy potem namierzyli jego żonę, wzięli za dobrą monetę jej słowa, że zmarł i tak go oznaczyli w swoich dokumentach. Przez cztery lata Mengele żył sobie spokojnie – pod zmienionym nazwiskiem – w samym środku amerykańskiej strefy okupacyjnej, pracując w gospodarstwie rolnym. Gdy znów zaczął mu się palić grunt pod nogami i postanowił uciec do Ameryki Południowej, został zatrzymany we Włoszech pod zarzutem używania fałszywego paszportu. Tym razem łapówka załatwiła sprawę. Potem żył sobie w miarę spokojnie w Argentynie i w Paragwaju. W tym ostatnim kraju Mengele załatwił sobie w 1960 r. obywatelstwo na nazwisko José Mengele. To pokazuje, jak pewnie się czuł…

**Dwa lata temu izraelski dziennikarz Ronen Bergman (ten sam, który zadał premierowi Morawieckiemu słynne pytanie o nowelizację ustawy o IPN) ujawnił, jak Mosad po porwaniu Eichmanna w gruncie rzeczy odpuścił Mengelemu. Jego syn kompletnie niepotrzebnie się zamartwiał, że pojmanie jego ojca i późniejszy proces rozpętają burzę wokół jego rodziny.**

Izraelczycy ścigali go, ale z biegiem lat faktycznie coraz mniej zasobów na to przeznaczali. Kierownictwo Mosadu miało wtedy inne priorytety, na czele z dwiema wojnami z arabskimi sąsiadami. Najgorsze jednak było to, że Izraelczycy z nikim się nie podzielili informacjami, które udało im się zebrać przez te wszystkie lata na temat Mengelego. Mimo ograniczenia skali operacji kilka razy dosłownie siedzieli mu na ogonie. Tymczasem nie zdradzili swojej wiedzy nawet CIA... Tak już jednak działają wywiady na całym świecie – chcą zachować dla siebie jak najwięcej informacji. Jedyna dobra wiadomość jest taka, że Mengele do końca swoich dni, po przeprowadzce do Brazylii, żył w strachu, że go w końcu dopadną. Porwanie Eichmanna było dla niego przerażającym przeżyciem.

**Jak ostatecznie Rolf zamknął ten rozdział swojego życia?**

Dwa lata po odnalezieniu szczątków jego ojca zmienił swoje nazwisko. Chciał oszczędzić cierpień swoim dzieciom i kolejnym pokoleniom.

**Wśród dzieci ważnych postaci III Rzeszy, z którymi pan rozmawiał, znalazły się m.in. Wolf Hess, Ursula Dönitz i Edda Göring. Jest jakiś wspólny mianownik dla tych wszystkich historii?**

Ciekawe jest to, że spośród 12 dzieci dokładnie połowa bardzo krytycznie patrzy na swoich ojców lub wprost nimi gardzi, a druga połowa w mniejszym lub większym stopniu tłumaczy ich postępowanie. Myślę, że gdybym zrobił 50 takich wywiadów, proporcje byłyby podobne. Tutaj nie ma miejsca na ambiwalentne uczucia i co drugi rozmówca nie był w stanie zerwać naturalnej więzi z rodzicem. To fascynujący temat również pod względem psychologicznym.

**Na pewno żałuje pan, że nie udało się namówić na długą rozmowę Gudrun Burwitz, która zmarła w zeszłym roku. Bez wątpienia rozdział o niej i o jej ojcu Heinrichu Himmlerze stanowiłby punkt ciężkości pańskiej książki.**

Oczywiście, to byłby ważny rozdział w tej książce, ale na pewno byłaby to bardzo trudna rozmowa, bo ona do końca stała za swoim ojcem. Nie brakowałoby za to ciekawych zdjęć do zilustrowania opowieści o niej i o jej ojcu. Jest takie bardzo ciekawe zdjęcie, gdy siedzi na ojcowskich kolanach, a Himmler wygląda na tym zdjęciu jak wzorowy ojciec… Nie mogłem jej jednak namówić na poważną rozmowę o tym wszystkim. Nawet Wolf Hess i David Irving, którzy byli moimi pośrednikami w tej sprawie, nie byli jej w stanie do tego przekonać.

Nawiasem mówiąc, Rolf Mengele powiedział mi kiedyś, że odkrył swoistą hierarchię wśród dzieci wysoko postawionych nazistów. Coś takiego ponoć istniało w tym towarzystwie. Gudrun Burwitz zajmowała oczywiście najważniejsze miejsce. Bez wątpienia jej postawa stanowiła pewien problem dla powojennych Niemiec. Wolf Hess był prawdziwym skrajnym prawicowcem, rewizjonistą. Nienawidził Brytyjczyków. On jednak miał ten „luksus", że jego ojciec poleciał do Wielkiej Brytanii przed konferencją w Wannsee. Jak wiadomo, ojciec Gudrun był architektem Holokaustu, a ona mimo wszystko do końca za nim stała…



eprasa.pl cdf2d61de1

**W jakich warunkach te wszystkie dzieci żyły po wojnie? Z historii wiemy, że czołowi przedstawiciele upadających reżimów bardzo często znajdowali sposoby na ukrycie przynajmniej części majątku, żeby zapewnić rodzinom przyjemną przyszłość.**

W Niemczech to się nie udało. Rodziny czołowych zbrodniarzy zostały pozbawione resztek majątków. Dobrym przykładem jest życie córki Göringa. Marszałek Rzeszy był najbardziej pazerny z nich wszystkich. Edda była znana jako „mała księżniczka", ale po wojnie nic jej nie pozostało z bajecznej fortuny jej ojca. Oczywiście całą winę za to, że nie żyła już jak księżniczka, zwalała na aliantów. A po latach starała się nawet – bezskutecznie – odzyskać część majątku swojego ojca.

**Ciekawa sprawa, że Edda Göring zachowała się bardzo stereotypowo – chciała od pana wyciągnąć pieniądze w zamian za rozmowę.**

No tak, natury najwyraźniej nie da się oszukać (śmiech). Edda chciała jeszcze dodatkowo autoryzować tekst, ale oczywiście odmówiłem, bo wiadomo, czym to się kończy.

**Które z tych rozmów były dla pana najciekawsze?**

Historia Rolfa Mengelego jest oczywiście niezapomniana m.in. dlatego, że była to dla mnie pierwszą taką rozmową. Bardzo zainteresowała mnie również postawa braci Franków, synów generalnego gubernatora z Krakowa. Jeden z nich, Niklas, nienawidzi ojca, a drugi Norman może nie bronił go wprost, ale nie był go w stanie krytykować. Norman zapamiętał Hansa Franka jako dobrego, wręcz cudownego tatę i nie mógł połączyć tego wizerunku ze wszystkimi zbrodniami, za które odpowiadał ten człowiek.

Niesamowite są wspomnienia braci Frank, kiedy opowiadają o bawieniu się w chowanego między grobowcami polskich królów na Wawelu, gdzie rezydował ich ojciec. Albo opowieść Niklasa o świetnie zapamiętanym z dzieciństwa obrazie „kobiety trzymającej szczura", który wisiał w gabinecie jego ojca. Mały Niklas uważał po prostu „Damę z łasiczką" za coś wstrętnego. Czy można sobie wyobrazić normalne dzieciństwo na zamku, w którym rządził człowiek mający ambicję zetrzeć Polskę w proch? Coś przerażającego...

**Ciekawym fragmentem pańskiej książki jest opis rozmowy telefonicznej, którą odbył pan pewnego dnia ze starszym z braci Franków, Normanem. Syn Hansa Franka spekulował w niej, że być może jego ojciec zachowywałby się inaczej, gdyby Pius XII zakazał Niemcom złego traktowania Żydów...**

To dla mnie wyjątkowo ciekawy temat, bo sam jestem katolikiem, byłem ministrantem, chodziłem do szkoły jezuickiej i wiele pisałem o Piusie XII w czasie tamtej wojny. Gdyby papież potępił wprost hitlerowski antysemityzm i zabijanie cywili w krajach okupowanych przez III Rzeszę, zapewne nic by to nie dało. Ci, którzy nie słuchali Kościoła w sprawie traktowania bliźnich ani nie zważali na dziesięć przykazań, zapewne i tak nie posłuchaliby papieża w tej sprawie. Jednakże taka deklaracja wystawiłaby katolików w Europie na furię Hitlera. To, że Niemcy pozwalali na pewną dozę swobody Kościołowi katolickiemu w okupowanych krajach, umożliwiało Watykanowi działanie przeciw III Rzeszy.

Norman ewidentnie szukał jakiegokolwiek argumentu mogącego chociaż minimalnie zmniejszyć winę jego ojca, który był przecież katolikiem. W jakiś niewytłumaczony sposób Frank potrafił godzić wiarę ze zbrodniami.

**To, jakim człowiekiem był Hans Frank, stanowiło chyba jednak bardziej problem jego samego, a nie Kościoła. Naprawdę ciężko tu winić chrześcijaństwo za powstanie nazizmu, chociaż nie brak ludzi, którzy tak właśnie na to patrzą.**

Dokładnie. I tak samo bulwersuje mnie, gdy słyszę, że to religia mojżeszowa odpowiada za narodziny Rosji sowieckiej. To, że wśród rewolucjonistów nie brakowało ludzi pochodzenia żydowskiego, nie oznacza, że judaizm stworzył komunizm. Nazizm i komunizm zostały przecież stworzone wbrew wierze w Boga.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

**Gerald Posner** (ur. 1954) jest amerykańskim dziennikarzem śledczym, autorem wielu książek na temat dziejów III Rzeszy. W Polsce ukazała się właśnie jego książka pt. „Dzieci Hitlera. Jak żyć z piętnem ojca nazisty".

REKLAMA

eprasa.pl cdf2d61de1

Piotr Zychowicz

**To jedna z najbardziej sensacyjnych i tragicznych historii wojennej Warszawy. W 1943 r. w samym środku stolicy powstał „azyl" dla Żydów**

1943 r. / Latynoskie paszporty szansą na ratunek

# Afera Hotelu Polskiego

Jan Kowalski siedział przy kawiarnianym stoliku, palił papierosa i przeglądał „Nowy Kurier Warszawski". Gadzinówka na pierwszej stronie donosiła triumfalnie, że Warszawa jest już Judenfrei, czyli wolna od Żydów. Niemieckim siłom policyjnym udało się stłumić „ruchawkę" w getcie i wywieźć z miasta resztę warszawiaków wyznania mojżeszowego. W mieście – pisał dziennikarz „Kuriera" – nie ma już ani jednego Żyda!

Kowalski smutno pokręcił głową. Tylu niewinnych ludzi, tylu znajomych… Zgasił papierosa, dopił paskudną zimną kawę i wstał od stolika. Wkładając kapelusz, rzucił na talerzyk kilka monet. Gazetę odłożył na stojak, wyszedł na ulicę i… stanął jak wryty. Do jego uszu doleciała prowadzono głośno rozmowa w jidysz. Było lato roku 1943 i Kowalski nie słyszał tego języka już od dobrych kilku lat.

Tymczasem środkiem trotuaru szedł wprost na niego elegancki brodaty pan w czarnym garniturze. Obok niego stąpała godnie tęga pani w długiej sukni i pląsały dwie wesołe dziewczynki. Nieśli zakupy, mężczyzna kręcił fantazyjne koła laseczką. Gawędzili wesoło, byli w szampańskich humorach.

Rysy ich twarzy nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Byli Żydami. Nie mieli jednak opasek z gwiazdą Dawida, nie zdejmowali czapek przed mijanymi Niemcami. Czuli się pewnie i swobodnie. Do klapy marynarki mężczyzny przyczepiona była jakaś fantazyjna kolorowa kokarda. Kowalski był zdumiony. Odprowadził wzrokiem rodzinę i dopiero gdy Żydzi zniknęli za zakrętem, ochłonął.

„Przecież to jacyś szaleńcy! Nie wiedzą, co im grozi!" – pomyślał. I rzucił się pędem za żydowską rodziną, aby ją ostrzec o grożącym jej niebezpieczeństwie. Wbiegł na ul. Długą, akurat żeby zobaczyć Żydów znikających w bramie budynku pod numerem 29.

Kowalski wskoczył do bramy i nagle znalazł się w innym świecie. Obszerny dziedziniec kamienicy wypełniony był po brzegi Żydami. Mężczyznami, kobietami i dziećmi. Długie brody, kapelusze. Ciemne garnitury. Gwar rozmów prowadzonych w jidysz i po polsku.

Z hotelowej restauracji dochodził brzęk szkła, zapach wyszukanych potraw i śmiech ucztujących. Kolejni Żydzi wychylali się z okien, jeszcze inni swobodnie wchodzili i wychodzili za bramę.



eprasa.pl cdf2d61de1

Nigdzie nie było widać wykrzywionych nienawiścią twarzy esesmanów ani ponurych gąb gestapowców.

W samym sercu okupowanej Warszawy – która rzekomo była Judenfrei – siedziały sobie spokojnie setki Żydów. Bez wieżyczek strażniczych z karabinami maszynowymi i bez drutów kolczastych. Bez niemieckich strażników. Bez strachu. Kowalski uznał, że albo trafił do domu wariatów, albo to, co widzi, jest po prostu snem.

To nie był jednak ani dom wariantów, ani sen. To był Hotel Polski.

## Egzotyczne paszporty

W powojennej literaturze historycznej utarł się pogląd, że Hotel Polski był perfidną pułapką zastawioną przez warszawskie gestapo. Niemcy zamierzali podstępem zwabić do niego zamożnych Żydów ukrywających się po aryjskiej stronie Warszawy, aby następnie wywieźć ich do obozów zagłady i spalić w krematoriach.

Agnieszka Haska, autorka książki „Jestem Żydem, chcę wejść", udowodniła jednak, że to był mit, okupacyjna legenda bezmyślnie powtarzana przez kolejnych autorów. Prawda była zaś znacznie bardziej skomplikowana. I znacznie ciekawsza.

Od czego zacząć tę historię? Chyba od przypomnienia pewnego mało znanego faktu. Jak wielokrotnie zwracał uwagę prof. Timothy Snyder, narodowi socjaliści w czasie Holokaustu mordowali Żydów bezpaństwowców. Czyli obywateli państw pokonanych lub zajętych przez III Rzeszę w czasie działań wojennych. Przede wszystkim z Polski, ze Związku Sowieckiego, z państw bałtyckich, Czechosłowacji, a pod koniec wojny Węgier.

Stwarzało to pewną szansę ratunku. Mowa o załatwieniu sobie obywatelstwa państwa neutralnego. Polscy Żydzi, którzy mieli zagraniczne paszporty, nie podlegali bestialskim szykanom, jakie spadały na resztę tej społeczności. Mogli również starać się o wyjazd z Generalnego Gubernatorstwa i całej okupowanej Europy.

W efekcie pracownicy polskiej placówki dyplomatycznej w Szwajcarii wpadli na kapitalny pomysł. Zaczęli kupować od konsulów krajów Ameryki Południowej wizy i promesy. Między innymi w ten sposób Żydom udało się zdobyć dokumenty Paragwaju, Hondurasu, Haiti, Urugwaju, Panamy, Wenezueli, Chile, Ekwadoru, Kostaryki, Peru, Gwatemali, Salwadoru, Nikaragui, Boliwii oraz Meksyku.

Agnieszka Haska szacuje, że w latach 1943–1944 do okupowanej Polski trafiło ok. 4 tys. paszportów. Z czego spora część do Warszawy. Dokumenty te były wyrabiane na nazwiska konkretnych polskich Żydów, które do polskiego konsulatu dostarczały zachodnie organizacje żydowskie.

Budynek przy ul. Długiej w Warszawie, w którym znajdował się Hotel Polski FOT. WIKIMEDIA

Niestety, tempo Zagłady było zawrotne i wiele południowoamerykańskich dokumentów dotarło do okupowanej Polski zbyt późno. Niemcy przeprowadzili w Warszawie wielkie akcje deportacyjne, a w kwietniu 1943 r. krwawo stłumili powstanie. Tymczasem urząd pocztowy w getcie – przy ul. Zamenhofa 19 – był zalewany listami ze Szwajcarii, w których znajdowały się kopie paszportów lub promesy, czyli poświadczenia obywatelstwa. Zdecydowana większość z nich była jednak wystawiona na nazwiska ludzi, którzy już dawno zginęli w komorach gazowych Treblinki.

I wtedy na arenę wkroczyło dwóch żydowskich agentów gestapo – Adam Żurawin i Leon Skosowski „Lolek". Ta ciesząca się fatalną sławą para renegatów w niejasnych do dziś okolicznościach położyła łapę na dokumentach. I zaczęła je odsprzedawać po zawrotnych cenach zamożnym Żydom ukrywającym się na terenie Warszawy.

Wkrótce ci świeżo upieczeni „obywatele" państw Ameryki Łacińskiej zaczęli się masowo zgłaszać do władz niemieckich. Żądali, aby natychmiast umożliwić im wyjazd z okupowanej Europy do ich „ojczyzn". Niemcy byli zaskoczeni, ale dokumenty z fantazyjnymi pieczęciami egzotycznych zamorskich krajów respektowali. Szczególnie że mieli nadzieję, iż uda im się internowanych zagranicznych Żydów wymienić na jeńców niemieckich.

Zgodnie z dotychczasową procedurą przebywający w Europie żydowscy obywatele krajów południowoamerykańskich byli internowani i wywożeni do obozu w Vittel we Francji. Tam oczekiwali na wyjazd – na ogół drogą morską przez port w Lizbonie – za Atlantyk. Tymczasem w Warszawie zgłaszało się tylu chętnych do wyjazdu, że niemieckie władze musiały znaleźć dla nich jakieś tymczasowe miejsce.

Padło na Hotel Polski przy ul. Długiej 29. Przedwojenny hotelik trzeciej kategorii idealnie nadawał się do tego celu. Obszerny, z dużą liczbą pokoi, położony w samym centrum miasta. Żydzi zostali w nim umieszczeni w czerwcu 1943 r. A wkrótce z całego miasta zaczęli tu



eprasa.pl cdf2d61de1

ściągać kolejni ocalali. Opuszczali kryjówki w ruinach getta i mieszkania w aryjskich dzielnicach.

W jednym z hotelowych numerów Żurawin i Skosowski urządzili biuro, w którym sprzedawali przybywającym dokumenty. Interes szedł bardzo szybko i „na rympał", nie było więc określonego cennika. „Lolek" oceniał interesantów na oko. Od zamożniejszych żądał nawet 300 tys. zł. Od mniej zamożnych – 30 tys.

A czasami – gdy miał dobry humor lub akurat targały nim wyrzuty sumienia – rozdawał dokumenty za darmo. „Ja już wtedy nie miała pieniędzy na zapłacenie – relacjonowała Felicja Blum. – Gdyby zażądali ode mnie pieniędzy, to stanęłabym jak głupia. A Skosowski, patrząc na moją małą córeczkę, odezwał się: »No, ja temu dziecku nie pozwolę zginąć«".

Najdroższe były paszporty państw latynoskich, nieco tańsze – promesy. Najmniejszą wartość miały certyfikaty palestyńskie, czyli dokumenty upoważniające do wyjazdu do Palestyny wystawione przez brytyjskie władze mandatowe. W Hotelu Polskim uznano te papiery za najmniej pewne. Wielka Brytania była w końcu w stanie wojny z III Rzeszą, uważano więc, że certyfikaty nie gwarantują bezpieczeństwa.

W efekcie dokumenty te – było ich 272 – Skosowski sprzedał za grosze najbiedniejszym Żydom lub rozdał je za darmo.

Wyposażeni w zagraniczne paszporty i oczekujący na wyjazd Żydzi byli traktowani przez Niemców taktownie oraz uprzejmie. Mieli do dyspozycji restaurację, fryzjera i inne wygody. W żaden sposób nie ograniczano ich wolności, mogli się swobodnie poruszać po ulicach Warszawy.

„I oto spotkamy naszych znajomych – wspominał jeden ze świadków – zupełnie wolno chodzących ze znaczkiem-flagą jakiegoś egzotycznego kraju Ameryki Południowej w klapie marynarki. Mieszkają sobie w pokojach Hotelu Polskiego, wychodzą na miasto zupełnie nieskrępowani, gdzie chcą".

Pewnego razu zdezorientowani policjanci zatrzymali na ulicy przechadzającą się Żydówkę. Jej przyjaciele natychmiast interweniowali na gestapo, w efekcie „obywatelka" zamorskiego kraju została wypuszczona i przeproszona.

Inna ocalona, Dwojra Szczucińska, dodawała: „Panie i panowie czuli się w hotelu jak na wytwornym okręcie".

I jeszcze relacja Simchy Korngolda: „Dziedziniec był przepełniony wielką liczbą Żydów, wśród nich wielu znajomych. Wszyscy byli wolni, jak przystało na obcokrajowców. Ten cały obszar na ulicy Długiej został zamieniony na strefę neutralną. Podobnie ja zacząłem oddychać zagraniczną atmosferą. To nagłe poczucie wolności było jak epidemia".

Trudniej było się jednak do Hotelu Polskiego przedrzeć. Żydzi bowiem dopiero na miejscu mogli kupić paszporty. Zanim tam dotarli, w każdej chwili mogli ich zatrzymać niemieccy żandarmi lub grasujące na ulicach hordy młodocianych szmalcowników. Ci ostatni mogli wciągnąć człowieka do bramy i ograbić z całej gotówki niezbędnej do zakupu dokumentów.

Żydzi musieli się więc bardzo nagłowić, żeby się dostać na Długą. Pewna żydowska rodzina zleciła firmie przeprowadzkowej przewiezienie do Hotelu Polskiego dużej szafy. Zanim na miejscu zjawili się robotnicy, rodzina ta się w niej schowała.

Tablica pamiątkowa przy ul. Długiej w Warszawie FOT. WIKIPEDIA

Z szafy wyszła – ku uciesze zgromadzonych na dziedzińcu gapiów – dopiero, gdy mebel trafił do hotelu. Inny Żyd przedarł się na miejsce kanałami.

## Przedsionek raju

W lipcu 1943 r. w Hotelu Polskim znajdowało się ok. 2,2 tys. ludzi. W pierwszej połowie lipca Niemcy rozpoczęli ewakuację. Kierował nią Karl Brandt, szef referatu żydowskiego warszawskiego gestapo.

„Kazano nam zejść na dziedziniec z bagażami – wspominał Simcha Korngold. – Ci, których nazwiska zostały wywołane, zaczęli ładować się do ciężarówek. Jeden z Niemców uprzejmie przyniósł krzesło z hotelu, żeby ludzie mogli łatwiej wchodzić na ciężarówki. Mordercy z SS byli pełni kurtuazji i pomocni. Radzili nam nie pchać się, żeby było nam wygodniej. Ledwie rozpoznawałem w ich nowym zachowaniu krwawych zabójców. Nastroje wśród ludzi były dobre, nawet radosne".

Żydzi zostali przewiezieni na Dworzec Gdański, gdzie czekały na nich eleganckie pociągi pasażerskie. Przedstawiciele Czerwonego Krzyża wręczyli każdemu z nich paczkę żywnościową. Błyskały flesze aparatów fotograficznych. Około 1,8 tys. pensjonariuszy Hotelu Polskiego – w dwóch oddzielnych transportach – zostało przetransportowanych do specjalnie przygotowanego dla nich obozu internowania w Bergen-Belsen.

W budynku pozostało ok. 400 osób. Byli to tzw. dzicy lokatorzy. Czyli Żydzi pozbawieni gotówki, którym nie udało się uzyskać zagranicznych dokumentów. Dla nich Hotel Polski stał się pułapką. Nie mieli bowiem dokąd pójść i teraz znaleźli się w łapskach oprawców z gestapo.

13 lipca nieszczęśników tych wywieziono na Pawiak. Dwa dni później 300 z nich zostało rozstrzelanych w ruinach getta. Egzekucje miały niezwykle drastyczny przebieg.

Agnieszka Haska w swojej książce opisała warunki panujące w obozie w Vittel, do którego trafił pierwszy transport warszawskich Żydów z paszportami. Był to kompleks luksusowych hoteli – miejscowość przed wojną była wakacyjnym kurortem – otoczony wspaniałym parkiem. Na terenie kompleksu znajdowały się: kinoteatr, kasyno, sklepy i korty tenisowe.

Całość została co prawda otoczona drutem kolczastym i była pilnowana przez uzbrojonych niemieckich strażników, ale na internowanych Żydów nie spadały żadne szykany. Mało tego, po uzyskaniu specjalnej przepustki mogli swobodnie wychodzić poza obóz. Internowani otrzymali nawet… odbiornik radiowy. Przyzwyczajeni do brutalnego traktowania polscy Żydzi czuli, że są w przedsionku raju. Uważali się właściwie za uratowanych.

Niestety, ta historia nie ma happy endu. Latem 1943 r. Niemcy zaczęli podejrzewać, że zostali nabici w butelkę.


eprasa.pl cdf2d61de1

Ostatnie ofiary niemieckiego obozu koncentracyjnego Bergen-Belsen FOT. ARCHIWUM

Przypuszczenia te wkrótce się potwierdziły. W archiwach zachował się list z 23 sierpnia napisany przez Aloisa Brunnera – komendanta cieszącego się ponurą sławą obozu w Drancy – do Heinricha Himmlera.

„W obozie dla internowanych w Vittel – pisał ów oficer SS – znajduje się około 150 Żydów z Warszawy. Zostali oni przeniesieni z Warszawy do Vittel na podstawie posiadania obywatelstw południowoamerykańskich. Większość z tych Żydów wystarała się o obywatelstwo za pieniądze w 1942 roku przez konsulaty w Szwajcarii, nigdy nie widząc swojej tak zwanej ojczyzny. Proszę o sprawdzenie przez wykwalifikowanych urzędników prawdziwej narodowości pochodzących ze wschodu Żydów".

Niemcy zwrócili się do państw południowoamerykańskich, aby potwierdziły, że osoby internowane w Vittel i Bergen-Belsen rzeczywiście są ich obywatelami. Część rządów tych krajów nie ukrywała zdumienia i kategorycznie zaprzeczyła. Tak cała sprawa się wydała. Tym samym los polskich Żydów został przypieczętowany.

W kwietniu 1944 r. SS otoczyło hotele w Vittel. Doszło przy tym do dramatycznych scen. Kilku Żydów popełniło samobójstwo, pewna kobieta w akcie desperacji rzuciła się z okna. Reszta została wywieziona do KL Auschwitz, gdzie trafiła wprost do komór gazowych. Wcześniej ten sam straszliwy los spotkał warszawskich Żydów więzionych w Bergen-Belsen. Gdy Niemcy wywozili ich do Auschwitz, powiedzieli im, że jadą do „lepszego obozu".

Po przybyciu na rampę obozu Auschwitz wszyscy zostali ograbieni. Następnie przerażonych i zdezorientowanych popędzono ich na „dezynsekcję". Kilkadziesiąt sekund później skonali w męczarniach, dusząc się oparami gazu cyklon B.

Tego przerażającego losu uniknęło zaledwie ok. 270 Żydów z Hotelu Polskiego. Byli to… wszyscy, którzy mieli certyfikaty palestyńskie. A więc dokumenty uznawane przez Żydów za najmniej pewne, które trafiły do najbiedniejszych ludzi szukających ratunku w budynku przy ul. Długiej 29. „W obozie nazywano ich »pasażerami czwartej klasy« – pisze Agnieszka Haska. – Okazało się jednak, że w tym wypadku pociągi pierwszej klasy zawiozły swoich pasażerów na śmierć".

Z czego wynikał ten paradoks? Z tego, że prowadzące wojnę z III Rzeszą władze brytyjskie nie wyparły się Żydów z palestyńskimi dokumentami.

## Losy kolaborantów

Wszystko to jasno dowodzi, że utarta i powtarzana do dziś wersja zdarzeń jest nieprawdziwa. Zgodnie z nią afera Hotelu Polskiego była skrupulatnie zaplanowaną operacją warszawskiego gestapo. Niemiecka bezpieka za jej pomocą chciała rzekomo wywabić z kryjówek ostatnich warszawskich Żydów. Ograbić ich z pieniędzy i kosztowności, a następnie posłać do komór gazowych.

Gdyby tak rzeczywiście było, Niemcy prosto z hotelu wysłaliby Żydów do obozów zagłady w okupowanej Polsce, a nie do obozów internowania na zachodzie Europy. Nie zadawaliby sobie również trudu, żeby weryfikować ich dokumenty u rządów państw Ameryki Południowej.

Warto również wspomnieć, że wspomniani agenci gestapo – Leon Skosowski i Adam Żurawin – zaopatrzyli w zagraniczne paszporty i wysłali do obozów internowania własne rodziny. Ten drugi sam zresztą pojechał do Vittel. Jasno świadczy to o tym, że obaj uważali całą operację za pewny sposób ratunku.

„Hotel Polski nie był zaplanowaną pułapką – pisze Agnieszka Haska. – Los tych, którzy zginęli, i tych, którzy przeżyli, wskazuje, że gdyby nie zbieg okoliczności, akcja ta miała pewne szanse powodzenia. Być może natychmiastowe uznanie paszportów i promes przez państwa południowoamerykańskie uratowałoby więcej ludzi".

Na koniec warto napisać, co się stało ze sprawcami całej afery, czyli żydowskimi agentami gestapo – Leonem Skosowskim i Adamem Żurawinem. Pierwszy 1 listopada 1943 r. w kontrowersyjnych okolicznościach został zastrzelony przez egzekutorów z Armii Krajowej (pisałem o tym szeroko w pierwszej części „Żydów"). Drugi uciekł z transportu z Vittel do Auschwitz, a po wojnie wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Założył tam wytwórnię szczotek. W latach 50. został jednak zidentyfikowany i miał poważne kłopoty.

Żurawina dotknął ostracyzm ze strony amerykańskich Żydów, jako agentem gestapo zainteresowało się nim nawet FBI. Wówczas – aby „oczyścić swoje dobre imię" – poddał się pod osąd sądu rabinackiego. To szacowne ciało z braku dowodów wydało wyrok uniewinniający.

Żurawin zmarł w roku 1992. A jego mieszkający w Nowym Jorku syn na kanwie życiorysu ojca zamierza nakręcić wielką hollywoodzką superprodukcję.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl cdf2d61de1

Prehistoria / Nieznany potop Europy

# Jak Brytania stała się wyspą

Maciej Rosalak

**Stopiła się czapa lodowa, runęła kredowa przegroda i morze wyżłobiło kanał La Manche**

Białe klify Dover są słynne na cały świat. W najwęższym miejscu kanału La Manche w jego odmęty po angielskiej stronie opadają strome ściany z olśniewającej bielą kredy, zajmujące 8 km wybrzeża i osiągające wysokość do 100 m. Podziwiają je tysiące turystów, a także widzów licznych filmów, z „Bitwą o Anglię" na czele, kiedy to w kadrze widzimy owe klify oczami pilotów niemieckich bombowców nadlatujących z czarnymi krzyżami na skrzydłach.

Nieporównanie mniej znane są identyczne białe klify po francuskiej stronie, ciągnące się między Calais a Boulogne, zwane Opalowym Wybrzeżem. Podziw wywołują szczególnie kredowe ściany w okolicach przylądków Cap-Gris-Nez oraz Cap-Blanc Nez. Po obu stronach kanału, w odległości niespełna 35 km od siebie, wznoszą się więc takie same skały osadowe, zbudowane z warstw mikroorganizmów zawierających kalcyt i wapień, opadających na dno w ciągu milionów lat.

Nie są zresztą niczym wyjątkowym – kredowe skały występują w Europie wszędzie tam, gdzie w prehistorycznych epokach rozciągały się morza i oceany. Spotykamy je zarówno w Danii i na Rugii, jak i pod Chełmem oraz Zamościem. Te, które tworzą rynnę kanału La Manche w jego najwęższym miejscu, intrygowały jednak ludzi w sposób wyjątkowy. Dlaczego są identyczne, skoro dzieli je pełen wody przesmyk morski?

Odpowiedź nasuwała się sama każdemu, kto ze środka drogi między Calais a Dover spojrzał kolejno na obydwa brzegi – kiedyś musiały być połączone. Hipotezy dotyczące ich rozłączenia uczeni spróbowali jednak udowodnić dopiero w ostatnich latach. W ich wywodach pojawiają się epoki lodowcowe i okresy ocieplenia,



eprasa.pl cdf2d61de1

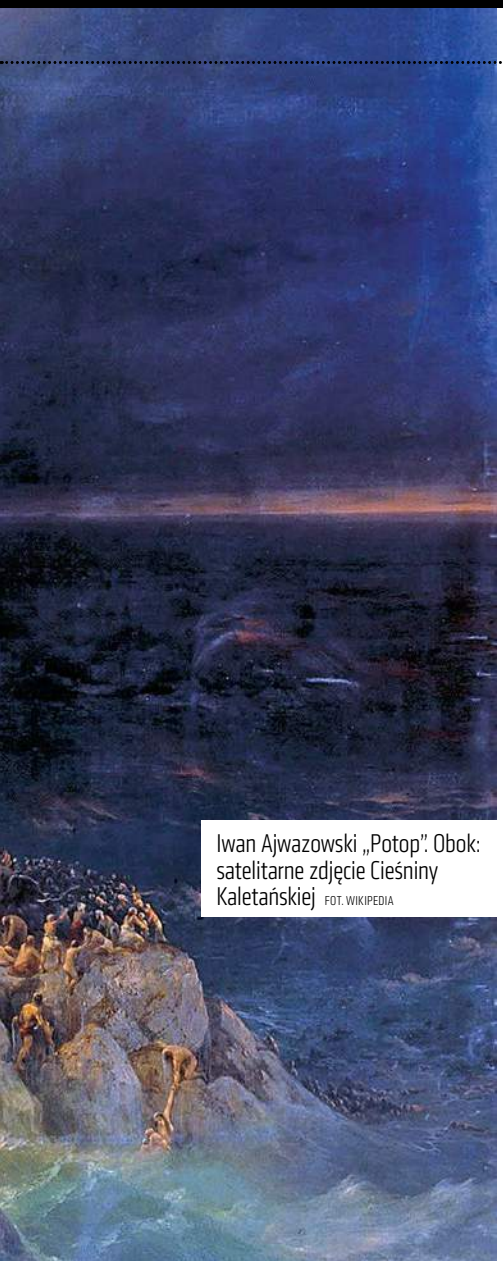

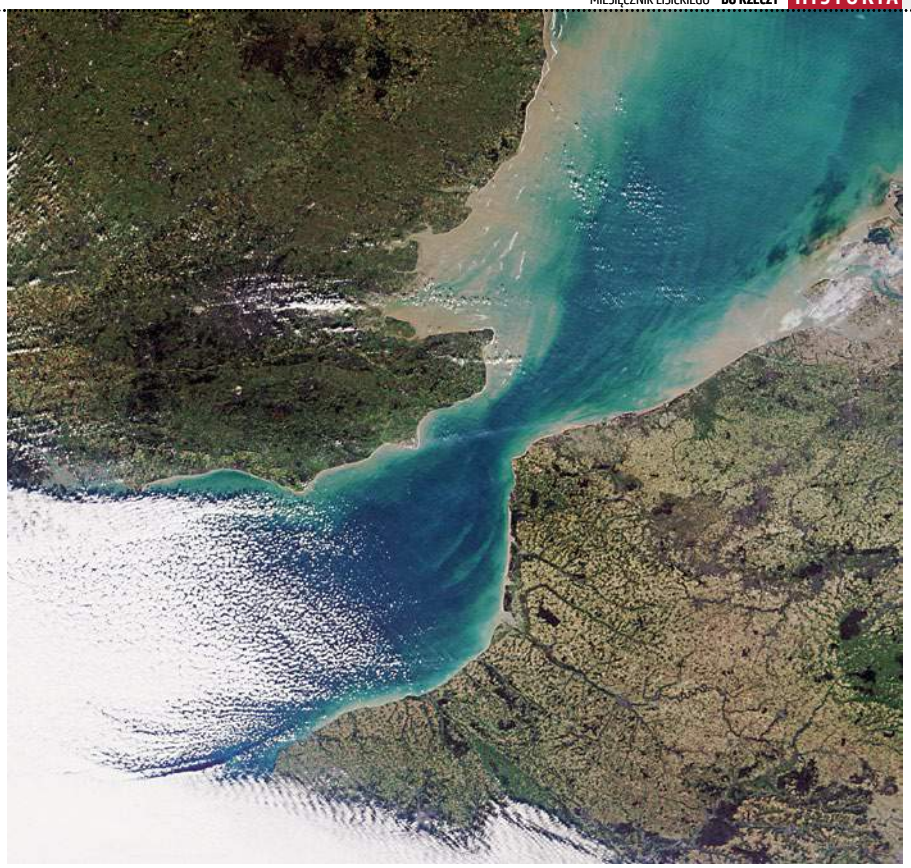

Iwan Ajwazowski „Potop". Obok: satelitarne zdjęcie Cieśniny Kaletańskiej FOT. WIKIPEDIA

ogromne jezioro ze stopniałego lodu w miejscu dzisiejszego Morza Północnego, rozrywające się komety i trzęsienia ziemi, a wreszcie kataklizm wodospadu, przy którym Niagara wydałaby się rozrywkowym urządzeniem w aquaparku.

## Zacznijmy od lodu

Badacze odkrywają ślady długotrwałych zlodowaceń (epok lodowcowych), obejmujących znaczne obszary globu w tak odległych okresach jak karbon czy perm, a więc między 350 a 250 mln lat temu, a nawet jeszcze w okresach prekambryjskich sięgających czasów kilku- czy kilkunastokrotnie bardziej odległych. Jeśli chodzi o stratygrafię dziejów Ziemi, to obecnie, jak wiadomo, żyjemy w erze kenozoicznej, w okresie czwartorzędu (plejstocenu) i epoce holocenu, trwającej od zaledwie nieco ponad 11,5 tys. lat.

Początek holocenu mierzy się od ostatniego cofnięcia się lądolodu na półkuli północnej w strefę podbiegunową. To wcale nie musi oznaczać, że żyjemy w okresie trwałego ocieplenia. Prawdopodobnie – bo nikt tego z całkowitą pewnością nie może stwierdzić! – żyjemy nadal w kolejnym z kilku wielkich zlodowaceń, które wystąpiły na Ziemi. Tyle tylko, że nie w okresie, gdy lód zajmuje znaczne obszary (glacjał), lecz w okresie, gdy się właśnie cofa (interglacjał). Cztery ostatnie glacjały występowały na Ziemi – o czym świadczą badania rdzeni lodowych na Grenlandii i na Antarktydzie – od 1 mln 200 tys. lat. W Europie te okresy lodowcowe przypadają na lata:

– 1200–950 tys. lat temu;
– od 730 do 430 tys. lat temu;
– od 300 do 170 tys. lat temu;
– od 115 do 11,7 tys. lat temu.

Jak widzimy, glacjały trwały kolejno 250 tys., 200 tys., 130 tys. i trochę więcej niż 100 tys. lat, a więc malały. Interglacjały, które następowały między nimi, były zaś zauważalnie jeszcze krótsze: 220 tys., 130 tys. i 55 tys. lat. Można też zaryzykować przypuszczenie, że interglacjały stają się coraz krótsze w postępie zbliżonym do arytmetycznego: maleją mniej więcej o połowę. Jeśli więc bylibyśmy w okresie interglacjalnym wielkiej epoki lodowcowej, to obecny czas ocieplenia – już trwający 11,7 tys. lat – skończyłby się za kilkanaście tysięcy lat. Wypada dodać, że wymienione postępy lądolodu na ziemiach polskich sięgały do przełęczy sudeckich i nawet nieco je przekraczały (zlodowacenie południowopolskie między 730 a 430 tys. lat temu). Natomiast podczas ostatniego interglacjału (eemskiego: od 170 tys. do 115 tys. lat temu) temperatura wzrosła o 2–3 st. C, co podniosło poziom mórz od 4 do 6 m. W dolinie Wisły wody morskie sięgały Kwidzyna. Potem lądolód znów ruszył na południe, ale zajął już tylko część Polski. Łatwo to dziś ujrzeć – był tam, gdzie obecnie niebo przegląda się w taflach jezior Mazur, Pomorza, Kujaw i północnej Wielkopolski.

W plejstocenie (czwartorzędzie) maksymalny zasięg lądolodu w Ameryce Północnej sięgał aż do środkowych terenów dzisiejszych Stanów Zjednoczonych, skuł ogromne obszary północnej Azji, w Europie pokrył Morze Północne, Wielką Brytanię, Skandynawię, Bałtyk, prawie całą Polskę, północne obszary Niemiec (a także Alpy) i kraje Beneluksu.



eprasa.pl cdf2d61de1

Na półkuli południowej zlodowacenie objęło Argentynę, Ziemię Ognistą i Tasmanię. Średnia temperatura roczna spadła o 5,5 st. C na całej kuli ziemskiej w stosunku do średniej temperatury rocznej, która obecnie wynosi 15 st. C.

W fazie glacjalnej lodowiec postępuje dzięki temu, że klimat oziębia się, zamiast deszczu pada coraz częściej śnieg, który nie topi się podczas lata. Zwały śniegu wkrótce zamieniają się w lód, którego ciężar rośnie i spycha swe własne pokłady coraz dalej i szerzej, niosąc ze sobą odłamane skały, kamienie, żwir i piasek.

Dlaczego w ogóle dochodzi do zlodowaceń? Pomijając krótkie – w skali istnienia kuli ziemskiej, choć szalenie dotkliwe, a nawet zabójcze dla żywych stworzeń – oziębienia klimatu wywołane potężnymi uderzeniami ciał kosmicznych lub wybuchami superwulkanicznymi, decydują o tym tzw. cykle Milankovicia. Otóż serbski uczony Milutin Milanković odkrył, że dominujący wpływ na ziemski klimat mają ekscentryczność, nachylenie ekliptyki i precesja osi Ziemi. Te trzy zjawiska – których istota tkwi, najogólniej mówiąc, we właściwościach budowy i obrotów Ziemi wokół własnej osi oraz wokół Słońca, a także w grawitacji naszej gwiazdy oraz Księżyca – wywołują periodyczne zmiany orbity ziemskiej. Stąd periodyczność zmian klimatycznych. Łączny wpływ trzech wymienionych czynników może zmniejszyć nasłonecznienie w niektórych punktach nawet o 10 proc. od wartości średniej. I nic na to nie poradzimy...

## Przerwana grobla

W ciągu ostatniego 1 mln lat na półkuli północnej lądolód nasuwał się aż do 50. stopnia (w Europie), a nawet do 40. stopnia (w Ameryce Północnej) szerokości geograficznej, a następnie wycofywał do okolic podbiegunowych. Nawet w okresach interglacjalnych występowały wspomniane wyżej „małe epoki lodowcowe". Dotyczy to zapewne również tysiąca lat poprzedzającego nasz holocen. Oto na początku bieżącej dekady magazyn „Science" opublikował wyniki badań naukowego zespołu kierowanego przez dr. Jamesa Kennetta, geologa z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Barbara. Odkrył on na obszarze Ameryki Północnej wielkie ilości nanodiamentów (drobiny tej najczystszej formy węgla) w cienkiej warstwie gruntu sprzed 12 tys. 900 lat. Ma to świadczyć o upadku asteroidy lub komety, która przechodząc przez ziemską atmosferę, rozpadała się na mniejsze fragmenty.

Tłumaczy to zarówno brak większych kraterów z tamtej epoki, jak i wystąpienie gwałtownych zmian klimatycznych w wyniku zanieczyszczenia atmosfery palącą się w niej materią z Kosmosu. Błyskawicznie nastąpiło dotkliwe ochłodzenie prowadzące do zaniku ciepłolubnych roślin, a w następstwie do wyginięcia wielkich zwierząt roślinożernych, w tym mamutów oraz polujących na nie takich gigantycznych drapieżników jak tygrysy szablozębne. Katastrofa tłumaczyłaby też nagły upadek kultury Clovis – paleo-Indian, żyjących w tym czasie na terenie dzisiejszego Nowego Meksyku oraz Ameryki Środkowej.

Podczas zlodowaceń tysiące kilometrów sześciennych wody absorbował lód, toteż poziom oceanu światowego opadał w niewyobrażalny sposób. Świat sprzed początku ocieplenia holoceńskiego tak widział w książce „Przed potopem" brytyjski pisarz historyczny Ian Wilson (znany u nas także z książki o Całunie Turyńskim):

„Nowy Jork, Baltimore czy Boston znajdowałyby się w głębi lądu, oddalone o 120–240 kilometrów od wybrzeża, gdyż linia brzegowa była wówczas znacznie przesunięta na wschód. Na zachodnim wybrzeżu Alaska byłaby nadal połączona mostem lądowym z Syberią, Vancouver zaś wraz ze swą wyspą przesunęłoby się dość daleko w głąb lądu […]. W Europie nie byłoby jeszcze kanału La Manche, Morza Północnego i Bałtyku; choć istniała również Islandia jako wyspa oddzielona od Anglii, Walii i Szkocji. Choć Cieśnina Gibraltarska otwierała już dostęp do Morza Śródziemnego, Korsyka i Sardynia były jeszcze zrośnięte, podobnie jak Sycylia z Półwyspem Apenińskim. Dzisiejsza Tunezja miała znacznie więcej stałego lądu. Większość tego, co nazywamy dziś Adriatykiem, także była suchym lądem. Na południe od Grecji znajdowało się mniej wysp niż obecnie, ale za to większych. To zaś, co nazywamy teraz Morzem Czarnym, było wówczas śródlądowym jeziorem słodkowodnym; bariera lądowa uniemożliwiała mu połączenie się z Morzem Śródziemnym i tym samym wyrównanie poziomu wód z innymi morzami świata…".

Wszystkie epoki lodowcowe kończyły się podobnie. Gdy lody zaczęły się topić, powstawały ogromne jeziora, wielkości dzisiejszych mórz. Wód przybywało, aż w końcu znajdowały ujście tam, gdzie stosunkowo cienkie i kruche przegrody oddzielały te monstrualne akweny od depresji. Tak też tłumaczy się rozerwanie kredowego pomostu łączącego dzisiejsze Pas-de-Calais z hrabstwem Kent, co oznaczało powstanie Cieśniny Kaletańskiej oraz całego kanału La Manche łączącego Morze Północne z Oceanem Atlantyckim. Huk łamania kredowych bloków i ogłuszający ryk nagle wyzwolonego wodospadu musiały towarzyszyć temu apokaliptycznemu wydarzeniu.

Niewątpliwie nastąpiło to ostatecznie w trakcie ostatniego ocieplenia holoceńskiego i oznaczało wielką powódź, czy – jak chcą inni – wielki potop, poprzedzający o parę tysiącleci potop biblijny, a nawet będący jego praprzyczyną. Dzięki zasadzie naczyń połączonych coraz więcej wody z topiących się lodowców napływało bowiem przez Cieśninę Gibraltarską do Morza Śródziemnego. Tylko do czasu opierało się ono o zaporę w Bosforze…

Zespół uczonych brytyjskich z dr Jenny Collier na czele uważa z kolei, że grobla łącząca dzisiejszą Anglię z kontynentem została przerwana po raz pierwszy już paręset lat wcześniej, podczas ocieplenia po drugim zlodowaceniu w czwartorzędzie. Mają na to wskazywać badania dna kanału sonarem dużej rozdzielczości, ujawniającym głębokie wyrwy w dnie.



eprasa.pl cdf2d61de1

Klify koło Dover (z lewej) i Pas-de-Calais

FOT. ARCHIWUM, WIKIPEDIA

Katastrofę wywołało trzęsienie ziemi. Powstać wtedy miał jeszcze nie kanał obecnej szerokości, tylko rzeka, skutecznie jednak odcinająca Brytanię od migracji z zewnątrz. Badacz prehistorycznej demografii, prof. Chris Springer z Muzeum Historii Naturalnej, twierdzi, że od 180 tys. do 60 tys. lat temu wyspa była kompletnie wyludniona, choć ślady ludzkie (m.in. neandertalczyków) znajdowano z czasów sięgających 700 tys. lat wstecz.

Jeśli i ta hipoteza jest prawdziwa, to znaczy, że kanał La Manche powstawał niejako na raty odległe od siebie o setki tysięcy lat. W starożytności i średniowieczu przeprawiali się przezeń i podbijali Albion (od łac. „albi" – biały, jak klify Kentu) różni najeźdźcy. Ostatnim, któremu się powiodło, był Wilhelm Bastard zwany Zdobywcą w 1066 r. n.e.

## Ostatni potop

Potop z „Eposu o Gilgameszu" oraz z Biblii był zapewne tym kataklizmem, którego ślady wykryto w okolicach i na dnie Morza Czarnego. Zarówno geolodzy, jak i archeolodzy oraz historycy są na ogół skłonni przyjąć, że akwen ten był jeszcze przed 8 tys. lat słodkowodnym jeziorem zasilanym rzekami spływającymi z europejskich lodowców. Akurat jednak od paru tysięcy lat narastało wtedy nasze obecne interglacjalne ocieplenie, lody ustępowały na całej półkuli północnej, podnosił się poziom oceanów i mórz, Morza Śródziemnego także. Natomiast sąsiednie jezioro, jeszcze nienazwane Morzem Czarnym (ani też – jak w antyku – Gościnnym; Pontus Euxinus), leżało w coraz bardziej pogłębiającej się depresji, oddzielone od oceanu światowego mocną skalną przegrodą.

Do czasu. Przyszedł moment, gdy nawet te skały nie zdołały powstrzymać naporu wodnej masy. Pękły, a przez cieśninę wdarła się rwąca rzeka, pogłębiając i poszerzając dzisiejszy Bosfor, a następnie napełniając akwen czarnomorski do poziomu śródziemnomorskiego. Ogólnie biorąc, taka mniej więcej teoria dominowała od dawna w świecie nauki. Kłopoty wynikały z udzielenia ścisłej i udokumentowanej odpowiedzi na rodzące się pytania: Kiedy to dokładnie nastąpiło? W jakich okolicznościach? Jaki miało przebieg? Jakie spowodowało skutki?

Dwadzieścia lat temu zespół naukowców z Uniwersytetu Columbia, kierowany przez geologów Williama Ryana i Waltera Pitmana, ogłosił wnioski ze swych prac, które stanowiły próbę odpowiedzi na te i podobne pytania. Oto przed 7,6 tys. laty (5,6 tys. lat p.n.e.) woda z topniejących lodowców zaczęła się wyczerpywać, co spowodowało obniżenie poziomu akwenu i odsłonięcie żyznych ziem. To z kolei ściągnęło tu osadników, którzy rozwinęli zaawansowaną jak na tę epokę kulturę rolną. Depresja (później) czarnomorska była położona 150 m poniżej lustra wody sąsiedniego Morza Egejskiego na zachodzie. Przestała ona istnieć, gdy na te tereny wdarły się przez Bosfor – właśnie pod koniec pierwszej połowy VI tysiąclecia p.n.e. – wody śródziemnomorskie, o czym świadczą muszle słonowodne znajdowane w osadach z tego okresu. Moc wodnej kaskady była – zdaniem uczonych – 200 razy potężniejsza od wodospadu Niagara. Potop trwał jednak znacznie dłużej niż 40 dni, ale i tak sytuacja zmieniała się dynamicznie: poziom lustra wody podnosił się 15 cm dziennie, a linia brzegowa przesuwała się 1,5 km na dobę.

Spowodowało to ucieczkę mieszkających tu ludzi. Ślady po ich cywilizacji jednak pozostały – przede wszystkim w rozprzestrzenieniu się rolnictwa w Europie, ale także w postaci wyrobów rzemiosła. Są one w zasobach słynnego, założonego na przełomie XIX i XX w. muzeum w Warnie. A zauważmy, że znajduje się tam na przykład 3 tys. ozdób ze złota pochodzących z VII tysiąclecia p.n.e. Z okresu neolitu! Archeolodzy podkreślają też, że uprawą roli zajmowano się na Bałkanach już pół tysiąclecia przed hipotetyczną datą potopu, ogłoszoną przez Ryana i Pitmana.

Natomiast ich geologiczne ustalenia dotyczące istnienia stosunkowo niewielkiego jeziora w niecce czarnomorskiej potwierdził po dwóch latach francuski geofizyk Gilles Lericolais. Otóż w 1998 r. odkrył on wyżłobione w morskim dnie przedłużenia dolin Dunaju i Dniepru, którymi te rzeki spływały z zachodu i z północy w czasach przedpotopowych.

Dwa lata później śladów potopu szukał w odmętach Morza Czarnego badacz głębin i oceanograf Robert Duane Ballard, słynny zwłaszcza z odkrycia wraków „Titanica", „Bismarcka" oraz „Lusitanii". I tym razem wzbudził sensację, znalazł bowiem – na wysokości portu w tureckiej Synopie, oddaloną o 18 km od dzisiejszego wybrzeża – plażę. Zanurzona była 170 m pod powierzchnią. Dotarł do niej podwodny robot Argus. We wziętych z dna próbkach znaleziono muszle małży i ślimaków słodkowodnych, a badanie izotopu C14 dało wynik: pozostałości mięczaków liczą 7,5 tys. lat!

Potop biblijny okazał się wyjątkowym wydarzeniem w dziejach ludzkości. Niszczył i tworzył ludzkie cywilizacje. Prawdopodobnie potopy wydarzyły się kilkakrotnie na ziemskim globie także w – poprzednich wobec „naszego" holocenu – okresach epoki czwartorzędu. Cóż, pamięć o tych potopach nie przetrwała w formie zapisu – chyba że za taki uznamy słowa egipskiego kapłana, gdy mówił Grekom o zagładzie Atlantydy: „Wy naprzód pamiętacie tylko jeden potop, a przed tym było ich wiele...", odtworzone w platońskim dialogu „Timajos".

Obecnie uczeni szukają potwierdzenia hipotez dotyczących poprzednich potopów, których z pewnością „było wiele". Ostatni, który zdarzył się w zachodniej Europie, odsłonił zapewne oglądane dziś przez nas białe klify Dover, a być może zniszczył też Atlantydę, kolebkę pracywilizacji na naszym kontynencie. Zostały po niej, znacznie starsze od egipskich piramid, gigantyczne bloki zachodnioeuropejskich menhirów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl cdf2d61de1

Piotr Kosmala

**Mógł zostać zapamiętany jako wybitny fizyk i astronom albo jako klasyk fantastyki naukowej. Albo nawet polski ojciec założyciel Unii Europejskiej. Zamiast tego stał się symbolem okupacyjnej zdrady**

FOT. ŚLĄSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

XX w. / Sylwetka dr. Feliksa Burdeckiego

# Wielki umysł i mała kolaboracja

W 1944 r. Ferdynand Goetel, znany pisarz i były prezes polskiego oddziału PEN Clubu, odbył w Krakowie niezwykłe spotkanie. Indagowany przez Niemców o włączenie się w tworzoną wówczas tzw. Polską Ligę Antykomunistyczną, poproszony został także o rozmowę przez jednego z Polaków zaangażowanych w nowy projekt. Ów Polak nie przekonywał bynajmniej Goetla do czystości intencji Niemców, tłumaczył jednak swoje przesłanki, powołując się na patriotyzm i autentyczną chęć służenia Polsce. Autor „Czasów wojny" zapamiętał jeszcze jedno – dziurawe i podarte buty swojego rozmówcy. Był nim dr Feliks Burdecki, w II Rzeczypospolitej niezwykle popularny pisarz i publicysta radiowy, a w czasie okupacji redaktor prasy gadzinowej i polski głos niemieckich „szczekaczek".

Burdecki przyszedł na świat w Toruniu w 1904 r. w rodzinie mistrza piekarskiego. Toruń, z jego „kopernikańską tradycją", był wówczas miastem dwóch kultur, polskiej i niemieckiej, i w takim też duchu wychował się młody Feliks. W wielokulturowym domu mówiono w obu językach, ale był to czas odradzającej się polskiej tożsamości, więc Burdecki podczas nauki w gimnazjum zaangażował się w działalność nielegalnego uczniowskiego Towarzystwa Tomasza Zana, którego celem było poznawanie języka polskiego i polskiej kultury. To młodzieńcze doświadczenie po latach uznawał za kluczowe.



eprasa.pl cdf2d61de1

Podjął naukę na uniwersytecie w Poznaniu, gdzie studiował matematykę, fizykę i astronomię. Zdolny i pracowity, kontynuował studia na uniwersytecie w Strasburgu, dokąd wyjechał wraz ze świeżo poślubioną małżonką, pochodzącą z niemieckiej familii Józefą Marią z domu Klinke. Niezwykle dobrane małżeństwo podzieliło ze sobą nie tylko dobrą i złą dolę, których dane im było zaznać w długim życiu, lecz także wspólne zainteresowania, pasje i przedsięwzięcia wydawnicze.

## Talenty i wizje

Po powrocie do Polski z tytułem doktorskim Burdecki wraz z rodziną znalazł się w Warszawie, która nie tylko stwarzała najlepsze możliwości rozwoju naukowego, lecz także nęciła możliwościami kariery wykraczającymi poza ramy akademickie. Pracami młodego doktora zainteresowała się renomowana Książnica-Atlas, a już wkrótce pierwsze wydane tam książki – „Podróże międzyplanetarne" oraz „Budowa wszechświata" (1929) – znalazły się na ministerialnej liście lektur. Publikacje Feliksa Burdeckiego ilustrowali najwybitniejsi polscy graficy, m.in. Jan Marcin Szancer, Konstanty Maria Sopoćko i Aleksandra Ponińska.

Burdecki rozpoczął także cykl audycji radiowych, które szybko zyskały dużą popularność.

W tamtym okresie był już związany ze środowiskami lewicowymi, co pozornie mogłoby dziwić, biorąc pod uwagę jego dalsze losy. W gruncie rzeczy, poza krótkim epizodem w Stronnictwie Narodowym na początku lat 20., Burdecki przez całe życie pozostawał wierny lewicy, zmieniając jedynie politycznych patronów. We wspomnianym okresie związany był z Polskim Związkiem Myśli Wolnej i „Wiadomościami Literackimi", podpisywał listy otwarte przeciw antysemityzmowi obok innych głośnych wówczas luminarzy lewicy. Miał opinię „komunisty" i „masona", do czego przyczyniła się jego współpraca z Tadeuszem Kotarbińskim i Andrzejem Strugiem. Sam po latach przyznawał się do fascynacji myślą Marksa i Engelsa, ale zastrzegał, że pozostawał krytyczny wobec marksistowskiego materializmu.

Burdecki ponad XIX-wieczny kult „materii" przedkładał bowiem XX-wieczną „energię". Twierdząc, że rozwój ludzkości kształtował dostęp do źródeł energii, dzielił historię świata na Erę Niedostatku Energetycznego (gdy człowiek dysponował ograniczonymi zasobami energii, a więc od czasów starożytnych do XX stulecia) oraz Erę Energetycznego Dostatku (kiedy mamy już do czynienia ze stopniowym „uświadomieniem energetycznym" i wyciąganiem korzyści z postępu technicznego). Swoją teorię nazwał „Energetyką Dziejową" i twórczo rozwijał ją przez całe swe życie.

„Energetyczny dostatek" łączył Burdecki z koniecznością pogłębiania integracji europejskiej. W środowiskach wolnomyślicielskich życzliwie odnoszono się wówczas do paneuropejskich koncepcji austriackiego arystokraty Richarda Coudenhove-Kalergiego, a Feliks Burdecki poświęcił integracji europejskiej swoją najważniejszą bodaj książkę – „Babel" z 1931 r. Powieść ze wszech miar profetyczną, nie tylko przepowiedziała ona bowiem powstanie Unii Europejskiej (w książce miało to się stać 1 sierpnia 1952 r., podczas gdy w rzeczywistości traktat paryski o utworzeniu Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali podpisano 18 kwietnia 1951 r.), lecz także upowszechnienie telewizji, załogowe loty kosmiczne, a nawet niemiecko-sowiecką agresję na Polskę jesienią 1939 r. Wydaje się, że Feliks Burdecki był w stanie wyczytać ze współczesnych opracowań

naukowych znacznie więcej niż jego koledzy po piórze. Przypominał pod tym względem Stanisława Lema, choć zapewne brakowało mu talentu literackiego tego ostatniego.

W drugiej połowie lat 30. Feliks Burdecki znajdował się u szczytu sławy. Był wziętym publicystą prasowym i radiowym, współpracował z największymi sławami naukowymi, w tym noblistami Ireną i Frédérikiem Joliot-Curie oraz Jeanem-Baptistem Perrinem. Był stypendystą Funduszu Kultury Narodowej, zlecono mu przygotowanie zarysu dziejów techniki oraz biografii Leonarda da Vinci. Nie rezygnował też z działalności publicznej – po wybuchu wojny domowej w Hiszpanii z ramienia polskiego Komitetu Pokojowego wziął udział w Międzynarodowej Konferencji Pokojowej w Paryżu.

Wszystko jednak miało się zmienić.

## Wyrok podziemia

Kilka dni po powrocie rodziny Burdeckich z Paryża Niemcy najechały na Polskę. Jak dramatycznie wspominał po latach, w Warszawie „żona urządziła nam nowe, piękne mieszkanie. Trzy tygodnie później mieszkaliśmy w ruinie bez okien, bez węgla, bez żadnych zapasów. Czekała nas szczególnie ostra zima. Wodę musieliśmy codziennie czerpać z uszkodzonego wodociągu oddalonego kilkaset metrów od naszego mieszkania i przywozić na dziecięcych sankach. Byliśmy głodni! Obie moje firmy wydawnicze były zrujnowane. Książka, która znajdowała się już w druku we Lwowie [chodziło o książkę poświęconą historii techniki – przyp. P.K.], uległa zniszczeniu".

Tragiczna rzeczywistość dotknęła rzecz jasna wszystkich mieszkańców stolicy, Burdecki najwyraźniej potrafił sobie poradzić w trudnych



eprasa.pl cdf2d61de1

Grób Feliksa Budreckiego w Durbanie FOT. WIKIPEDIA

warunkach. Dzięki znajomości niemieckiego (on sam dodawał, że dzięki umiejętności „docierania do tego, co dobre w sercach zdobywców" – niektóre źródła podają, że po prostu podpisał folkslistę) dostał zgodę od władz na wydawanie czasopisma dla uczniów „Ster", a następnie „Mały Ster" (dla uczniów młodszych I i II klasy), „Rzemiosło" oraz „Zawód i Życie" (dla szkół zawodowych). Publikacje te miały z założenia zastępować zakazane przez Niemców podręczniki szkolne, a jednak dzięki Burdeckiemu udało się nie tylko ograniczyć do minimum propagandowe treści w czasopismach dla dzieci, lecz także przemycić w nich fragmenty klasycznych polskich utworów Adama Mickiewicza, Władysława Reymonta, Bolesława Prusa, Kornela Makuszyńskiego i Antoniego F. Ossendowskiego, a nawet Marii Konopnickiej, autorki słynnej antyniemieckiej „Roty". Prenumerowany przez szkoły „Ster" miał osiągnąć rekordowy nakład 600 tys. egzemplarzy.

Po odkryciu grobów katyńskich Feliks Burdecki rozszerzył zakres współpracy z Niemcami. W 1943 r. rozpoczął, wraz z innym znanym publicystą Janem Emilem Skiwskim, wydawanie politycznej gazety „Przełom". W stylizowanym nieco na publikacje podziemia piśmie postulowano odstąpienie od postaw antyniemieckich na rzecz walki z Sowietami zagrażającymi Polsce i Europie. Burdecki nie ustawał przy tym w publicystyce popierającej zjednoczenie Europy, widział w kontynentalnej polityce narodowosocjalistycznych Niemiec szanse na autentyczną „rewolucję europejską". Mimo ewidentnie odwracającej się koniunktury autorzy artykułów w „Przełomie" krytykowali podziemie za niepoprawne zapatrzenie w Anglię, bezsensowny rozlew polskiej krwi i powstanie warszawskie.

Władze podziemia odpowiadały na to krytyką o tyle dalej posuniętą, że nie ograniczała się ona do odsądzenia autorów od czci i wiary na łamach prasy podziemnej, ale też na Burdeckiego i Skiwskiego zostały wydane wyroki śmierci, ostatecznie niewykonane. To z tamtego okresu pochodzi historia Goetla o dziurawych butach, to wówczas Józef Mackiewicz pisał wstrząsający reportaż o Burdeckich i Skiwskim jako ukrywających się przed rodakami „ludziach z głębszego podziemia". Infamię potwierdziły pokazowe procesy komunistyczne, które odbyły się już po wojnie, zaocznie skazujące autorów „Przełomu" na dożywotnie więzienie i przepadek mienia. W tym czasie autor „Babel" był już jednak daleko, przez Niemcy uchodząc wraz z rodziną do Szwajcarii. Tam została już jego utalentowana córka Danuta, wychodząc za malarza i dekoratora Jacka Stryjeńskiego, syna Zofii Stryjeńskiej.

## Z Europy do Afryki

Burdeccy wyjechali ze Szwajcarii do Etiopii na zaproszenie cesarza Hajle Sellasjego I – „Zwycięskiego Lwa Plemienia Judy, Wybrańca Bożego, Króla Królów Etiopii". Na zakładanym tam uniwersytecie miało powstać obserwatorium astronomiczne, które nadzorować miał właśnie Burdecki – po przyjeździe do Addis Abeby okazało się jednak, że „z całego uniwersytetu gotowe było jedynie wejście w postaci potężnego łuku triumfalnego. Za nim widać było tylko trawę i usiane kamieniami pole". Burdecki wspominał dwa lata w Etiopii jako najgorszy okres w życiu. Ostatecznie udało mu się wyjechać do Afryki Południowej, gdzie z żoną podjął pracę w biurze meteorologicznym w Pretorii.

Z Transwalem pozostali związani do końca życia. Chociaż wielokrotne odwiedzali Europę, Burdeccy nigdy nie wrócili już do Polski mimo zakamuflowanych działań komunistycznych władz, które podejmowały próby ściągnięcia ich i przykładnego ukarania. W archiwach IPN zachowane są dokumenty pokazujące, że jeszcze pod koniec lat 50. Urząd Bezpieczeństwa bezskutecznie próbował ustalać miejsce pobytu redaktorów „Przełomu". Afrykańskie lata były tymczasem dla Burdeckiego okresem zaangażowania się w międzynarodowy ruch antynuklearny, którego stał się prominentnym działaczem. W kolejnych publikacjach rozwijał także swą koncepcję „Energetyki Dziejowej".

Pod koniec życia Feliks Burdecki przeniósł się wraz z żoną do Niemiec, zamieszkali w Stuttgarcie. Niedługo przed śmiercią powrócił jednak na prośbę córki Beatrycze do Afryki Południowej, gdzie zmarł w 1991 r. Pochowano ich razem na cmentarzu w Durbanie. Stowarzyszenie Polskie w Natalu wydało przy tej okazji okolicznościowy komunikat, wyrażając żal z powodu odejścia człowieka, który „łączył w sobie cechy naukowca i humanisty".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Pisząc artykuł, korzystałem m.in. z „Życiorysu" Feliksa Burdeckiego, opublikowanego na łamach dwumiesięcznika „Arcana" (nr 2–3, 2010) w tłumaczeniu Tomasza Gabisia.***

### Unia Europejska A.D. 1931

„Dnia pierwszego sierpnia o godzinie 12-tej w południe pięćdziesięciu czterech delegatów podpisało dokument Unji Europejskiej wraz z komentarzem wykonawczym ustalającym procedurę dokonania wielkiego dzieła. Odgłosy dzwonów obwieściły światu doniosłą chwilę historyczną.

Przeszło 2000 milionów serc zabiło radośniej na wieść o zebraniu się narodów Europy, owego kotła stałych zatargów międzynarodowych, 2000 milionów ludzi odetchnęło z ulgą w przekonaniu, że czarne widmo wojny odeszło daleko od ziemi. Ludzkość stanęła na granicy dwóch wieków".

**Feliks Burdecki, „Babel", Warszawa 1931**



eprasa.pl cdf2d61de1

Łukasz Czarnecki

IV–X w. / Żony władców Bizancjum

# Cesarzowe modliszki

**Jedna z nich została ugotowana żywcem za swoją zbrodnię, a inna oślepiła własnego syna, by utrzymać się na tronie. Bizancjum nie miało szczęścia do spokojnych władczyń**

Przysłowie mówi, że za każdym wielkim mężczyzną stoi wielka kobieta. W trakcie trwającego ponad tysiąc lat istnienia imperium bizantyjskie rządzone było przez wielu cesarzy. I choć zdarzali się wśród nich kawalerowie, to większość bazyleusów współdzieliła władzę nad państwem z małżonkami. Część z nich przyćmiła mężów. Oto najbardziej niesamowita piątka władczyń Bizancjum.

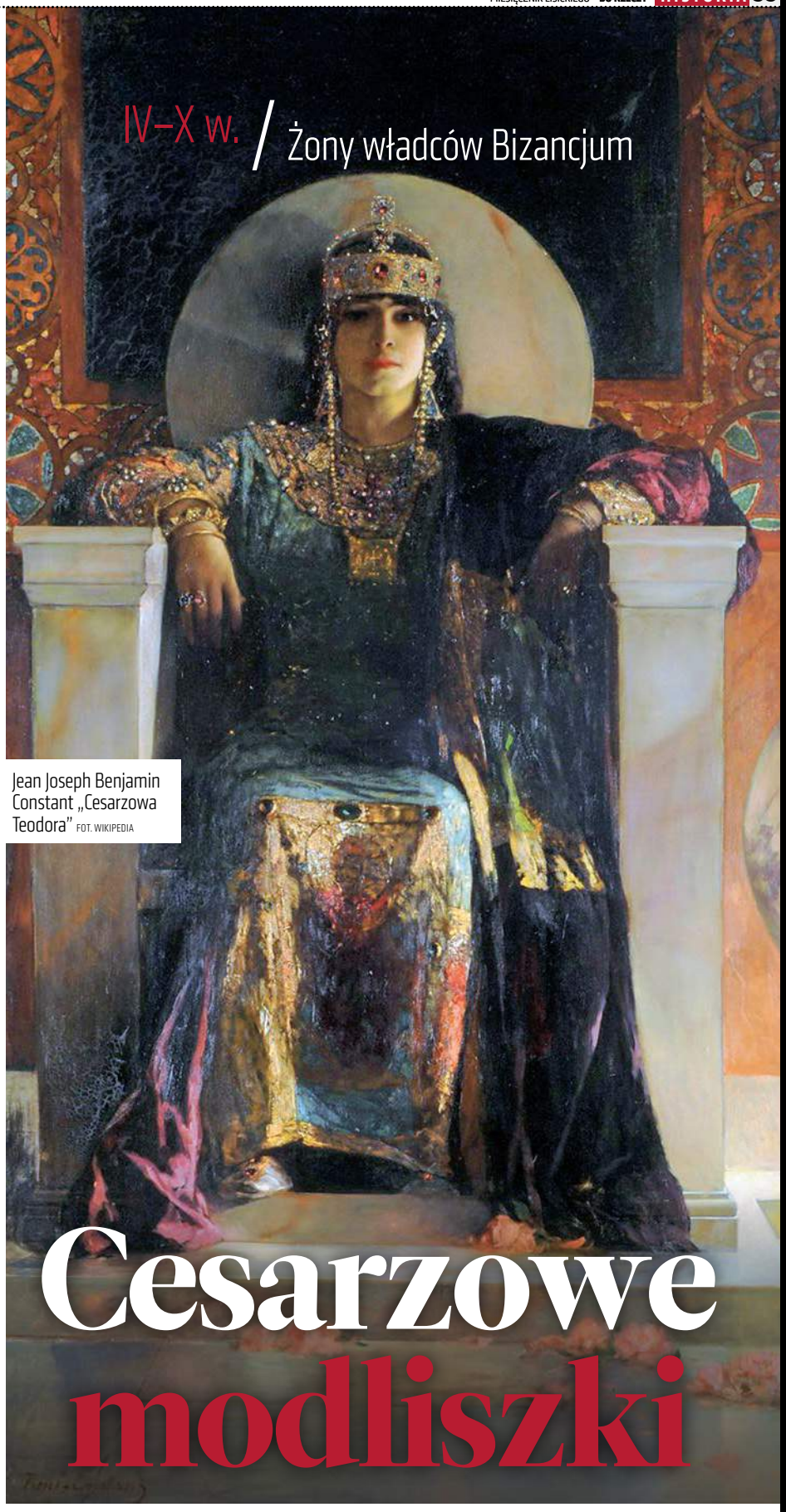

Jean Joseph Benjamin Constant „Cesarzowa Teodora" FOT. WIKIPEDIA

## Fausta. Śmierć w ukropie

W 307 r. huczne uroczystości towarzyszyły zawarciu małżeństwa przez późniejszego jednowładcę, a na razie tetrarchę (jednego z czterech panujących nad imperium rzymskim cesarzy) Konstantyna z Faustą – córką jednego z twórców tetrarchii Maksymiana, który przebywał na emeryturze, lecz nie chcąc całkowicie tracić wpływu na bieg wypadków państwowych, doprowadził do tegoż mariażu. Tego, co na temat swej połowicy myślał fundator Konstantynopola, nie wiemy, ale wątpliwe, by perspektywa związku z nią sprawiała mu radość. Konstantyn miał już bowiem wcześniej partnerkę – Minerwinę, z którą doczekał się syna – Kryspusa. Zdając sobie jednak sprawę z korzyści politycznych, jakie przynieść mu miało nowe małżeństwo, monarcha, któremu przyszłe pokolenia nadały przydomek Wielki, zagryzł zęby i pojął Faustę za żonę. Na pociechę zostawił przy sobie pierworodnego, który był jego oczkiem w głowie.



eprasa.pl cdf2d61de1

System tetrarchii narzucony imperium rzymskiemu przez Dioklecjana nie przetrwał próby czasu i spłonął w ogniu wojen domowych. Gdy w roku 324 kurz i dym z pobojowisk opadł, na scenie pozostał tylko Konstantyn, który zjednoczył cesarstwo, zaczął wspierać chrześcijaństwo i wzniósł w miejscu starożytnego greckiego miasta Bizancjum nową, nazwaną swoim imieniem, stolicę.

Imperatorowi nie dane było w spokoju konsumować owoców zwycięstwa, gdyż w roku 326 Fausta oskarżyła pasierba – Kryspusa – o gwałt! Młodzieniec, będący prawą ręką monarchy i ulubieńcem całego imperium, natychmiast wypadł z łask rodziciela i na jego rozkaz został uśmiercony. Konstantyn szybko odkrył, że oskarżenie było fałszywe. To cesarzowa usiłowała uwieść przystojnego chłopca, a gdy nie poddał się jej lubieżnej woli, poprzysięgła mu zgubę! Tradycja głosi, że wściekły imperator nakazał zamknąć połowicę w rozgrzanej do czerwoności łaźni, gdzie się żywcem ugotowała.

## Teodora. Ze sceny do pałacu

W VI w. n.e. Konstantynopol wstrząsany był walkami między stronnictwami kibiców wyścigów konnych: Zielonymi i Niebieskimi. Członkiem pierwszego z nich był Akakios, treser zwierząt wykorzystywanych w przedstawieniach w hipodromie. Pewnie historia by o nim zapomniała, gdyby nie niezwykła kariera, jaką zrobić miała jedna z jego trzech córek. Człowiek ten zachorował i zmarł. Wdowa wyszła ponownie za mąż za mężczyznę, który liczył na przejęcie urzędu po jej mężu. Jednak Zieloni przyznali to stanowisko komu innemu. Kiedy rodzinę przycisnęła bieda, matka owinąwszy wstążkami głowy i ręce córeczek, wyprowadziła je podczas cyrkowego przedstawienia na hipodrom, by wyżebrać od widzów pomoc. Stronnicy Zielonych byli głusi na ów krzyk rozpaczy, ale Niebiescy zaoferowali ojczymowi dziewczynek pracę.

Córki Akakiosa wyrosły na piękne młode kobiety i zaczęły robić karierę sceniczną. Na boku zaś, podobnie jak większość aktorek, dorabiały prostytucją. Szczególny talent w tym fachu wykazywała, jeśli wierzyć Prokopiuszowi z Cezarei, średnia z nich – Teodora. Dziewczyna prezentowała swe wdzięki w pornograficznych żywych obrazach i brała udział w orgiach seksualnych. Była przy tym tak nienasycona, że gdy młodzieńcy, z którymi się zabawiała, padali już z wyczerpania, dobierała się do ich niewolników. W pewnym momencie swojej „kariery" została metresą niejakiego Hekebolosa z Tyru i wyjechała z nim do Pentapolis, którego ten był gubernatorem. Namiestnik rychło znudził się jednak Teodorą i wygnał ją z miasta.

Wówczas udała się do Aleksandrii, a następnie odbyła „tournée" po wszystkich wschodnich prowincjach cesarstwa, by w końcu powrócić do Konstantynopola, gdzie spotkała siostrzeńca cesarza Justyna – Justyniana. Szaleńczo się w niej zakochał i uczynił ją swoją kochanką. Miłość zaślepiła go do tego stopnia, że się z nią ożenił. W 527 r. monarcha koronował siostrzeńca na współrządcę, a gdy cztery miesiące później zmarł, nową cesarzową została ku zgrozie konstantynopolitańskich senatorów była aktorka.

Cesarzowa Irena FOT. WIKIPEDIA

Po dorabiającej sobie prostytucją aktorce można by spodziewać się wszystkiego, co najgorsze, jednak mimo swej przeszłości Teodora okazała się dobrą cesarzową, a jako żona Justyniana prowadziła się bardzo moralnie. Monarchini wypowiedziała nawet wojnę stołecznym burdelom i doprowadziła do ich zamknięcia. Największą pasją cesarzowej były rozdzierające imperium spory teologiczne, w których wzięła stronę monofizytów, tj. chrześcijan głoszących, że boska natura Chrystusa wchłonęła ludzką. A Justynian był zażartym ortodoksem prześladującym faworytów Teodory. Cesarz toczył zaciekłą wojnę ze schizmatykami, jednak wobec tego, że nie potrafił wymusić posłuszeństwa we własnym domu, walka ta była skazana na przegraną. Kiedy bowiem Teodora zmarła, monarcha według legendy odkrył, że poszukiwani od wielu lat listami gończymi monofizyccy przywódcy duchowi przez cały czas byli tuż pod jego nosem, kryjąc się w komnatach cesarzowej!

## Zofia. Żona szaleńca

Po śmierci Justyniana imperatorem został jego siostrzeniec – Justyn, który zasiadł na tronie jako drugi bizantyjski władca tego imienia. Jeszcze za życia wuja ożenił się on z córką siostry Teodory – Zofią. Była kobietą o bardzo silnym charakterze, kochającą władzę i gotową posunąć się dla niej nawet do zbrodni. Powszechnie uważano, że to stała za skrytobójczym zamachem, który wyprawił z tego świata kuzyna i imiennika jej męża, podejrzewanego przez nią o cesarskie ambicje. Krążąca po Konstantynopolu plotka twierdziła nawet, że odpowiedzialni za śmierć nieszczęsnego imperatorskiego krewniaka „nieznani sprawcy" dostarczyli swej pracodawczyni głowę zabitego, którą wykorzystała później, by grać nią w piłkę.

Justyn II od początku rządów prowadził politykę o silnym antyperskim ostrzu. Wyrazem tego było nawiązanie stosunków dyplomatycznych z wrogimi Sasanidom Turkutami oraz namówienie władającego Etiopią nygusa Arethasa do wypowiedzenia wojny Iranowi. Ostatecznie w roku 572 między Bizancjum a Persją wybuchł konflikt zbrojny. Gdy Persowie zdobyli ważne strategicznie miasto Dara, wieść o tej klęsce wywarła straszliwy wpływ na umysł imperatora, strącając go w otchłań szaleństwa. Cesarz zamiast rządzić, całymi dniami słuchał muzyki organowej bądź biegał za dworzanami i ich gryzł. W tej sytuacji ster spraw państwowych musiała ująć Zofia, która wynegocjowała z Persami zawieszenie broni.



eprasa.pl cdf2d61de1

Dwa lata później cesarzowa wymogła na mężu powołanie regenta w postaci utalentowanego generała Tyberiusza, którego monarcha adoptował. Żeby było ciekawiej, wszystkie ptaszki w Konstantynopolu ćwierkały, że Zofię łączy z jej przybranym synem namiętny romans. Kiedy w roku 578 nieszczęsny Justyn zmarł, nowym władcą został Tyberiusz. Spłatał on jednak brzydkiego figla oczekującej, że się z nią ożeni, kochance, gdyż zasiadłszy na tronie, sprowadził do stolicy prawowitą żonę – Anastazję. Odsuniętej od polityki cesarzowej wdowie na pocieszenie pozostał tylko podarowany jej przez nowego monarchę luksusowy pałac, w którym spędziła resztę swych dni.

## Irena. Krwiożercza święta

VII-wieczne podboje arabskie znacznie ograniczyły terytorialny zasięg Cesarstwa Bizantyjskiego. Z niepewności i lęku zrodziło się podejrzenie, że być może sukcesy najeźdźców są karą za grzechy mieszkańców imperium. Należało jeszcze tylko ustalić, jakie to występki wznieciły gniew Boga. Za rządów Leona III (717–741) jakiś duchowny podszepnął cesarzowi, że być może Bizantyjczycy zbłądzili i zeszli z drogi prawdziwej wiary, oddając cześć świętym wizerunkom – ikonom. Monarcha stwierdziwszy, że teoria ta ma sens, zakazał oddawania czci obrazom przedstawiającym Chrystusa oraz świętych i zaczął prześladowania wszystkich, którzy sprzeciwiali się jego postanowieniom. Lekarstwo szybko okazało się gorsze od choroby i Bizancjum pogrążyło się w kompletnym chaosie.

Politykę Leona III kontynuował jego syn – Konstantyn V (741–775), a robił to z taką sumiennością i zapałem, że niechętne wybrykom ikonoklazmu przyszłe pokolenia nadały mu mało pieszczotliwy przydomek Kopronim, czyli w wolnym tłumaczeniu „Zafajdaniec". Niestety dla siebie cesarz popełnił jeden błąd, który miał pogrzebać sprawę przeciwników sakralnej sztuki figuralnej – mianowicie w roku 769 wydał swego syna Leona za pochodzącą z Aten arystokratkę Irenę. Kiedy monarcha zmarł, zgodnie z naturalnym biegiem rzeczy nowym imperatorem został jego potomek i wtedy właśnie na dworze wybuchł niebywały skandal. Leon IV odkrył bowiem, że Irena trzyma w swej sypialni ikony. Oburzony tak jawnym łamaniem prawa, zastosował karę dość nietypową – odmówił uprawiania z małżonką seksu i postanowienia tego trzymał się do końca swych dni, co przyszło mu o tyle łatwo, że już jakiś czas wcześniej zadbał o sukcesję, płodząc z Ireną syna, którego na cześć „Zafajdańca" ochrzcił imieniem Konstantyna.

Wizerunek cesarzowej Fausty FOT. WIKIPEDIA

Leon IV długo nie rządził, zmarł bowiem w roku 780. Jako że Konstantyn VI był niepełnoletni, władzę w kraju przechwyciła Irena i zaczęła robić rzeczy, od których ikonoklastom włos jeżył się na głowie. Gdy cztery lata po śmierci jej męża, zmarł również wrogi ikonom patriarcha Konstantynopola – Paweł, cesarzowa doprowadziła do wyniesienia na tron patriarszy Tarazjusza. znanego z ciepłych uczuć do świętych wizerunków. W cesarstwie rozpoczęła się ikonowa kontrrewolucja, która swój szczyt osiągnęła w roku 787. W Nicei zebrał się wówczas sobór, który potępił ikonoklazm jako herezję. Jako że za działaniami zgromadzonych na konferencji biskupów stała Irena, w ramach wdzięczności za jej stanowisko tradycja zarówno katolicka, jak i prawosławna uznała ją za świętą.

Kiedy Konstantyn VI dorósł i zapragnął zacząć sprawować osobiste rządy, okazało się, że Irena nie zamierza mu na to pozwolić. W trwającym kilka lat żenującym spektaklu, który doprowadzał cesarstwo na skraj wojny domowej, matka i syn wyrywali sobie władzę. W końcu cesarzowa, mając już serdecznie dość swego jedynaka, nakazała go oślepić. Okrucieństwo czynu podkreśla to, że zbrodni dokonano w komnacie o porfirowych ścianach, w której 26 lat wcześniej Konstantyn przyszedł na świat.

Pozbawiony wzroku młody cesarz niedługo później umarł, a jego występna matka mogła odtąd sprawować rządy, na nikogo się nie oglądając. Biła odtąd monety ze swym wizerunkiem i podpisywała się jako „cesarz Rzymian". Po kilku latach panowania Ireny poddani mieli jej już jednak dość. Zawiązany został spisek, w wyniku którego w roku 802 monarchini została obalona i zesłana na Lesbos, gdzie spędziła resztę swego życia.

## Teofano. Modliszka w diademie

W roku 963 zmarł 24-letni cesarz Roman II z dynastii macedońskiej. Po sobie niepełnoletnich synów – Bazylego i Konstantyna, a także piękną żonę – Teofano.

Wywodząca się z nizin społecznych (była córką oberżysty) cesarzowa szybko zdała sobie sprawę, że opustoszały tron jest łakomym kąskiem dla bizantyjskich wodzów. Pragnąc zachować koronę i zapewnić sukcesję swoim synkom, zdecydowała się wziąć ślub z łasym na władzę generałem Niceforem Fokasem, który przywdziawszy cesarski diadem, ogłosił się opiekunem sierot po poprzedniku. Był jednak problem – nowy imperator miał już ponad 50 lat i po prostu nie dawał rady zaspokoić seksualnie swej młodziutkiej połowicy.

Teofano nawiązała więc romans z przystojnym Janem Tzimiskesem. Para rychło zaczęła knuć, jakby pozbyć się zasiadającego na tronie podstarzałego rogacza. 10 grudnia 969 r. cesarzowa wpuściła kochanka przez okno do monarszej sypialni, a ten wraz ze sługą zamordował jej męża. Niedługo potem imperatorową czekał jednak zimny prysznic. Zasiadłszy na opróżnionym tronie, Jan doszedł do wniosku (niemałą rolę odegrało stanowisko patriarchy Konstantynopola), że nie może ożenić się z mężobójczynią, bo po pierwsze, związek taki byłby grzeszny, a po drugie, nikt nie mógł mu zagwarantować, że gdy znudzi się żonie, to i jego Teofano się nie pozbędzie. W rezulacie nowy imperator wygnał cesarzową z miasta. Do stolicy podwójna wdowa powróciła dopiero po jego śmierci w roku 976, gdy pełnię władzy nad państwem objął jej syn – Bazyli II, któremu historia nadała tytuł Bułgarobójcy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl cdf2d61de1

1941–1944 / Generał Povilas Plechavičius i LVR

# Litwini przeciw „czerwonej zarazie”

Arkadiusz Karbowiak

**Zanim Litwini i Polacy uświadomili sobie wspólną bolszewicką groźbę, doszło do niepotrzebnych walk**

Niemal równocześnie z wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej 22 czerwca 1941 r. na okupowanej przez ZSRS Litwie wybuchło antybolszewickie powstanie nazywane powszechnie czerwcowym. Ośrodkiem, który zainicjował jego wybuch, był utworzony 17 listopada 1940 r. w Berlinie pod wodzą Kazysa Škirpy Litewski Front Aktywistów (Lietuvos Aktyvistų Frontas), składający się z różnych środowisk politycznych. Głównym celem LAF było odbudowanie litewskiej państwowości. Już 23 czerwca 1941 r. powstańcy zajęli siedzibę kowieńskiego radia. O godz. 9.28 szef struktur LAF w Kownie, aresztowany później przez Niemców i deportowany do KL Dachau, Leonas Prapuolenis, ogłosił na falach eteru deklarację restytucji niepodległego państwa litewskiego.

Tego dnia ukonstytuował się również Rząd Tymczasowy Litwy pod kierownic-



eprasa.pl cdf2d61de1

Litewska ludność wita żołnierzy Wehrmachtu, 1941 r. FOT. GETTY IMAGES

twem Juozasa Ambrazevičiusa (płk. Škirpie władze niemieckie nie pozwoliły na opuszczenie Berlina). Niestety, żywot tego rządu był nader krótki. Swą misję zakończył on 5 sierpnia 1941 r., kiedy pod naciskiem Niemców uległ samorozwiązaniu. Litwa jako Okręg Generalny znalazła się w składzie Reichskommissariatu Ostland. Niemcy utworzyli litewski organ kolaboracyjny w postaci Rady Generalnej z gen. Petrasem Kubiliniusem na czele.

## Mordy na Żydach

Zanim to nastąpiło, na fali entuzjazmu związanego z atakiem III Rzeszy na ZSRS litewskie lasy zaczęły zapełniać się rzeszą kilku tysięcy partyzantów, chcących walczyć o wyzwolenie swojej ojczyzny. Powstańcy obok starć z wycofującymi się sowieckimi oddziałami okupacyjnymi przystąpili także do rozprawy z komunistycznymi kolaborantami oraz ludnością pochodzenia żydowskiego, oskarżaną – w niektórych przypadkach słusznie – o współpracę z Sowietami. Akcje antyżydowskie miały być odwetem za współudział w makabrycznych zbrodniach, które popełnili Sowieci podczas rocznej okupacji. Wtedy to ofiarami represji padło 22 161 osób. Niestety, przemoc wobec Żydów tak w miastach, jak na prowincji dotknęła głównie niewinnych cywili.

Antyżydowskie ekscesy były także celowo prowokowane przez Niemców. Podstawą ich inicjowania był rozkaz wydany przez szefa RSHA (Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy) SS-Obergruppenführera Reinhardta Heydricha z 29 czerwca 1941 r. Nakazywał on angażowanie ludności do udziału w tzw. antyżydowskich akcjach samooczyszczających, by stworzyć wrażenie, że mordy dokonane na Żydach mają charakter żywiołowy i są dokonywane przez przedstawicieli lokalnych społeczności. W rzeczywistości w niektórych przypadkach działaniami ludowych „mścicieli" kierowały niemieckie formacje policyjne. Tak było w Kownie, gdzie dwudniowy pogrom Żydów zrealizowała na polecenie dowódcy Einsatzgruppen A SS-Brigadeführera Waltera Stahleckera w dniach 25–26 czerwca 1941 r., niezwiązana z LAF grupa Algirdasa Klimaitisa. Litewski Rząd Tymczasowy starał się trzymać z dala od działań eksterminacyjnych, choć wydawane przez niego zarządzenia antyżydowskie z pewnością nie wpływały na stonowanie radykalnych antysemickich nastojów.

Żadnych skrupułów, jeśli chodzi o udział w masowych morderstwach, nie mieli członkowie 3. kompanii Tautinio Darbo Apsaugos Batalionas (Batalion Ochrony Pracy Narodowej) na czele z por. Broniusem Norkusem. Wspomagali oni w morderczym dziele zmotoryzowane Rollkommando SS-Obersturmführera Joachima Hamanna (Einsatzkommando 3). Ten lotny oddział zdołał do jesieni 1941 r. wymordować co najmniej 44 671 Żydów. W tych zbrodniach sekundowali oddziałowi TDA ochotnicy z działającej w latach 1941–1944 formacji Ypatingasis būrys (potocznie nazywano ich strzelcami ponarskimi), stanowiącej de facto oddział specjalny Sipo, zajmujący się egzekucjami w podwileńskich Ponarach. Podobnie makabryczne wyczyny zanotowały na swym koncie również niektóre litewskie bataliony Schutzmannschaft, szczególnie 1. i 2. (po zmianie numeracji odpowiednio 13. i 12.). Warto jednak pamiętać, że wielu z litewskich szucmanów zasłużyło się w walce z komunistycznymi dywersantami.

Klęski i straty ponoszone przez III Rzeszę na frontach II wojny z początkiem roku 1943 skłoniły narodowosocjalistycznych przywódców do poszukiwania ochotników chętnych do walki z Armią Czerwoną. Owe pomysły nie szły niestety w parze z próbami wdrożenia jakichkolwiek rozwiązań o charakterze politycznym. Naziści z charakterystyczną dla siebie butą uważali, że przedstawiciele innych narodów powinni być im wdzięczni z powodu samego dostąpienia do zaszczytu walki za III Rzeszę. O ile chęć taką wyrazili zarówno Estończycy, jak i Łotysze, o tyle Litwini już takich inklinacji nie przejawiali.

Dlatego na Litwie nabór do litewskiego legionu SS został zbojkotowany. Zasadniczym powodem bojkotu był brak sformułowania ze strony Niemców propozycji odbudowania litewskiej państwowości. Bez ogłoszenia takiej deklaracji Litwini nie widzieli powodu, by zostać tanim niemieckim kanonenfutter (mięsem armatnim). Władze niemieckie zareagowały na to w typowy dla siebie sposób, zamykając część litewskich szkół wyższych, m.in. uniwersytety w Kownie i Wilnie, oraz aresztując i deportując w marcu i kwietniu 1943 r. do KL Stutthof 46 przedstawicieli inteligencji oraz 16 dziennikarzy. Wydawało się, że relacje niemiecko-litewskie znalazły się w ślepym zaułku.

## Plechavičius vel Plechowicz

Sytuacja zmieniła się pod koniec 1943 r., kiedy to na terenie zarówno Litwy kowieńskiej, jak i Wileńszczyzny zaczęły coraz aktywniej działać i komunistyczne, i polskie formacje partyzanckie. Wtedy po raz kolejny Niemcy postanowili podjąć próbę utworzenia litewskich formacji wojskowo-policyjnych. Tym razem poparcie dla tej inicjatywy wyraziły wszystkie litewskie czynniki polityczne od Rady Generalnej do podziemnego antyniemieckiego VLIK – Vyriausiasis Lietuvos Išlaisvinimo Komitetas (Naczelny Komitet Wyzwolenia Litwy). Komitet wydał w tej sprawie odezwę, w której ogłosił, że „wspiera odbudowę litewskich sił zbrojnych". 13 lutego 1944 r. wyższy



eprasa.pl cdf2d61de1

dowódca SS i policji w Ostlandzie SS-Obergruppenführer Friedrich Jeckeln i SS-Brigadeführer Hermann Harm podpisali porozumienie o powołaniu do życia LVR – Lietuvos Vietinė Rinktinė (Litewski Korpus Terytorialny). Jego sygnatariuszem ze strony litewskiej był gen. Povilas Plechavičius wyznaczony na stanowisko dowódcy LVR rozkazem z dnia 1 lutego 1944 r. Wybór Plechavičiusa nie był przypadkowy.

Generał urodził się na Żmudzi w rodzinie o polskich korzeniach (jego matką była Polka). W czasach istnienia imperium Romanowów służył w carskiej armii. Po upadku Rosji znalazł się w szeregach litewskiej partyzantki walczącej z bolszewikami na Żmudzi. Kiedy Litwa uzyskała niepodległość, podjął służbę w armii litewskiej. W pierwszej połowie lat 20. ukończył praską Akademię Sztabu Generalnego. 17 grudnia 1926 r. Plechavičius odegrał zasadniczą rolę w czasie zorganizowanego wojskowego zamachu stanu, który wyniósł wtedy do władzy prezydenta Litwy Antanasa Smetonę. Po przewrocie Plechavičius został szefem sztabu armii litewskiej, a w 1929 r. otrzymał awans na generała i przeszedł na emeryturę.

Jego sylwetkę tak opisywano w sprawozdaniu Biura Informacji i Propagandy Komendy Okręgu Wilno AK za kwiecień 1944 r.: „[…] Uprzednio przez nas sygnalizowane wiadomości, że generał Plechowicz sam osobiście nie jest wrogo usposobiony do Polaków, sprawdzają się […]. Plechowicz, jeśli chodzi o jego osobowość, w dużym stopniu odbiega od stereotypu Litwina […] i w ogóle zdaje się być jednostką, z którą, gdybyśmy uznali za wskazane, moglibyśmy dość łatwo dojść w pewnych sprawach do wspólnego języka". W kwietniu 1944 r. siedem batalionów LVR trafiło na Wileńszczyznę. Podjęte próby wypracowania jakiegoś modus vivendi między przedstawicielami AK z emisariuszami Plechavičiusa zakończyły się fiaskiem. W ten sposób paradoksalnie nazwisko generała, człowieka, którego trudno określić jako wroga Polaków, stało się synonimem zbrojnej polsko-litewskiej konfrontacji.

O tym, że do niej doszło, zadecydowały sprzeczności interesów. Zasadniczą kością niezgody była kwestia przynależności terytorialnej Wilna i Wileńszczyzny. W tej materii zarówno Polacy, jak i Litwini trzymali się kurczowo swoich racji, nie przyjmując do wiadomości, że lada moment na sporne terytorium wkroczą bolszewicy. Ci zaś mieli własną wizję rozwiązania sporu polsko-litewskiego poprzez aneksję Wileńszczyzny (wraz z całą Litwą) do ZSRS. Zanim każda ze stron uświadomiła sobie wagę bolszewickiego niebezpieczeństwa, doszło

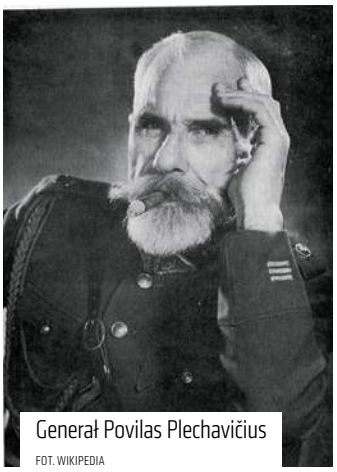

Generał Povilas Plechavičius

FOT. WIKIPEDIA

do niepotrzebnych walk. Litwini uważali, że LVR powstrzyma zainicjowany przez AK wiosną 1944 r. proces likwidacji litewskich instytucji na Wileńszczyźnie, natomiast przywódcy polskiej konspiracji naiwnie wierzyli, że oczyszczenie Wileńszczyzny z wpływów litewskich stworzy lepsze warunki dla przyłączenia Wileńszczyzny do Polski.

Mało realistyczny punkt widzenia AK-owskich decydentów szybko zweryfikowała rzeczywistość. Gwoli prawdy wypada skonstatować, że Litwini od początku nie mieli złudzeń co do prawdziwego oblicza nadciągających od wschodu „wyzwolicieli". Nie ulega wątpliwości, że konflikt polsko-litewski mógł być zażegnany wiosną 1944 r. tylko poprzez podjęcie wspólnej walki z Sowietami, bo to oni, a nie Niemcy, stawali się głównym wrogiem tak Polaków, jak Litwinów. Niestety, tak się nie stało. Krwawe starcia niepotrzebnie osłabiły siły obu narodów u progu militarnych zmagań z nowymi okupantami.

16 lutego 1944 r., w kolejną rocznicę odzyskania niepodległości, gen. Povilas Plechavičius na falach radiowych wezwał swych rodaków do obrony ojczyzny przed „czerwoną zarazą". Efekt apelu – jak pisano w biuletynie organizacji podziemnej Lietuvių Frontas (Front Litewski) – „przeszedł najśmielsze oczekiwania organizatorów". Do 11 marca zgłosiło się 18 tys. ochotników. Ostatecznie w LVR znalazło się 11,5 tys. żołnierzy. Utworzono z nich 13 batalionów oraz jeden szkolny w Mariampolu. Każdy z batalionów miał swój numer porządkowy (bataliony nosiły numery 301–310, 321, 263 i 265). Społeczeństwo litewskie postrzegało LVR jako zalążek swej przyszłej narodowej armii, która miała podjąć walkę o niepodległość kraju.

Zgodnie z ustaleniami ze stroną niemiecką działaniami LVR kierować miało dowództwo litewskie. Ponadto miejscem stacjonowania korpusu miało być terytorium Litwy. Bez zgody dowódcy jego pododdziały nie mogły być dyslokowane poza obszar terytorium państwowego. Oficerowie i żołnierze mieli prawo nosić na mundurach litewskie emblematy. Niemcy, widząc sukces naboru do LVR, nakazali w kwietniu Plechavičiusowi ogłoszenie mobilizacji do wojska niemieckiego, licząc na to, że przyniesie ona podobny skutek. Drugi raz w historii Litwini pokazali, że nie chcą walczyć w strukturach armii niemieckiej. W rezultacie zastosowanego bojkotu mobilizacja się nie udała.

## Starcia z Polakami

W tym czasie doszło do pierwszych starć LVR z wileńskimi brygadami AK. Jedna z pierwszych bitew rozegrała się 4 maja 1944 r. pod Pawłowem. Walka zaczęła się na skutek wkroczenia Litwinów do wsi i rozpoczęcia represji wobec ludności cywilnej podejrzewanej o współpracę z polskim podziemiem. W ich wyniku zginęły dwie osoby, spaleniu uległo także kilka domostw. Te działania żołnierzy 2. kompanii 310. batalionu LVR spotkały się z natychmiastową polską ripostą.

O jej finale i tragicznych konsekwencjach mówi meldunek dowódcy 3. Brygady AK: „W dniu 4 maja 44 o godz. 14.30 otrzymałem meldunek, że kolumna złożona ze 160 Litwinów pomaszerowała na Turgiele. Litwini, nie dochodząc do Turgiel, zatrzymali się we wsi Pawłowo, podpalając wieś i mordując ludność cywilną. Po zaalarmowaniu oddział natychmiast ruszył do akcji. Litwini zdołali umknąć, pozostawiając na placu 4 zabitych. Wzięto do niewoli dowódcę litewskiego oddziału w stopniu kapitana



eprasa.pl cdf2d61de1

Ciała żołnierzy Litewskiego Korpusu Terytorialnego, poległych w walce z Armią Krajową pod Graużyszkami FOT. GENOCID.LT

zawodowego oraz 3 żołnierzy. Po przesłuchaniu ze względu na nieludzkie i bandyckie obejście się z ludnością cywilną wsi Pawłowo jeńcy w liczbie 3 osób włącznie z kapitanem, dowódcą wyprawy, zostali rozstrzelani" (owym rozstrzelanym oficerem był kpt. Vytautas Narkevičius). Trzeba dodać, że akcje represyjne wobec ludności cywilnej przeprowadzane były także w innych wsiach, m.in. w Adamowszczyźnie i Sieńkowszczyźnie, gdzie zginęło z rąk elverowców dziewięć osób. Egzekucje cywili nie miały jednak charakteru masowych zbrodni. Były to incydentalne przypadki, nieporównywalne choćby z masakrą dokonaną 20 czerwca 1944 r. na 39 głównie kobietach i dzieciach, przez policjantów z 3. kompanii 258. batalionu rezerwowego Schuma w miejscowości Glinciszki. Jej skutkiem był potem polski odwet, który pociągnął za sobą śmierć 81 osób, w większości kobiet i dzieci.

6 maja 1944 r. doszło do kolejnego starcia zbrojnego pod Graużyszkami. Przeciwnikami polskich partyzantów z 8. i 12. brygady AK byli żołnierze z 308. batalionu LVR dowodzonego przez mjr. Antanasa Andriunasa. Bój zakończył się zwycięstwem Polaków. Poległo 21 litewskich żołnierzy. Dzień później doszło do bitwy pododdziału 309. batalionu LVR z 6. Brygadą AK pod Koniawą. Tym razem starcie zakończyło się remisem, a straty po obu stronach były porównywalne. Finałem konfrontacji LVR-AK była bitwa, do której doszło w nocy z 13 na 14 maja 1944 r., kiedy pięć brygad (3., 9., 8., 12., 13.) Armii Krajowej rozbiło trzy kompanie (4. kompania wycofała się z Nowosiółek do Oszmiany) 301. batalionu pod Murowaną Oszmianką i Tołminowem. Tym razem w obu tych starciach śmierć poniosło kolejnych 23 litewskich żołnierzy, a 175 trafiło do niewoli i zostało rozmundurowanych, a następnie zwolnionych (Polacy utracili w tych walkach 12 zabitych).

Klęski LVR zirytowały niemieckie władze wojskowe. W raporcie Dowództwa Wehrmachtu na Białorusi padły na temat użycia korpusu zdecydowanie krytyczne słowa: „Od 25.4.1944 r. przerzucono na Wileńszczyznę 301., 303., 305., 306., 308. i 309. bataliony policji litewskiej i łotewski batalion policji »Ryga« z 4 kompaniami, aby powstrzymać tam stale rosnące niepokoje. […] W jednostkach nie było absolutnie żadnej dyscypliny i nie są one wyszkolone. Oficerowie nie trzymają swoich ludzi pod kontrolą i interweniują jedynie w rzadkich przypadkach przeciwko niezdyscyplinowanemu zachowaniu się. Występowanie przeciwko ludności polskiej […] poruszyło bandy białopolskie. Przez to doszło już bardzo szybko do potyczek z bandami polskimi, w których oddziały litewskie doznały dotkliwych strat […]. Ponieważ Litwini nie występowali dość energicznie przeciwko polskim bandom, te napadały na zwarte oddziały, rozbrajały je, zabierały im buty, spodnie i uzbrojenie, a następnie odsyłały je w kalesonach do najbliższej bazy. Wydarzeń tych można było uniknąć, gdyby wcześniej usłuchano placówek niemieckiego Dowództwa, które zgodnie odradziły użycie litewskich sił policyjnych w tym prawie całkowicie polskim kraju […]".

Decyzja władz niemieckich z 9 maja 1944 r. likwidująca autonomię LVR i podporządkowująca tę formację wyższemu dowódcy SS i policji w Reichskommissariat Ostland SS-Obergruppenführerowi Friedrichowi Jeckelnowi doprowadziła do napięć między Litwinami a Niemcami. W efekcie ci ostatni 15 maja 1944 r. rozpoczęli w Kownie operację rozbrojenia LVR. Na pierwszy ogień poszło dowództwo z gen. Plechavičiusem oraz szefem sztabu płk. Oskarem Urbonasem. Wywieziono ich wraz z 23 oficerami początkowo do gmachu gestapo w Kownie, a następnie deportowano do obozu koncentracyjnego Salaspils na Łotwie. 16 maja doszło do likwidacji szkoły podoficerskiej LVR w Mariampolu. Podczas walki pięciu Litwinów poniosło śmierć.

Poza tym Niemcy w egzekucjach dokonanych 17, 18 maja i 21 listopada 1944 r. rozstrzelali 84 żołnierzy LVR w Ponarach. Dodatkowych 110 wywieziono do KL Stutthof, 983 deportowano do obozu Oldenburg, a 3,5 tys. jako Flakhelferów wcielono do niemieckiej obrony przeciwlotniczej. Pewna część elverowców wstąpiła do utworzonego na Żmudzi w lipcu 1944 r. Tėvynės Apsaugos Rinktinė (Korpusu Obrony Ojczyzny). Inni zaś udali się do swych domów, stając się wkrótce partyzantami antysowieckiego podziemia.

Dowódca LVR gen. Povilas Plechavičius po wojnie pozostał na emigracji w USA i tam zmarł 19 grudnia 1973 r. Parę lat po odzyskaniu przez Litwę niepodległości prezydent Rolandas Paksas 16 lutego 2004 r. odznaczył Povilasa Plechavičiusa Wielkim Krzyżem Orderu Pogoni. Odznaczenie to się bez wątpienia temu wielkiemu litewskiemu patriocie należało.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl cdf2d61de1

Marian Zacharski

**Aparaty fotograficzne tej marki przez całe dekady stanowiły podstawowe wyposażenie najlepszych agentów wywiadu**

XX w. / Sprzęt Jamesa Bonda

# MINOX – marzenie szpiegów

Sierpień 1943 r. Amerykańska ambasada w Bernie, biuro rezydenta wywiadu OSS, Allena Dullesa. W godzinach nocnych dochodzi do pierwszego spotkania gospodarza z dopiero co przybyłym do Berna kurierem rządu III Rzeszy, Fritzem Kolbem. Dulles przedstawia się jako Douglas, Niemiec nie podaje swojego nazwiska. Uważa to za przedwczesny krok. Po kilku grzecznościowych zdaniach niski, łysawy kurier przechodzi do rzeczy. Spieszy mu się. Otwiera grubą brązową kopertę z nadrukiem swastyki, wyjmuje plik dokumentów i wręcza je Dullesowi. „Jeżeli się nie mylę, to znajdzie pan tutaj 186 różnych, ale bardzo istotnych informacji". Wśród nich są kopie oficjalnych dokumentów, odręczne notatki z tajnych spotkań i posiedzeń, raporty o akcjach sabotażowych we Francji i informacje o morale niemieckich wojsk walczących na froncie wschodnim.

Dulles był totalnie zaskoczony. Spostrzegawczy gość mu pomógł. „Są to materiały, które przeszły przez moje biurko w Urzędzie Spraw Zagranicznych (Auswärtige Amt – AA), w którym pracuję od 15 lat. Obecnie pełnię funkcję asystenta oficera łącznikowego AA z wszystkimi rodzajami sił zbrojnych III Rzeszy. Jestem z krwi i kości Niemcem, ale także antynazistą. Od stycznia 43 kopiowałem najistotniejsze dokumenty, które chowałem w domu celem wywiezienia do Szwecji lub Szwajcarii i przekazania Amerykanom. Nie oczekuję teraz żadnego zadośćuczynienia. Być może kiedy wojna się skończy, będę potrzebował pomocy". W toku dyskusji panowie ustalili, że w dalszych kontaktach Fritz Kolbe będzie występował jako George Wood. Rozmowa zakończyła się nad ranem. Kolbe zdołał tylko się przebrać. Odjechał pierwszym rannym pociągiem do Berlina.

Wrócił w październiku. Tym razem miał prośbę do Dullesa. Celem sprawnego fotografowania dokumentacji potrzebował miniaparatu fotograficznego marki MINOX. Dzięki Kolbemu i sprawności minikamery do końca wojny USA otrzymały ponad 2,7 tys. ściśle tajnych dokumentów pochodzących z różnych ważnych instytucji III Rzeszy.

## Po wojnie...

Aparaty fotograficzne i kamery marki MINOX przez całe powojenne dekady stanowiły podstawową część wyposażenia agentów wywiadu. Oto przykłady.

**1.** 4 października 1962 r. [U.S.] President's check list. „Sowieci odpowiedzieli na wydalenie przez nas z Nowego Jorku ich 2 obywateli przez zatrzymanie i poturbowanie naszego asystenta attaché marynarki wojennej. Znajdował się on



eprasa.pl cdf2d61de1

James Bond (w jego roli George Lazenby) używał MINOX-a A w filmie „W tajnej służbie Jej Królewskiej Mości" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wraz z kanadyjskim attaché, który nie był molestowany, w rutynowej podróży do Leningradu. Oczekujemy, że uznany on zostanie za persona non grata. Fotografowie z TASS wykonali zdjęcia z całego epizodu, podczas którego Sowieci odebrali komandorowi Smith'owi kamerę MINOX (bez zdjęć), miniaturowy magnetofon oraz notatki".

**2.** Moskwa 7 maja 1963 r. Pierwsze posiedzenie Sądu Najwyższego ZSRS w sprawie przeciwko płk. Olegowi Pieńkowskiemu i obywatelowi Wielkiej Brytanii, Greville'owi Wynne'owi. Po czterech dniach publicznego procesu Pieńkowski został skazany na karę śmierci, a Wynne na 16 lat więzienia. Obydwaj oskarżeni przyznali się do winy. Przyznając się, Pieńkowski bronił losu swojej rodziny, zawarł bowiem ugodę z prokuratorem, że w zamian za pokorną postawę w trakcie rozpraw jego żona i dzieci nie trafią do więzienia. Pieńkowski przyznał się do przekazania najtajniejszych dokumentów dotyczących rozwoju techniki rakietowej. Dodatkowo w środowisku amerykańskich wywiadowców furorę zrobiła dostarczona przez niego sowiecka ściśle tajna instrukcja dotycząca sposobów prowadzenia działalności szpiegowskiej na terenie USA. W trakcie przeszukania mieszkania znaleziono m.in: numery telefonów oficerów zachodnich wywiadów, sześć pocztówek z utajnionymi instrukcjami, sfałszowany paszport, zestawy bloczków szyfrowych, trzy kamery MINOX i stosowne instrukcje do nich, dwa arkusze specjalnie nasączonego papieru służące do sporządzania tajnopisów, gotowe raporty wywiadowcze, notatkę z wykazem częstotliwości transmisji radiowych emitowanych przez obce wywiady i radioodbiornik firmy Sony przystosowany do ich odbioru, 15 niewywołanych rolek filmu do aparatu MINOX etc. Wyrok śmierci na Pieńkowskim wykonano 16 maja 1963 r. Wynne powrócił do domu w 1964 r. w ramach wymiany za Gordona Arnolda Lonsdale'a (prawdziwe nazwisko: Konon Trofimowicz Mołody).

**3.** 27 września 1968 r., godz. 18.20. Ciemnia w sklepie fotograficznym w Bonn przy Sternstrasse. Technik laborant położył na przeglądarce wywołaną i wysuszoną rolkę czarno-białego filmu. Używając szkła powiększającego, dokonał szybkiej kontroli jakości i zawartości podłużnych negatywów wykonanych przy użyciu aparatu firmy MINOX. Tego rodzaju rutynowej kontroli od pewnego czasu wymagała policja w Bonn. Chodziło o wyłapanie amatorów pornografii korzystających z miniaturowych kamer. Następnie technik, nie ociągając się, wbiegł do pokoju szefowej sklepu, pani Trude Helke, która z miejsca zatelefonowała do inspektora 14. komisariatu policji zajmującego się sprawami politycznymi. Przekazała film, na którym oprócz paru zdjęć rodzinnych znajdowały się kopie dokumentów z gryfami tajności „NATO Cosmic Top Secret". Klientem, który w poprzedni poniedziałek zamówił i z góry zapłacił za wywołanie, był niemiecki adm. Hermann Lüdke, który przez pewien czas pracował w SHAPE (Supreme Headquarters Allied Powers Europe) na stanowisku zastępcy szefa logistyki. Znał wszystkie niejawne szczegóły dotyczące przepustowości portów europejskich, transportu, przemysłów obronnych, lokalizacji składów z bronią nuklearną i konwencjonalną itd. Zawartość zdjęć mogła wskazywać, że były one wykonane celem przekazania obcemu wywiadowi. Afera wybuchła trzy dni przed jego odejściem na emeryturę. Po uroczystym lunchu i górnolotnych mowach pełnych podziękowań za wierną 40-letnią służbę minister obrony Gerhard Schröder, wiceadmirał Gert Jeschonnek oraz oficer kontrwywiadu zamknęli się w osobnym pokoju z nowo upieczonym emerytem i rozpoczęli krótkie przesłuchanie. Lüdke oświadczył, że najpewniej ktoś ukradł jego minoksa i bez jego wiedzy wykonał nielegalne zdjęcia. Przyciskany do muru zmienił wersję, stwierdzając, że sam zrobił te zdjęcia, aby mieć trwałą pamiątkę z wyjątkowego miejsca pracy. Po tych krótkich wyjaśnieniach, o dziwo, pozwolono mu wrócić do domu. Dlaczego nie powiadomiono natychmiast prokuratora z biura federalnego w Karlsruhe, który odpowiadał za śledztwa w sprawach o zdradę? Podobno zbyt późno się zorientowano, że instytucja ta nie funkcjonuje w czasie weekendu. 8 października znaleziono ciało Lüdkego z potężną dziurą w klatce piersiowej wskazującą na użycie amunicji dum-dum. Nie znaleziono odpowiedzi na pytanie, czy było to samobójstwo, czy zabójstwo. Tego samego dnia samobójstwo popełnił zastępca szefa BND, gen. mjr Horst Wendland.



eprasa.pl cdf2d61de1

15 października powiesił się urzędnik ministerstwa przemysłu, 16 października śmiertelnie przedawkowała leki pracownica federalnego biura prasy i informacji, 18 października zastrzelił się podpułkownik Bundeswehry Johannes Grimm, zatrudniony w wydziale alarmowym i mobilizacyjnym ministerstwa obrony, a 23 października nagle zniknął bez śladu inny pracownik tego resortu. Pozostawił krótką notkę wskazującą, że rzekomo zdecydował się na popełnienie samobójstwa.

**4.** 16 stycznia 1977 r. FBI aresztuje Christophera Johna Boyce'a, 24 lata. Zatrudniono go w słynnym koncernie aeronautycznym TRW Inc. w Redondo Beach w Kalifornii. Dzięki wsparciu ojca, który piastował funkcję dyrektora ds. bezpieczeństwa w McDonnell Douglas, młody Boyce szybko awansował i w ciągu kilku miesięcy przeniesiony został do ściśle tajnego centrum łączności tzw. Black Vault. Tą drogą przechodziły najbardziej wrażliwe transmisje National Reconnaissance Office. Do rąk młodego idealisty zaczęły wpadać depesze CIA, w tym te, które dotyczyły podejmowanych prób odsunięcia od władzy premiera Australii, Edwarda Gough Whitlama, który planował zamknięcie amerykańskich baz wojskowych, w tym tej najważniejszej, Pine Gap („Merino") położonej w odległości 19 km na południowy zachód od Alice Springs, służącej do globalnej łączności i nasłuchu. Pan premier rozważał także wycofanie swoich wojsk z Wietnamu. W pierwszej chwili Boyce brał pod uwagę dokonanie kontrolowanego przecieku do prasy. Ostatecznie, za namową swojego kolegi z lat szkolnych, zdecydował się na sprzedaż tej wiedzy Rosjanom. Młodzi konspiratorzy nawiązali kontakt z sowiecką ambasadą w Meksyku. Szybko dokonali stosownych uzgodnień i od tej pory Boyce, używając kamery firmy MINOX, fotografował zarówno przechodzącą przez jego ręce tajną korespondencję, jak i tabele szyfrowe oraz urządzenia, na których pracował. Nieostrożność jego kompana w trakcie jednego z wyjazdów do Meksyku legła u podstaw ich aresztowania. 14 maja 1977 r. Boyce skazany został na 40 lat więzienia. 21 stycznia 1980 r. zdołał uciec z ciężkiego więzienia w Lompoc w Kalifornii. Obrabował 17 banków. Ponownie wpadł 21 sierpnia 1981 r. Sąd dołożył mu trzy lata za ucieczkę i 25 lat za napady na banki. Więzienie opuścił w 2006 r., po ponad 25 latach. Napisał kolejną książkę. Poparł działania Edwarda Snowdena.

**5.** 20 maja 1985 r. Aresztowanie Johna Anthony'ego Walkera. Był to jeden z najefektywniejszych agentów zwerbowanych przez wywiad sowiecki na terenie USA, specjalista od szyfrów służący w marynarce wojennej. W drugiej połowie 1967 r., borykający się z kłopotami finansowymi, wszedł na teren sowieckiej ambasady i zaoferował regularne dostawy ściśle tajnych kluczy szyfrowych. Wypłaty za kolejne dostawy materiałów szyfrowych pozwoliły mu na systematyczne spłacanie długów rodzinnych, a nawet przeprowadzkę do lepszej dzielnicy. W 1969 r. został wykładowcą w szkole dla szyfrantów w San Diego. Jednym z jego uczniów był Jerry Whitworth. Panowie zaprzyjaźnili się. W 1973 r. Whitworth, piastujący funkcję senior chief radioman w Navy, uległ pokusie zwiększenia swoich zarobków i zgodził się na współpracę z Walkerem. Od tej pory fotografował dzienne klucze szyfrowe oraz używane w tej pracy maszyny. Trwało to do 1983 r. Przez 10 lat, używając miniaparatu fotograficznego marki MINOX, rzetelnie wywiązywał się ze zlecanych mu zadań. Panowie spotykali się dwa–cztery razy w roku. W trakcie każdej z tych schadzek Whitworth wręczał Walkerowi od 25 do 50 rolek filmu. Początkowo agent zarabiał 2 tys. dol. miesięcznie, ale po krótkim czasie pełni zachwytu specjaliści sowieccy uzyskali zgodę przełożonych na zwiększenie miesięcznej pensji do kwoty 6 tys. Ocenia się, że Whitworth w trakcie swojej pracy agenturalnej zarobił ok. 410 tys. dol. Walker skazany został na dożywocie i w 2014 r. zmarł w więzieniu Butner w Karolinie Północnej. Wyrok dla Whitwortha to 365 lat więzienia. Nadal go odsiaduje.

Warto wspomnieć o kilku zasadach wywiadowczych, których przestrzegania Sowieci wymagali od Walkera. Zasada 1: „Zamiast nazwisk używaj kodów". W tym przypadku Sowieci każdą z osób przewijającą się w sprawie „udekorowali" jednoliterowym kodem. Zasada 2: „Czytaj". Sowiecki oficer prowadzący zalecił mu przeczytanie książki „Francuski łącznik" jako dobrego źródła potrzebnych informacji. Zasada 3: „Chowaj materiały, gdzie celnik nie będzie szukał". Stąd małe rolki filmów pochodzących z kamery MINOX ukrywane były np. w pudełkach z bawełnianymi patyczkami Swabs. Zasada 4: „Nie trzymaj w banku dochodów ze szpiegowskiej działalności". Zasada 5: „Nie oczekuj natychmiastowej zapłaty".

## Aparat Waltera Zappa

Jak z powyższych zaledwie kilku przykładów wynika, MINOX stał się, wbrew zamierzeniom jej twórcy, podstawowym narzędziem, wręcz symbolem pracy wywiadów i kontrwywiadów. Nawet kiedy wytwórnie filmowe planowały produkcje kolejnych filmów o tematyce szpiegowskiej, nie było mowy o tym, aby jedną z „cichych bohaterek" nie została kamera MINOX. Tak było też w roku 1968, kiedy Universal City Studios postanowiło sfilmować książkę Leona Urisa pt. „Topaz". W liście do ministerstwa obrony USA John Horton zaprezentował założenia filmu przygotowane osobiście przez Alfreda Hitchcocka oraz wystąpił o zgodę na wykorzystanie do wybranych scen m.in. infrastruktury bazy sił powietrznych Andrews. Chodziło przede wszystkim o sfilmowanie samolotu VC-137 kołującego do hangaru w tej bazie. W dalszej części założeń scenariusza kamera MINOX godnie współpracowała z bohaterskim szpiegiem, wiernie rejestrując treści tajnych dokumentów.

Idea powstała w umyśle urodzonego w 1905 r. w Rydze Waltera Zappa. Był bardzo inteligentnym i technicznie uzdolnionym młodym człowiekiem, ale nie udało mu się skończyć szkoły wyższej. W 1925 r. podjął pracę w firmie Rambach, będącej liderem sprzedaży aparatów fotograficznych w Rewalu. To właśnie tam miał okazję poznać pierwsze egzemplarze małego, na ówczesne czasy rewolucyjnego, aparatu firmy Leica. Rozebrał go na części i ponownie złożył. Po szczegółowym przeanalizowaniu budowy miał pewność, że gotów jest podjąć wyzwanie i zaskoczyć wszystkich fanów fotografii. Aby zrealizować swój życiowy cel, musiał zdobyć finansowanie. Pomógł mu w tym jego przyjaciel, Waldemar Nylander, sprowadzając do domu Zappa znanego finansistę, Richarda



eprasa.pl cdf2d61de1

Reklama MINOX-a i jeden z typów tego aparatu FOT. ARCHIWUM/ZBIORY AUTORA

Jurgensa, który zajął się stroną finansową przedsięwzięcia, w zamian za co miał otrzymywać 50 proc. zysku. Pierwsze projekty aparatu były radykalnie odmienne od tego, co oferował rynek w tym czasie, ale o to właśnie chodziło Zappowi. W końcówce 1934 r. podstawowe założenia konstrukcyjne były gotowe. Nazwę „MINOX" wymyślił w następnym roku Nylander.

Produkcja, na bardzo małą skalę, ruszyła w końcówce 1936 r. w VEF (Valsts Electrotechniska Fabrika), fabryce, którą w tym czasie kierował dr Teodors Vītols. W 1937 r. przeniesiono fabrykę z Nomme w Estonii do Rygi. W połowie 1939 r. miesięcznie linię produkcyjną opuszczało 180 aparatów MINOX. Ważnym odbiorcą była Anglia. Najtrudniejsze dla firmy i losów produkcji kamery były lata II wojny, kiedy to władze okupacyjne Łotwy cyklicznie się zmieniały. Latem 1941 r., po krótkiej okupacji Łotwy przez Sowietów, do Rygi wkroczyły wojska niemieckie. Z tą chwilą kontrolę nad firmą VEF przejęła grupa AEG z Berlina, a 25 proc. akcji AEG należało do General Electric. Otwierało to przed firmą MINOX duże szanse dotarcia na nowe rynki. Na przełomie lat 1941 i 1942 Zapp wyjechał do Niemiec, gdzie po pewnym czasie objął ważne stanowisko w Instytucie Badawczym AEG w Berlinie. Kiedy do Rygi zbliżali się Sowieci, znaczna część fabryki przeniesiona została do Torunia, by z czasem trafić do Köppelsdorf leżącego w pobliżu Sonneberg w Niemczech. Wiele skrzyń z gotowymi elementami kamer trafiło do Szwajcarii.

Można powiedzieć, że podążały tropami Waltera Zappa, który opuścił Niemcy, kierując się właśnie tam. Chaos końca wojny miał ogromny wpływ na losy kamery MINOX. Wiele dla przywrócenia ciągu produkcyjnego zrobił Ludwig Rinn, przemysłowiec działający w rejonie Wetzlar-Giessen. Zaproponował Zappowi uruchomienie produkcji kamer w jednej z pustych hal, która uniknęła zniszczenia. Zapp przyjął zaproszenie. Nadspodziewanie wielka popularność kamer MINOX spowodowała, że w krótkim czasie przeniesiono ich produkcję do nowych hal. Pracowało w nich 600 robotników. Kolejnym krokiem do zwiększenia sukcesu było wejście do gry amerykańskiego biznesmena, Donalda O. Thayera. W USA założył on firmę Minox Processing Laboratories, która przejęła odpowiedzialność za dystrybucję kamer i wywoływanie filmów. Wielkość, ale i wymagania rynku amerykańskiego były bodźcem do nieustannego opracowywania kolejnych modeli kamer i niezbędnego osprzętu do nich. Wielkimi klientami stały się światowe organizacje wywiadowcze, kontrwywiadowcze i policyjne. Wymagania tego sektora (fotografowanie dokumentów) spowodowały opracowanie specjalnych rodzajów łańcuszków, które doczepione do kamer ułatwiały użytkownikowi wybranie prawidłowego ustawienia zbliżenia. Dla firmy MINOX wszystko się dobrze układało aż do czasu nadejścia technologii cyfrowych. Tego wyzwania firma nie była w stanie udźwignąć. Nowym wygranym na rynku szybkiej, dostępnej, bardzo dobrej jakościowo fotografii stał się przenośny telefon.

Pierwszym tajnym albo skrytym zastosowaniem kamery MINOX (model łotewski sprowadzony do Anglii w 1938 r.) poszczycić się może członek brytyjskiego parlamentu, lotnik, członek rady dyrektorów firmy Kodak, John Moore-Brabazon. 7 maja 1940 r. wykonał on pierwsze i jedyne w historii zdjęcia z wnętrza obradującego parlamentu w jego starej formie. Trzy dni później premiera Chamberlaina zastąpił Churchill. Wykonywanie zdjęć wewnątrz parlamentu było wówczas zakazane. Zdjęcia te po raz pierwszy zostały opublikowane 1 maja 1966 r. w „Sunday Times".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl cdf2d61de1

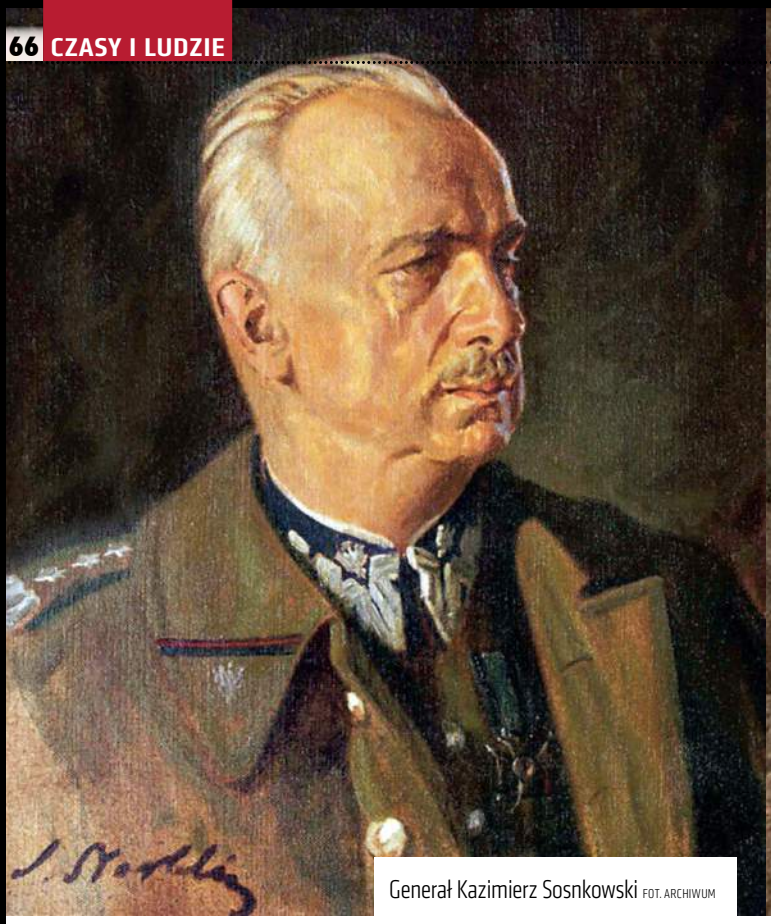

Generał Kazimierz Sosnkowski FOT. ARCHIWUM

Generał Władysław Anders FOT. ARCHIWUM

II wojna / Odwaga, ambicja i niesubordynacja generała

# Wojna generałów

Marek Gałęzowski

**Anders wobec dymisji generała Sosnkowskiego zachował się w sposób małostkowy**

We wrześniu 1939 r. gen. Władysław Anders był jednym z nielicznych polskich dowódców, który odnosił zwycięstwa nad oddziałami dwóch agresorów – Wehrmachtu i Armii Czerwonej. Był 23. dzień tego miesiąca, kiedy dowodzona przezeń grupa kawalerii (trzon jej stanowiła Nowogródzka Brygada Kawalerii, na której czele zaczął tę wojnę) wyrwała się pod Krasnobrodem z niemieckiego okrążenia. Pod tym miasteczkiem na Lubelszczyźnie doszło nie tylko do jednej z ostatnich szarż w historii polskiej jazdy, lecz także chyba jedyny raz we wrześniu 1939 r. polscy ułani starli się zwycięsko z niemiecką kawalerią.

I tam też ich triumf nagrodzono niebywałym entuzjazmem – „chwytano ułanów za strzemiona, gen. Andersa i towarzyszących mu oficerów całowano po kolanach, a nawet po butach" – pisał mjr Michał Brzęk-Osiński, dalej wspominając o podjętej przez generała decyzji. „Przyznał, że po 17 września nasza sytuacja militarna stała się beznadziejna. Ale mimo to musimy bić się dalej. I to nie tylko o honor, jak Warszawa i Lwów. My tu mamy do uratowania coś więcej jeszcze. Wojna na Zachodzie dopiero się zacznie, będzie długa i wierzymy, że zwycięska, ale nie może się ona toczyć dalej bez naszego w niej udziału. I dlatego trzeba z tej katastrofy wyprowadzić kogo się tylko da, aby odtworzyć u boku sprzymierzonych nasze siły zbrojne. Zostało nam już tylko jedno – przedrzeć się na Węgry".

Szedł więc Anders ze swoimi topniejącymi siłami w kierunku granicy. Pod Broszkami pokierował osobiście otwarciem drogi, „Ogniem umiejętnie pokierowanej baterii przygwoździł Niemców, po czym rzucił do natarcia w pierwszej linii w szyku pieszym 26 p.uł., a za nim nasz. Wieś została zdobyta, nieprzyjaciel rozbity i odrzucony, a my przebiwszy się w ten sposób, mogliśmy kontynuować



eprasa.pl cdf2d61de1

marsz na południe" (Brzęk-Osiński). Po kolejnej walce Niemcy musieli ustąpić polskiej kawalerii. Do granicy było coraz bliżej, lecz drogę zagradzała już Armia Czerwona. Ostatki pułków ułańskich z determinacją szły jednak naprzód, szablą i karabinem torując sobie drogę, a kiedy okazało się, że nie przejdą, Anders podzielił je na mniejsze grupy, rozkazując przedzierać się dalej. Jemu się to nie udało. Bardzo poważnie ranny, musiał poddać się 29 września 1939 r.

## Biały pióropusz

Po ciężkich przejściach więziennych we Lwowie, 29 lutego 1940 r., generał został wywieziony do Moskwy, na osławioną Łubiankę. W czerwcu następnego roku rozpoczęła się wojna III Rzeszy ze Związkiem Sowieckim i nie minęły jeszcze dwa następne miesiące, kiedy gen. Władysław Sikorski wyznaczył go na dowódcę armii polskiej w ZSRS. Wojsko to w 1942 r. szczęśliwie opuściło nieludzką ziemię. Zanim to się stało, Anders odmówił żądaniu Stalina, by sformowane już dywizje skierować na front.

Wspominał Józef Czapski: „Raz tylko pamiętam Andersa, gdy się zirytował. Jeden z bliskich mu oficerów [...] zaczął mu tłumaczyć, a było to już w końcu maja czy czerwca [1942 r.], że wojsko trzeba zatrzymać w Rosji. Nie gadaj mi głupstw – żachnął się Anders – co za wojsko może być z 18 proc. ludzi chorych na kurzą ślepotę z powodu awitaminozy, bez broni, niedożywionych? Czy możesz sobie wyobrazić inne wojsko w takich warunkach, jak wyłącznie »mięso armatnie« dla bolszewików? [...]«".

Po dłuższym pobycie na Bliskim Wschodzie, przeznaczonym na pełne zorganizowanie i wyszkolenie polskiego wojska, na początku 1944 r. zostało ono, jako 2. Korpus, przerzucone do Włoch. Generał Anders zdecydował, że jego żołnierze wezmą udział w bitwie pod Monte Cassino. Kierowało nim przekonanie, wyrażone w zakończeniu wydanego przed bitwą rozkazu do żołnierzy, że bijąc się o drogę do Rzymu, walczą o Polskę, której położenie międzynarodowe było coraz cięższe.

Jego argumentacji nie podzielał Naczelny Wódz gen. Kazimierz Sosnkowski: „Uderzenie frontalne, na wąskim odcinku natarcia, w terenie szalenie trudnym i na pozycję silnie ufortyfikowaną wydawało mi się niepotrzebnym marnowaniem krwi ludzkiej. Byłem zwolennikiem zdobycia Monte Cassino przez obustronne oskrzydlenie bastionu Monte Cassino. Prawdą jest również, iż w stosunku do generała Andersa użyłem zacytowanych przezeń słów: »pióropusz biały Panu się śni«. Powiedziałem mu jednak wiele więcej; [...] że uważam jego samowolny postępek za naruszenie dyscypliny wojskowej, przy tym bardzo niebezpieczne i wysoce szkodliwe na wygnaniu; [...] że dysponowanie krwią polską w ciężkiej walce politycznej o przyszłość i prawa naszego narodu należy do władz zwierzchnich Rzeczypospolitej; że pomijanie tych władz na rzecz obcych ośrodków dyspozycji ułatwia tym ostatnim wygrywanie ambicji jednostek dla swoich własnych celów, które przecież mogą pozostawać w sprzeczności z naszymi celami narodowymi, jak tego dowiodła konferencja w Teheranie i przemówienie Churchilla w parlamencie z dnia 22 lutego".

Ta krytyka stała się najpewniej przyczyną konfliktu między tymi dwoma wybitnymi dowódcami, który pogorszył i tak niezwykle ciężką sytuację Polski latem 1944 r.

Władze sowieckie niezwykle ostro atakujące Sosnkowskiego za jego stanowczą obronę praw Polski do niepodległości zyskały nieoczekiwane wsparcie w premierze rządu polskiego Stanisławie Mikołajczyku, który kapitulanctwo wobec żądań sowieckich uważał za wyraz realizmu politycznego. Tak się stało, że działania zmierzające do usunięciu gen. Sosnkowskiego ze stanowiska Naczelnego Wodza osiągnęły apogeum w czasie pobytu gen. Andersa w Londynie we wrześniu 1944 r. Tego samego dnia, kiedy rozmawiał on z Mikołajczykiem, zarówno brytyjski minister spraw zagranicznych Anthony Eden, jak i polski rząd zwrócili się do prezydenta RP Władysława Raczkiewicza, który był zwierzchnikiem Polskich Sił Zbrojnych, z żądaniem odwołania Sosnkowskiego, niegdyś jednego z najbliższych współpracowników marszałka Józefa Piłsudskiego, teraz wśród przedstawicieli najwyższych polskich władz najbardziej zdeterminowanego obrońcę niepodległości i integralności państwa polskiego. Generał Anders, który tak dzielnie bił się z dwoma agresorami we wrześniu 1939 r., który zakończył wojnę jako jedyny polski oficer odznaczony czterema klasami orderu wojennego Virtuti Militari, który nie miał żadnych złudzeń co do zagrożenia sowieckiego, nie wsparł dumnej i honorowej postawy Naczelnego Wodza w tym tak ważnym dla sprawy polskiej momencie.

Dzisiaj jeszcze uderza małostkowa obojętność Andersa, kiedy czytamy o jego stosunku do sprawy odwołania Naczelnego Wodza: „Rozkaz gen. Sosnkowskiego do Armii Krajowej z 1 września 1944 dał premierowi Mikołajczykowi sposobność do stanowczego wystąpienia przeciw gen. Sosnkowskiemu i żądania jego ustąpienia. Rozkaz ten, chociaż w treści swej, wskazującej pozostawienie Warszawy bez pomocy, wyrażał uczucia wszystkich Polaków, osłabił jednak stanowisko gen. Sosnkowskiego, gdyż:

1) wzmianka na wstępie rozkazu, że Polska wkroczyła w wojnę przed pięciu laty, »wysłuchawszy zachęty rządu brytyjskiego«, raziła nie tylko Brytyjczyków, ale także Polaków, którzy wiedzieli, iż Polska stanęła do oporu zbrojnego przeciw napaści Niemiec nie z powodu zachęty brytyjskiej, ale z własnego postanowienia;

2) zupełne nieuwzględnienie w rozkazie brytyjskich i amerykańskich usiłowań pomocy lotniczej, której udzielenie z daleka, wobec odmowy wszelkiej pomocy przez Rosjan, okazało się bardzo trudne, uważano za niesłuszne, tym bardziej że zdawano sobie sprawę, iż rzeczą właśnie polskiego naczelnego dowództwa było przygotować to zawczasu, a nie czynić zabiegi dopiero po wybuchu powstania".

Podsumowując ten wywód, pisał, że „stanowisko gen. Sosnkowskiego osłabiła nadto jego nieobecność w Londynie w okresie przed i w czasie wybuchu powstania, którą dotkliwie odczuwał Prezydent, i spóźniony jego powrót z Włoch. Mimo to wszczęcie ostrego zatargu z gen. Sosnkowskim właśnie wówczas, tak iż odrywało ono uwagę



eprasa.pl cdf2d61de1

od powstania, żądanie ustąpienia jego, gdy żądała tego Rosja, posługiwanie się prasą brytyjską do wystąpień przeciw niemu, wywołały w kołach polskich wrażenie przygnębiające". Sprawa, którą z taką obojętnością opisywał gen. Anders, nierozerwalnie łączyła się z obroną niepodległości Polski. W ówczesnej sytuacji, doskonale zdając sobie sprawę, jakie jest źródło żądania dymisji Naczelnego Wodza, dowódca 2. Korpusu nie zrobił nic, by temu przeciwdziałać. Zajął stanowisko bierne, więcej nawet – z wyraźnym chłodem ograniczył się do mało odkrywczego stwierdzenia złych relacji rządu RP z gen. Sosnkowskim.

Generał Kazimierz Sosnkowski z żołnierzami Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie FOT. NAC

Naczelny Wódz odniósł się do opinii Andersa w swoich „Komentarzach do książki W. Andersa. Bez ostatniego rozdziału". Zauważył, że dowódca 2. Korpusu „nie uznał za potrzebne zająć stanowiska w stosunku do haniebnej uchwały rządu Mikołajczyka, oskarżającej mnie, iż Rozkazem Nr 19 »naruszyłem godność narodu polskiego«. Żałować też należy, iż generał Anders nie znalazł w sobie dość odwagi cywilnej, by zacytować swój list do mnie z 7 IX 44, gdzie, donosząc mi, iż wstrzymał ogłoszenie mego rozkazu, wysuwa jako czołowy motyw swego niesłychanego kroku, że on, generał Anders, uważa, że wypowiedź moja została »celowo zestawiona lub sfałszowana«. Dalej w tymże liście pisze: »z wizyty premiera brytyjskiego jesteśmy zadowoleni […], mamy całkowitą wiarę w Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię, tak jak pięć lat temu«".

Odnosząc się do drugiego punktu wypowiedzi Andersa, Sosnkowski zwracał uwagę, iż ten wziął „w obronę Brytyjczyków […], że pomoc lotnicza z ich strony była niedostateczna", uznając zarzuty Sosnkowskiego za niesłuszne, „»tym bardziej, że rzeczą właśnie polskiego Naczelnego Dowództwa było przygotować zawczasu, a nie czynić zabiegi dopiero po wybuchu powstania«. W ten oto sposób zostały […] pokwitowane moje wysiłki i zabiegi czynione u Churchilla, Daltona, Selborne'a i Gubbinsa, aby uzyskać od Brytyjczyków należyte uzbrojenie AK, ze względu na Stalina i w związku z ich filorosyjską polityką. Pan Anders pomija milczeniem fakt, że zrzuty uzbrojenia dla Kraju w rocznym okresie sprawowania przeze mnie funkcji Naczelnego Wodza wzrosły dziesięciokrotnie w porównaniu z całym kilkuletnim okresem poprzedzającym, aczkolwiek ciągle były bardzo dalekie od potrzebnego minimum (1000 ton), którego domagałem się nieustannie od Anglików".

Wreszcie odnosząc się do ostatniego zarzutu, stwierdzał, że Anders powtarzał nieprawdziwe oskarżenia dotyczące wizyty w 2. Korpusie – dwulicowe „w ustach tego, kto w znacznej mierze spowodował moją podróż lipcową na front włoski i nalegał na jej odbycie w kilkakrotnych depeszach". Oczywiście wyrzucanie Sosnkowskiemu wyjazdu do Włoch, co do dziś czyni wielu autorów, jest absurdem, skoro wyjechał on w połowie lipca, a decyzję o wybuchu powstania, któremu Sosnkowski był konsekwentnie przeciwny, powzięto bez jego wiedzy, ostatniego dnia lipca 1944 r. Tym samym wyrzucanie mu przez Andersa, że nie przygotował pomocy dla powstania, o którym nie wiedział, gdyż o decyzji podjętej wbrew jego rozkazom nie został poinformowany, co wyraźnie wynika ze wspomnień gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora", dowodzi, że dowódca 2. Korpusu całkowicie pogubił się, usiłując wytłumaczyć swoje małostkowe postępowanie wobec wymuszonej dymisji gen. Sosnkowskiego, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że wymusił ją nacisk z zewnątrz.

Generał Stanisław Kopański, który pełnił przy gen. Andersie funkcję szefa sztabu wiosną 1945 r., taki zachował obraz generała: „Nie był intelektualistą jak gen. Sosnkowski. Był raczej typem żołnierza liniowego, wysokiego szczebla i klasy. Doświadczenie wojenne, wola, intuicja, spryt, pewność siebie i szybka decyzja, przy wrodzonej inteligencji i zdolnościach, stanowiły, jak mi się wówczas zdawało, jego istotne cechy". Było to zbyt mało, by wznieść się ponad własną ambicję i w chwili próby stanąć przy Naczelnym Wodzu, jedynym, który jeszcze potrafił bronić sprawy niepodległości Polski, wtedy, w końcu września 1944 r., kiedy Anders opuszczał Londyn, doznającej kolejnej klęski.

Po dymisji gen. Sosnkowskiego dowódca 2. Korpusu nie został, jak można było się spodziewać, Naczelnym Wodzem. Stanowisko to niespodziewanie powierzono dowódcy Armii Krajowej, gen. Komorowskiemu, który właśnie udawał się do niewoli niemieckiej po klęsce powstania. Sam Anders objął, dopiero w lutym 1945 r., stanowisko p.o. Naczelnego Wodza, pozostając nim do czasu zajęcia go przez gen. „Bora" trzy miesiące później. Po rozwiązaniu PSZ gen. Anders pozostał na uchodźstwie w Wielkiej Brytanii. Stał się jedną z najwybitniejszych postaci uchodźstwa niepodległościowego. I w 1954 r. drogi jego oraz gen. Sosnkowskiego znów się zbiegły. Całym sercem poparł zjednoczenie emigracji, czego symbolem miało być objęcie przez Sosnkowskiego godności prezydenta Rzeczypospolitej wobec zakończenia kadencji Augusta Zaleskiego. Kiedy zaś Zaleski wbrew wcześniejszym deklaracjom odmówił ustąpienia z urzędu, w bardzo ostrych słowach wypowiedział mu swoje posłuszeństwo, uznając tym samym wielkość i autorytet gen. Sosnkowskiego.

W jednym natomiast dowódca 2. Korpusu wyprzedził swojego dawnego adwersarza. Był niewątpliwie tym oficerem polskim, którego najbardziej szkalowała komunistyczna propaganda. Nie było przesadą, że dla powojennego uchodźstwa to gen. Anders był symbolem wierności idei niepodległej Polski. Rządzący krajem komuniści zdawali sobie z tego sprawę i dlatego zwalczali go z taką zajadłością.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

*Autor jest doktorem habilitowanym, profesorem Uczelni Łazarskiego.*



eprasa.pl cdf2d61de1

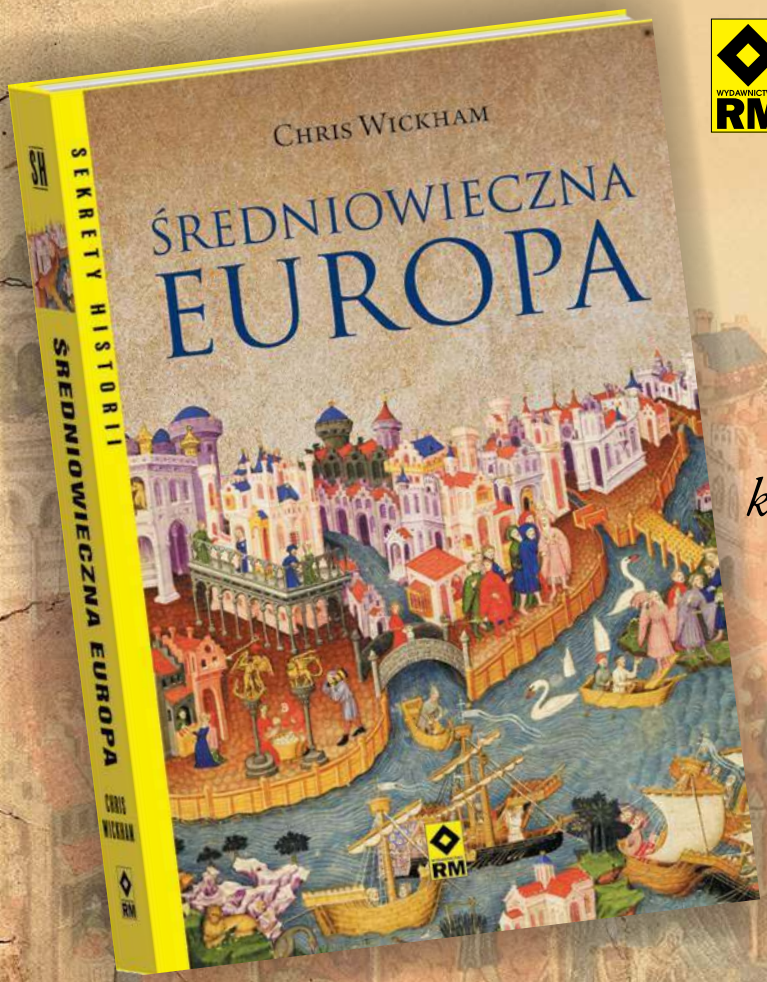


Wydawnictwo RM
www.rm.com.pl

*Fascynująca, rozsądna, autorytatywna: zdecydowanie najlepsza książka o wiekach średnich.*

– Paul Freedman, Uniwersytet Yale

KSIĄŻKI POLECAJĄ:

TVP HISTORIA

RZECZPOSPOLITA HISTORIA

**KIESZONKOWA HISTORIA to seria rzetelnych i ciekawych książek wprowadzających w zagadnienia historii militarnej.**

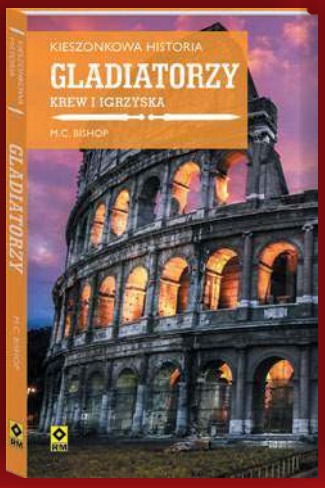


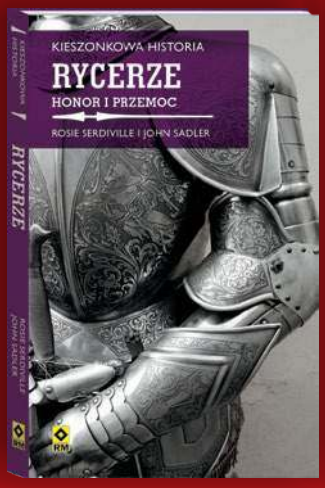

www.facebook.com/WydawnictwoRM

eprasa.pl cdf2d61de1

1919–2003 / Pisarz pogranicza dwóch epok

# Wierność prawdzie

Krzysztof Masłoń

**W styczniu minęło sto lat od jego urodzin. Równo wiek miałby dziś Jan Józef Szczepański, gdyby śmierć nie upomniała się o niego w lutym 2003 r.**

Był wybitnym prozaikiem, eseistą, scenarzystą, okazało się też, że i diarystą. Pozostawił jednak po sobie również ślad jako podróżnik, taternik, żeglarz. Był prezesem Związku Literatów Polskich w burzliwym okresie „karnawału Solidarności" i stanu wojennego, ostatnim prezesem „starego" ZLP i pierwszym, a następnie honorowym prezesem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Jego przyjaciel, Stanisław Lem, w rozmowie z Janem Józefem Szczepańskim mówił: „Ja się zastanawiałem nad słowami Turowicza, dlaczego ty masz takie słabe kursy na giełdach krytyki, na »salonach literackich«. Kiedyś pytałem dziekana krytyki polskiej – Jana Błońskiego, dlaczego nie napisał o tobie sążnistej rozprawy, ale on się wykręcał. Wiedziałem, że się nie dowiem, muszę sam wymyślić, i mam wrażenie takie w kategoriach alpinizmu, że ty jesteś ściana bez chwytów. Ściana jest cholerna, ale gładka. Do Gombrowicza czy Witkacego są bardzo wyraźne chwyty, można się powspinać…".

Tak rzeczywiście było i zwraca dziś uwagę brak dzieł krytycznych poświęconych niemałej przecież i ważnej twórczości autora „Kadencji". Chyba najciekawszą, najbardziej przenikliwą pozostaje niewielka praca Andrzeja Wernera z 2003 r. „Wysoko, nie na palcach. O pisarstwie Jana Józefa

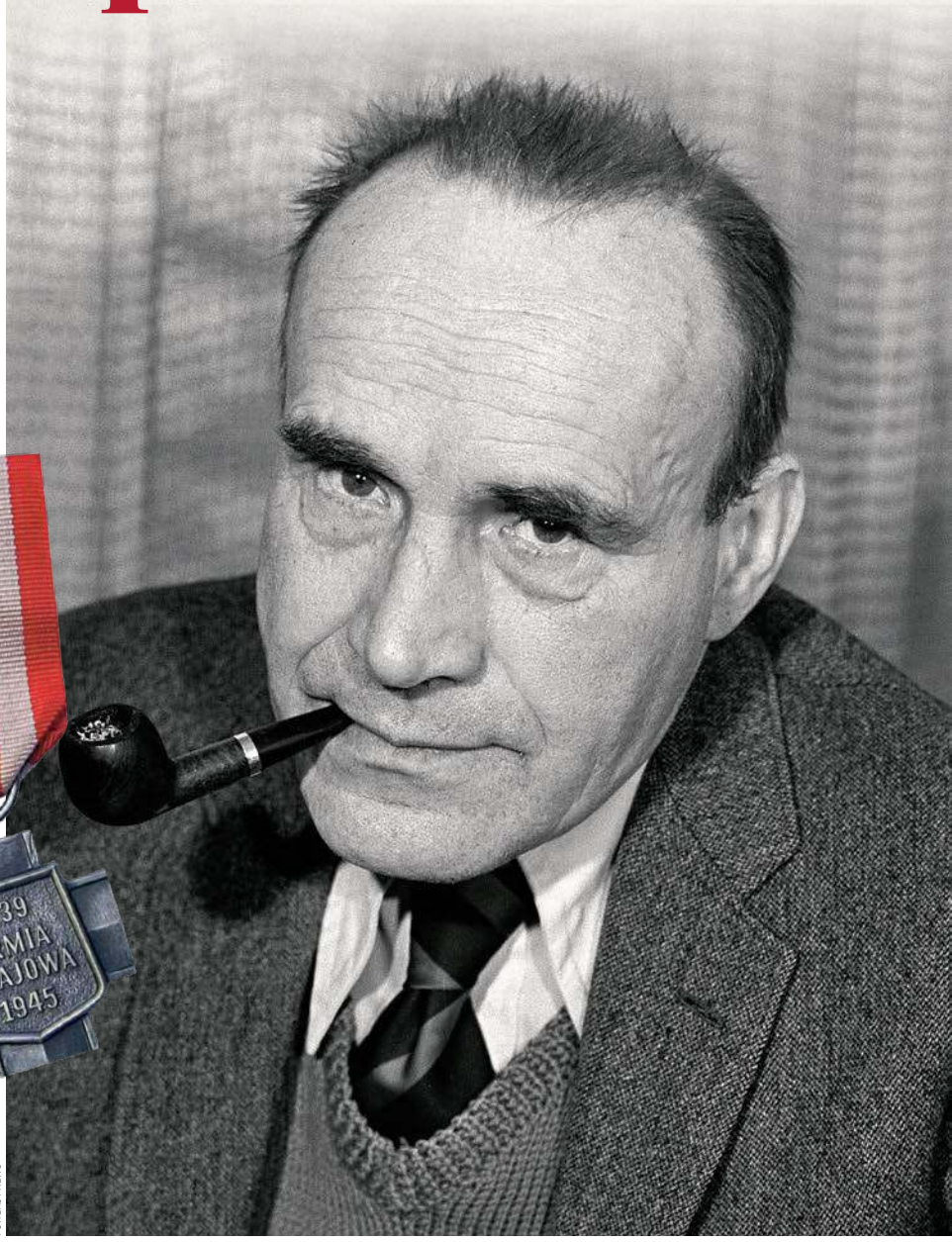

FOT. EAST NEWS



eprasa.pl cdf2d61de1

Szczepańskiego". Czytamy w niej, że pisarstwo to łączy osobiste doświadczenie autora „z doświadczeniami istotnymi w szerszej skali, łącznie ze skalą wielkich wydarzeń historycznych" – od września 1939 do stanu wojennego 1981 r. „Ale od głośnych wydarzeń historycznych – powiada Werner – ważniejszy jest może fakt życia na pograniczu dwóch epok, bycie świadkiem odchodzenia w przeszłość całych formacji historycznych, obyczajowych, kulturowych". Dowodzi tego cała znacząca część dorobku pisarskiego J.J.S., od „Polskiej jesieni" i „Butów" poczynając.

Kadr z filmu „Hubal". Jan Józef Szczepański, autor scenarisza, wycofał swoje nazwisko z czołówki filmu FOT. MUZEUM KINEMATOGRAFII W ŁODZI

## Dno historycznego koszmaru

To ostatnie opowiadanie, które opublikował na początku 1947 r. w „Tygodniku Powszechnym", traktował jako swój debiut literacki. Tom, w którym opowiadanie to się znalazło, wraz z innymi głośnymi tekstami: „Wszarz" i „Koniec legendy", wydany został dopiero w 1956 r. Wkrótce po pierwszej powieści Szczepańskiego „Polska jesień", której pierwsza wersja powstała zaraz po powstaniu warszawskim.

Pisarz wziął udział w działaniach wojennych 1939 r. jako podchorąży 6. Dywizji Piechoty Armii „Kraków". Pod Rawą Ruską dostał się do niewoli niemieckiej, ale udało mu się zbiec. Zamieszkał w Krakowie, gdzie pracował jako robotnik, działając w konspiracji (Związek Walki Zbrojnej, następnie Armia Krajowa). Od czerwca 1944 r. walczył w stopniu podporucznika w partyzantce AK-owskiej na Kielecczyźnie.

W grudniu 1944 r. zamieszkał na pewien czas w Goszycach pod Luborzycą, w majątku Zofii z Zawiszów Kernowej. Okupację spędzał tam jej zięć, Jerzy Turowicz, schronił się również w Goszycach Czesław Miłosz z rodziną. Spędzili razem ostatniego wojennego sylwestra, opisanego przez J.J.S. w znakomitym opowiadaniu „Koniec legendy", w którym on występuje pod postacią partyzanta „Szarego", Miłosza zaś rozpoznajemy w poecie Wielgoszu.

„Po latach – czytamy u Wernera – Miłosz wspomina swoją urazę do Szczepańskiego za niesprawiedliwe potraktowanie go w postaci Wielgosza. Niesprawiedliwe, bo zwracające uwagę na pozory. W istocie czas ten był dla niego »zstąpieniem do piekieł, na dno historycznego koszmaru, piłem i wymiałpiałem się, żeby zgnieść myślenie«. Jego ówczesny stosunek do Szczepańskiego nacechowany był »poczuciem niższości w stosunku do partyzanta« i »bardzo polskim wyrzutem sumienia, maskującym się hucpą«. Nie ma żadnych podstaw, aby wątpić w to wyznanie. Ale też określa ono jedynie porządek faktyczny, nie biorąc pod uwagę logiki konstrukcji literackiej. Z kolei Jan Józef Szczepański, również po latach i po pojednaniu między pisarzami, tak oto kwitował tamto sylwestrowe spotkanie: »Wtedy, w Goszycach w 1944 r. Miłosz wydał mi się oportunistyczny. Ale z jego perspektywy Goszyce to była jakby powtórka z historii, druga Nawłoć Żeromskiego, symbol ziemiaństwa jako warstwy wyobcowanej z rzeczywistości, schyłkowej. On powiadał: to już było i się źle skończyło. I – jak wiadomo – pożeglował w całkiem inną stronę niż ja«".

## Bełkot chwilami pokraczny

O sylwestrze w Goszycach będzie Szczepański pisał również w „Trzech czerwonych różach", nawiąże do niego także, snując refleksje w „Kadencji" w związku z pierwszym przyjazdem do Polski Czesława Miłosza po otrzymaniu Nagrody Nobla. A najwięcej ważnych dla siebie spraw politycznych i literackich omówi w „Dzienniku", jeszcze nieznanym w całości czytelnikom.

Na tle innych literackich memuarów „Dziennik" ten prezentuje się całkiem nieźle. Nie tylko ze względu na zawarte w nim anegdoty, choć nie brakuje wśród nich absolutnie pysznych. Na przykład 16 stycznia 1973 r. J.J.S. zapisał: „Przyjechał Zbyszek Herbert. Wczoraj wieczorem czytał w SPATiF-ie fragmenty eseju o Krecie i bardzo piękne wiersze z cyklu »Pana Cogito«. Piliśmy potem wódkę z [Jerzym (Turowiczem) i Spodkiem], a potem aktor Malak zabrał nas wszystkich, jeszcze z Jankiem Adamskim, do siebie. To było całonocne popijanie – do 4-ej rano. Takie jak bywało dawniej, w pierwszych powojennych latach. Dzisiaj kac. Zbyszek był u nas na obiedzie, zmięty i skłopotany. Zgubił wczoraj portfel i skarpetki (!)". Oczywiście, rangę „Dziennikowi" wyznaczają sprawy znacznie poważniejsze.

W porównaniu z komentarzami politycznymi ciekawiej wypadają oceny artystyczne. Na przykład o Andrzeju Wajdzie Szczepański wyrażał się z atencją, ale dopiero po „Człowieku z marmuru" i „Bez znieczulenia". Natomiast wcześniej… Po „Biesach" pisał: „Przedstawienie histe-



eprasa.pl cdf2d61de1

ryczne, ale z dużą ekspresją. Ten brak gustu Wajdy, który już jest artystyczną kategorią". Po „Weselu": „[…] przy całym swoim talencie, reprezentuje to efektowne cmokierstwo, którego nie znoszę".

Niesłychanie celna jest charakterystyka Tadeusza Różewicza: „Dziwi mnie zawsze (i w pewien sposób wzrusza) jego stosunek do mnie. Ten rodzaj zaufania i pokoleniowej solidarności, który zakłada głębokie porozumienie. Ale czy go rozumiem? Jego ogromną literacką erudycję i jego zgrzebny prowincjonalizm? Jego genialność i jego dziecinność? Nie znam nikogo innego egzystującego tak wyraźnie na dwóch odrębnych planach. W wymiarze tragicznej powagi, gdzie wszystko sprawdza się kryteriami bezlitosnej szczerości (właśnie w wymiarze geniuszu), i równocześnie na planie niemal groteskowym, gdzie jest śmiesznym, kłótliwym, zazdrosnym o sławę człowieczkiem, którego geniusz wydaje się hodować z wyrozumiałym sentymentem, jak wiernego totumfackiego w świecie codzienności. Najdziwniejsze, że jest jakaś harmonia w tym rozdwojeniu – harmonia bardzo płodna w jego sztuce".

Jan Józef Szczepański w swoich zapiskach bywał, jak na dzisiejsze standardy, mocno niepoprawny. Jednak dlatego pisze się dzienniki, by zapomnieć o wszelkiej cenzurze, nade wszystko autocenzurze. Szczerze więc recenzował Szczepański sławne „Wielopole" Tadeusza Kantora: „[…] wymowa symbolów jest prostacko krzykliwa, intencja bezczelnie agresywna. Szokować. Ukrzyżowanie i nocnik, sąd Piłata i ścierka do podłogi. Na krzyżu ksiądz, dziewczyna w podartym welonie, żołnierz, małomiasteczkowy głupek, manekin. Pietyzm kretynów, pietyzm morderców, bełkot chwilami pokraczny, chwilami groźny".

Nie zawsze i nie we wszystkim autor „Dziennika" miał rację, ale można te jego wieloletnie notatki nazwać, parafrazując Marię Dąbrowską, zapiskami człowieka myślącego. I tak, w lipcu 1975 r., Szczepański wrócił wspomnieniem do swojego pobytu w końcu lat 50. w Paryżu, gdzie przysłuchiwał się dyskusji po prelekcji o homoseksualizmie: „Jakaś dziewczyna (jeszcze widzę jej twarz nalaną i wągrowatą – twarz działaczki studenckiej lewicy) zaczęła od tego, że ona sama nie jest wprawdzie homosexuelle, ale ma przyjaciela pederastę, utalentowanego poetę, który jako wierzący katolik pragnął uświęcić swą pederastyczną miłość ślubem kościelnym. Zwrócił się w tej sprawie do papieża, ale nie otrzymał nawet odpowiedzi. Po tej wzruszającej historii sala wybuchła gwizdami i okrzykami (pod adresem papieża): sale faschiste!".

Do wydarzenia doszło dokładnie 15 stycznia 1958 r. Do 9 października tegoż roku głową Kościoła katolickiego będzie Pius XII. Obecni naśladowcy i następcy tamtych paryskich dyskutantów w pełni podtrzymują wydany wówczas werdykt: to był brudny faszysta. Bez dwóch zdań.

W 1977 r. Jan Józef Szczepański miał jednak inne zmartwienia i skupiał uwagę np. na rodzimym ruchu dysydenckim: „Kijowski dał się namówić Woroszylskiemu do napisania wstępniaka do pierwszego numeru samizdatowego tygodnika. Przyniósłszy tekst, przeglądał zebrane materiały. Okazało się, że clou numeru ma stanowić skonfiskowany przez cenzurę rozdział z »Owidiusza« Jacka Bocheńskiego. Ale konfiskata miała charakter obyczajowy, nie polityczny. Dotyczyła opisu zbiorowego gwałtu na ośmioletniej dziewczynce. Kijowski wycofał swój tekst. Próbował przekonać W. i B. o bezsensowności umieszczenia takiej rzeczy w publikacji reprezentującej ideowy protest. Zdaje się, że nic nie wskórał. [...] Niestety i opozycja popada w aberrację".

Swoją drogą, w aberrację i on niekiedy popadał. W przeciwnym razie sam poszedłby do kina na „Hubala" (1973) Bohdana Poręby (J.J.S. – scenarzysta wycofał swe nazwisko z czołówki filmu, oficjalnie po dokonanych zmianach w tym scenariuszu, naprawdę – w wyniku środowiskowych nacisków i ostracyzmu, jakim objęto przyszłego szefa Zespołu Filmowego „Profil" i działacza Stowarzyszenia „Grunwald"), a nie powtarzał nie swoje i nie najmądrzejsze opinie: „Podobno cały film w konwencji grottgerowsko-kossakowskiej i bogoojczyźnianym duchu spod znaku Moczara i endecji".

Wkład Jana Józefa Szczepańskiego w polską twórczość filmową był jednak znaczący. Napisał on bowiem, poza „Hubalem", scenariusze do m.in. filmów Stanisława Różewicza: „Wolne miasto" (1958) i „Westerplatte" (1967), Pawła Komorowskiego „Stajnia na Salvatorze" i Krzysztofa Zanussiego „Z dalekiego kraju".



eprasa.pl cdf2d61de1

Kadr z filmu „Westerplatte" według scenariusza Jana Józefa Szczepańskiego
FOT. INPLUS/EAST NEWS

Jan Józef Szczepański to moralista, dla którego wierność prawdzie jest ważniejsza niż wszystko inne. To z tego przekonania brały się takie opowiadania jak „Buty" czy „Wszarz", które stały się kamieniem obrazy dla środowisk kombatanckich. Partyzanci byli przecież bez skazy, a tu przeprowadzają egzekucję, by zabrać skazanym obuwie czy zabić żebraka jeśli czegoś godnego, to tylko litości. J.J.S. tłumaczył takie czyny „zarażeniem śmiercią", ale jest faktem, że „swą prawdą – utrzymywał Werner – naruszył on tabu szczególnie istotne dla zmasakrowanej zbiorowości".

Także „Polska jesień" podporządkowana jest dewizie naczelnej Jana Józefa Szczepańskiego: wierności prawdzie. Jest to bardzo ważne w kontekście sytuacji niezwykle trudnych moralnie, wobec których stają żołnierze z kart jego prozy. Nawiasem mówiąc, autor był artylerzystą.

Szczepański w końcu pożegnał się z tematyką wojenną, ale dylematy moralne jego bohaterów będą miały niezmiennie wielką wagę, a rozstrzygane będą „Przed Nieznanym Trybunałem", jak głosił tytuł zbioru z 1975 r. To z tego tomu pochodzi „List do Juliana Stryjkowskiego", przywołujący Conradowską formułę tej funkcji literatury, jaką jest wymierzanie sprawiedliwości widzialnemu światu. „Ale Conradowska formuła – pisał dalej – bynajmniej nie zapewniła owej spokojnej pewności siebie, jaką daje poruszanie się w znanej i ściśle zinwentaryzowanej przestrzeni. Przede wszystkim nie wiadomo, jaki to kodeks praw jest tu podstawą wymiaru sprawiedliwości. I co jest źródłem uprawnień sędziego. Bo jeśli feruje on wyroki na sprawy widzialnego świata, sam musi stać ponad tym światem – jak każdy sędzia stojący na zewnątrz procesu, który rozstrzyga – uzbrojony ponadto w niezawodną miarę prawdy i fałszu. Czy zajęcie takiej pozycji nie jest uzurpacją? Jest to w każdym razie mission impossible – o czym zresztą Conrad na pewno doskonale wiedział. Wiedział jednak również, że uzurpacja jest powołaniem artysty".

## W kręgu literatury rodzinnej

Z rozległego dorobku pisarskiego Jana Józefa Szczepańskiego zwracają uwagę książki reportażowe – ze Stanów Zjednoczonych, z Francji, Grecji, Afryki, Meksyku, a może przede wszystkim ze Spitsbergenu („Zatoka Białych Niedźwiedzi", 1960). Znaczący jest też dorobek translatorski tego tłumacza Conrada, Huxleya i Apollinaire'a. Jednak ten przegląd pisarskich działań J.J.S. zakończyć chciałbym przypomnieniem jego dylogii o Antonim Berezowskim, który w 1867 r. podczas wystawy światowej w Paryżu usiłował zastrzelić cara Aleksandra II, ale chybił i w drodze łaski zamieniono mu karę śmierci na dożywotnią katorgę (potem – zesłanie na Nowej Kaledonii). Szczepański opowiedział o nim w dwóch książkach, uznawanych często za najlepsze ze wszystkich, jakie napisał: w „Ikarze" (1966) i „Wyspie" (1968).

A wzięły się one ze wspomnień pisarza o tym, jak w dzieciństwie odwiedzał powstańca roku 1863. „Jak ostatni raz go w życiu widziałem, uścisnął mi rękę i powiedział: pamiętaj, ta dłoń ściskała rękę weterana napoleońskiego". „Na uwagę dziennikarza prowadzącego rozmowę – czytamy w »Wysoko, nie na palcach« – że ta ciągłość została przerwana, Szczepański odpowiada, że może przerwana, ale nie unicestwiona. Nieunicestwiona w odbiorze autora, ale i przeniesiona przezeń w przyszłość tak bardzo nieprzychylną ciągłości: wspomnienie to zainspirowało pracę nad dylogią o nieszczęsnym polskim Ikarze".

Z pewnością także ważne i wartościowe utwory zawiera tom J.J.S. „Ultima Thule" z roku 1987. Tytułowe opowiadanie mówi o niesamowitej kolonii karnej na wyspie, gdzie indziej znajdujemy groteskowe sprawozdanie z greckiej podróży w trakcie jakiegoś kongresu. „W ogóle element groteski, cały czas delikatnie obecny w twórczości Szczepańskiego, zdaje się nasilać ostatnimi laty" – pisał w latach 90. zeszłego wieku Piotr Kuncewicz. Zresztą kuzyn Jana Józefa Szczepańskiego, bratanka Marii Kuncewiczowej. A syna Aleksandra Szczepańskiego, przedwojennego konsula RP m.in. w Chicago, Zagrzebiu i Bytomiu oraz poetki Marii ze Znatowiczów.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl cdf2d61de1

Zniszczenia wojenne w Gorlicach FOT. NAC

Książka miesiąca / Wbrew stereotypom

# Koszmar roku 1919

Spośród wielu publikacji wydanych z okazji stulecia niepodległości Polski książka profesora Andrzeja Chwalby wybija się zdecydowanie na pierwsze miejsce. Łamie bowiem stereotypowy obraz pierwszego okresu II Rzeczypospolitej. I to tak, że wręcz szokuje.

W owym stereotypowym obrazie są: przyjazd Piłsudskiego do Warszawy, jego decyzja o zwołaniu Sejmu Ustawodawczego, obrona Lwowa, powstania wielkopolskie i śląskie. A potem długo nic. I wreszcie zwycięstwo w Bitwie Warszawskiej. Niechybnie to podstawowe wydarzenia. Jak jednak wyglądał kraj? Jak żyli wówczas ludzie?

Z książki Chwalby wyłania się obraz wręcz koszmarny. Ziemie, na których rozpoczęła się budowa państwa polskiego, były w ogromnej mierze zniszczone przez działania wojenne oraz ograbione przez rosyjskich i niemieckich okupantów. Zrujnowane domy, wywiezione wyposażenie fabryk, wysadzone w powietrze mosty, zniszczone dworce kolejowe. Wieś odbudowywała się, tak jak przed wiekami, z drewna, gdyż cegła, cement, dachówki były ogromnie drogie. Przemysł Warszawy i Łodzi się cofnął, jak podkreśla prof. Chwalba, do lat 70. XIX w.

O pozyskaniu kapitału zagranicznego dla odbudowy zniszczeń nie było mowy. Do inwestowania w Polsce zniechęcały prowadzone przez nią wojny i bliskość komunistycznej Rosji. A także niepewność, czy państwo polskie w ogóle się utrzyma.

W odradzającym się państwie brakowało dosłownie wszystkiego, poczynając od żywności. A rok 1919 był nieurodzajny. Szalała więc spekulacja, wybuchały strajki głodowe, włamywano się do sklepów spożywczych. Władze zakazały wystawiania w witrynach artykułów spożywczych, by nie rozwścieczać głodnych. Wprowadzono ceny maksymalne na żywność. Chłopi i ziemianie byli wściekli. Liczyli, że dzięki zyskom ze sprzedaży po cenach rynkowych odbudują swoje gospodarstwa i majątki. Profesor Chwalba stwierdza: uznali, nie bez racji, że państwo ich okrada.

Stan bezpieczeństwa publicznego był zatrważający. Bandy rabunkowe, liczące w danej Galicji i Królestwie Polskim kilkadziesiąt tysięcy (!) uzbrojonych ludzi, terroryzowały wsie i miasteczka. Organizowano więc samoobronę mieszkańców. Dokonywała samosądów na złapanych bandytach.

Epidemie tyfusu i grypy hiszpanki zbierały obfite śmiertelne żniwo.

Polska armia walczyła na kilku frontach o granice i samo istnienie państwa. Tymczasem chłopi i Żydzi w dużej mierze uchylali się od poboru. Profesor Chwalba pisze, że w niektórych częściach kraju nie stawiło się od 30 do 70 proc. (!) poborowych. A ci, którzy zostali wcieleni w szeregi, nierzadko dezerterowali. Jesienią 1919 r. tylko 40 proc. żołnierzy miało buty zimowe. Władze wojskowe ściągały więc od ludności buty, ale też bieliznę dla żołnierzy. Te i inne rekwizycje dodatkowo zubożały ludność, trapioną galopującą inflacją. Większość budżetu szła na potrzeby wojska, a deficyt budżetowy był pokrywany w większości przez druk pieniędzy. Inflacja zaczęła galopować.

Mogło się wydawać, że państwo polskie do końca pogrąży się w chaosie i anarchii. A jednak dzięki zbiorowemu wysiłkowi obywateli i władz państwowych udało się stopniowo zlikwidować chaos i gigantyczne problemy. Wprowadzono stan wyjątkowy i sądy doraźne. Profesor Chwalba podkreśla m.in., że polska policja, powstała w 1919 r., była budowana profesjonalnie. Wyjątkowymi osiągnięciami były wprowadzenie ubezpieczeń powszechnych i budowa służby zdrowia. ***Tomasz Stańczyk*** ©℗

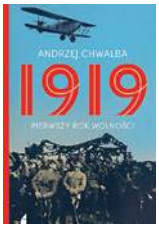


**ANDRZEJ CHWALBA**
**„1919. PIERWSZY ROK WOLNOŚCI"**
WYDAWNICTWO CZARNE



eprasa.pl cdf2d61de1

# Złodziejki tajemnic

Ursulę Kuczynski uratowały rozwieszone na sznurach pieluchy i wózek dziecięcy stojący przed domem. Ten widok wystarczył, by funkcjonariusze MI5 zrezygnowali z przeszukania jej domu. Instynktownie uznali, że kobieta mająca pod opieką małe dzieci nie może zajmować się dodatkowo szpiegostwem. Ten błąd kosztował Londyn utratę najcenniejszych tajemnic.

Urodzona w Niemczech Kuczynski, znana też jako Ruth Werner lub po prostu „Sonia", była w czasie II wojny światowej najcenniejszym szpiegiem GRU w Wielkiej Brytanii. Ta zagorzała komunistka doszła w końcu do stopnia pułkownika GRU. Małżeństwo z brytyjskim komunistą umożliwiło jej przeniesienie się do Wielkiej Brytanii, gdzie udało jej się zmontować siatkę penetrującą brytyjski program atomowy. Jej najcenniejszym źródłem był słynny Klaus Fuchs, dzięki któremu Kuczynski mogła poinformować w 1943 r. swoich mocodawców w Moskwie, że Amerykanie i Brytyjczycy połączyli swoje programy atomowe. Po ucieczce do NRD stała się niemal celebrytką i pisała książki o wybranych aspektach swojej działalności, chwaląc się publicznie, że przesłała do centrali w Moskwie „tysiące depesz" od sowieckich agentów działających w Wielkiej Brytanii.

Historia z pieluchami i wózkiem pokazuje, że kobiety potrafią być w tym trudnym fachu skuteczniejsze od mężczyzn. Siłą rzeczy dużo jest w „Agentkach" historii o udziale „słabej płci" w szpiegowskiej konfrontacji Wschód-Zachód, ale nie brak też fascynujących opowieści z zupełnie innej epoki. Na przykład z czasów wojny secesyjnej, gdy 17-letnia Belle Boyd zauroczyła wysokich oficerów Unii, wyciągnęła od nich plany działań wojennych, a następnie w brawurowy sposób przedarła się konno na drugą stronę frontu. ©℗

*Piotr Włoczyk*

**DOUGLAS BOYD**
**„AGENTKI. EGZEKUTORKI, UWODZICIELKI, ZDRAJCZYNIE"**
BELLONA

# Czerwony wstyd

Trudno o lepszy tytuł dla książki o tej tematyce. Anna Kister ciekawie opowiada w niej o długiej drodze, jaką przejść musieli polscy komuniści, zanim udało im się wmaszerować w 1944 r. do Polski w ślad za Armią Czerwoną. Ta historia to faktycznie dzieje wstydu. Równocześnie jednak to historia o niesamowitej determinacji ludzi, którzy zamarzyli sobie zniszczenie własnego narodu i przerobienie go w bezkształtną masę chłoporobotniczą.

Po zdelegalizowaniu w 1919 r. Komunistycznej Partii Robotniczej Polski jej działacze nie przestawali szukać nowych metod walki z „białą" Warszawą. Ciekawie przedstawia to rozdział o komunistycznych uczelniach w ZSRS, na których zagraniczni studenci uczyli się bolszewickiego know-how pod okiem ekspertów takich jak m.in. Julian Marchlewski, który był rektorem jednego z takich „uniwersytetów". ©℗ *(pw)*

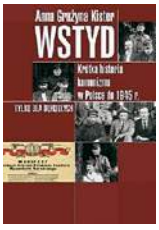


**ANNA GRAŻYNA KISTER**
**„WSTYD. KRÓTKA HISTORIA KOMUNIZMU W POLSCE DO 1945 R."**
LTW

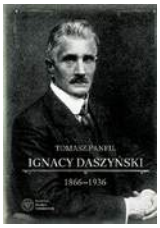


**TOMASZ PANFIL**
**„IGNACY DASZYŃSKI. 1866–1936"**
IPN

## DASZYŃSKI PRZYPOMNIANY

Wśród budowniczych niepodległości Daszyński znajduje się w cieniu Piłsudskiego, Dmowskiego, Paderewskiego... Bogato ilustrowana książka przypomina więc wybitnego socjalistę, premiera rządu ludowego z pierwszej dekady listopada 1918 r. w Lublinie. Jednak także posła do parlamentu austriackiego, słynnego z elektryzujących wystąpień, prawdziwego trybuna ludowego. *(ts)* ©℗

**DANIEL WICENTY**
**„ZGNIŁE JABŁKA, ZEPSUTE SKRZYNKI I ZŁE POWIETRZE"**
IPN

## ESBECKIE BAGNO

Co drugie przewinienie służbowe w szeregach SB wiązało się z pijaństwem. Esbecy „na gazie" wszczynali burdy, rozbijali auta, gubili ważne papiery, dekonspirowali się podczas libacji w barach, robili sobie krzywdę bronią. Autor nazywa to „sfunkcjonalizowaną dysfunkcją" aparatu bezpieczeństwa PRL. Ukazany w książce stopień demoralizacji i patologii poraża. ©℗ *(pw)*

**ROMAN ZYGADLEWICZ**
**„NA CICHYM FRONCIE "**
IPN

## W PODZIEMNEJ ŁODZI

„– Dlaczego na terenach wcielonych do Rzeszy nie było polskiej konspiracji? – Bo Niemcy na to nie pozwolili". Ten stary dowcip ma niewiele wspólnego z prawdą. Na terenach tych AK prowadziła walkę, mimo że warunki były tam znacznie trudniejsze niż w GG. Wszędzie czaili się niemieccy szpiedzy, reżim policyjny był surowszy. O wszystkim tym przeczytać można w ciekawych wspomnieniach żołnierza AK z Łodzi – Romana Zygadlewicza „Zawora". *(pz)*



eprasa.pl cdf2d61de1

# Polacy – Czesi – Syberia

Polscy fani komiksów realistycznych przeżywają ostatnio ciężkie chwile. Mam na myśli to, co stało się z legendarną serią „Thorgal" rysowaną przez Grzegorza Rosińskiego. Każdy kolejny odcinek jest coraz słabszy. Scenariusze – pisane przez następców genialnego Jeana Van Hamme'a – coraz mniej trzymają się kupy. Co tu dużo pisać, są po prostu beznadziejne.

Na szczęście sierotom po „Thorgalu" z odsieczą przybył duet Krzysztof Wyrzykowski i Sławomir Zajączkowski. Obaj panowie są autorami znakomitych historycznych komiksów wydawanych przez IPN. Najnowszy z nich – „Pochód zimowy" – dotyczy epopei polskiej 5. Dywizji Syberyjskiej, która w 1919 r. usiłowała wydostać się z ogarniętej rewolucją Rosji.

Polskie oddziały – wraz z rzeszą kobiet i dzieci – zapakowały się w eszelony i ciągnęły na wschód Koleją Transsyberyjską. Była to część wielkiej ewakuacji, w której brały udział siły czechosłowackie, francuskie i rozpadająca się armia adm. Aleksandra Kołczaka.

Niestety, Polakom przydzielono najmniej wdzięczne zadanie. Zamykali cały pochód, tocząc krwawe boje z następującymi bolszewikami. W tym czasie posuwający się przed nimi Czesi rabowali wszystko co się da, zostawiając za sobą pustkowie.

Finał tej historii był tragiczny. Czesi zablokowali tory, francuski gen. Janin umył ręce i większość polskich sił musiała kapitulować przed bolszewikami. Wielu polskich oficerów zostało zamordowanych, żołnierze trafili do obozów. Do niepodległej ojczyzny dotarła tylko niewielka część Polaków.

Zajączkowski i Wyrzykowski przejmująco ukazują ten dramat. Z wielką historią przeplatają losy jednostek. Mamy więc wszystko: rodzinne tragedie, zdradę, bohaterstwo i poświęcenie. Dynamiczne sceny bitew, pościgów i zasadzek. Pociągi pancerne i kawalerię. Wszystko w pięknej scenerii przykrytej śniegiem syberyjskiej tajgi.

„Pochód zimowy" to również gorzka opowieść o polskim charakterze narodowym. Mam na myśli scenę rozgrywającą się w sztabie gen. Janina. Francuski dowódca otrzymuje depeszę od Polaków, którzy proszą, by ktoś zastąpił ich na pierwszej linii.

„Co ja mogę? – myśli Janin. – Jestem uzależniony od Czechów. A ci przynajmniej umieją robić politykę i zarabiać na wojnie. Ogołocą Rosję ze wszystkiego. I szczęście im sprzyja. A Polacy niech zostaną tam, gdzie są, i niech robią to, co umieją najlepiej: Niech walczą!".

Tak, niech Polacy umierają…

Jestem oczywiście dumny z żołnierzy 5. Dywizji. I oburzam się na wyrachowanie Czechów. Po cichu muszę jednak wyznać, że wolałbym, aby było odwrotnie. Żeby to Czesi wykrwawili się w beznadziejnych bojach, a Polacy opuścili Rosję. Cali, zdrowi i z łupami.

©℗ ***Piotr Zychowicz***

**KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI, SŁAWOMIR ZAJĄCZKOWSKI**
**„POCHÓD ZIMOWY 1918–1919. EPOPEJA 5. DYWIZJI SYBERYJSKIEJ"**
IPN

# W więzieniach II RP

Wielkie uznanie należy się wydawnictwu Replika, które po latach nieobecności przywraca polskim czytelnikom Urkego Nachalnika. Był to żydowski złodziej, który sporą część swojego życia spędził w więzieniach. A po wyjściu na wolność w latach 30. wydał serię niezwykle poczytnych, utrzymanych w sensacyjnym tonie książek wspomnieniowych.

Wydawnictwo Replika niedawno wydało najsłynniejszą z nich – „Życiorys własny przestępcy". A teraz na rynek przebojem wchodzi jej kontynuacja „Żywe grobowce".

W obu książkach Nachalnik ukazuje od podszewki świat przestępczy II RP. Kreśli sylwetki złodziei, prostytutek i alfonsów. Pisze o melinach, skokach, libacjach i policyjnych obławach.

Osią „Żywych grobowców" jest życie codzienne w polskich przedwojennych więzieniach. Warunki panujące w celach, relacje więźniów z klawiszami, bójki i konflikty, subkultura więzienna i pederastia. To II RP, jakiej przeciętny polski czytelnik nie zna.

Jeżeli podobają się państwu przestępczo-szpiegowskie powieści Sergiusza Piaseckiego, to Urke Nachalnik to pisarz dla was. Nie chcę się narazić miłośnikom pisanych obecnie kryminałów historycznych, ale książki Nachalnika biją je na głowę. W przeciwieństwie do ich autorów, on bowiem opisywany przez siebie świat widział własnymi oczami. ©℗ ***Piotr Zychowicz***

**URKE NACHALNIK**
**„ŻYWE GROBOWCE"**
REPLIKA



eprasa.pl cdf2d61de1

# Mudryj. Ukrainiec, który chciał się dogadać z Polską

Politycy ugodowi z zasady nie cieszą się zbytnim szacunkiem ani poważaniem, stąd często pamięć o nich ulega zatarciu. Dlatego z tym większym uznaniem należy odnotować ukazanie się książki prof. Pawła Samusia o jednym z orędowników polsko-ukraińskiej współpracy – Wasylu Mudrym. Należał do grona najwybitniejszych polityków ukraińskich w II Rzeczypospolitej. Ten były absolwent gimnazjum w Tarnopolu pełnił w latach 1927–1935 funkcję redaktora n aczelnego „Diła" – największej ukraińskiej gazety codziennej, będąc jednocześnie współzałożycielem, wiceprezesem, a potem prezesem największej centroprawicowej ukraińskiej partii politycznej UNDO (Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo-Demokratyczne).

Po przeprowadzonej w 1930 r. pacyfikacji Galicji Wschodniej, stanowiącej odpowiedź na sabotażowo-dywersyjną akcję OUN, Mudryj przewartościował dotychczasową opozycyjną wobec władz polskich politykę partii i ukierunkował ją na porozumienie z rządem RP. Owocem tego było zawarte 29 maja 1935 r. polsko-ukraińskie tzw. porozumienie normalizacyjne. Wkrótce Mudryj został posłem i wicemarszałkiem sejmu. Niestety, pomimo jego wysiłków porozumienie z rządem nie przyniosło oczekiwanych rezultatów, bo w obozie rządzącym po śmierci Piłsudskiego doszło do zasadniczych przewartościowań ideowych w kierunku nacjonalistycznym. Pomimo tego dzień po wybuchu II wojny światowej wicemarszałek Mudryj wygłosił oświadczenie, w którym zadeklarował, że Ukraińcy będą lojalnie wypełniać swe obowiązki wobec Rzeczypospilitej. Pod koniec kampanii wrześniowej przywódca UNDO dotarł do Lwowa, skąd w momencie zajmowania miasta przez okupacyjne oddziały Armii Czerwonej przedarł się na terytoria zajęte przez Wehrmacht.

**PAWEŁ SAMUŚ**
**„WICEMARSZAŁEK WASYL MUDRYJ (1893–1966). UGODY POLSKO-UKRAIŃSKIEJ ORĘDOWNIK DAREMNY"**
WYDAWNICTWO NAUKOWE SEMPER

III Rzesza jawiła się wielu ukraińskim politykom jako państwo, pod którego auspicjami będzie można realizować ukraińskie postulaty narodowe. Stąd Wasyl Mudryj wraz z dr. Smal-Stockim i dr. Wołodymyrem Zahajkiewiczem wystąpił do Niemców ze specjalnym memoriałem. Ani jego treść, ani autorzy nie zostali uznani za możliwych do zaakceptowania reprezentantów ukraińskich interesów w GG. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej Mudryj jako sekretarz znalazł się w składzie prezydium ponadpartyjnego UNK – Ukraińskiego Komitetu Narodowego (jedynie melnykowcy znaleźli się poza tą strukturą). Komiet poparł ogłoszony 30 czerwca 1941 r. przez banderowców akt restytucji ukraińskiej państwowości.

Współpraca z banderowską OUN-B nie zmieniła stanowiska Mudrego w kwestii porozumienia z Polakami. W czasie okupacji wielokrotnie uczestniczył w rozmowach z przedstawicielami Polskiego Państwa Podziemnego, mających na celu unormowanie stosunków. Niestety, z uwagi na całkowitą rozbieżność interesów nie przyniosły one pożądanych rezultatów. Jednakże Mudryj nabrał przekonania, że porozumienie między Polakami a Ukraińcami może dojść do skutku jedynie wtedy, gdy Ukraińcy będą posiadać „siłę równą sile polskiej". Opinie w tej sprawie zawarł w wydanej latem 1943 r. pod pseudonimem J.W. Borowycz broszurze „Ukrajina i Polszcza" opublikowanej w organie prasowym OUN-B „Ideja i Czyn". Wiosną 1944 r. Mudrego wybrano na I wiceprezydenta w stworzonej przez banderowców, a teoretycznie ponadpartyjnej strukturze kierującej walką o samostijną Ukrainę Ukraińskiej Głównej Radzie Wyzwoleńczej (UHWR).

Zbliżajnie się do Lwowa, gdzie mieszkał, oddziałów sowieckich skłoniły na emigracji, Tam zmarł w USA w 1966 r. ©℗

***Arkadiusz Karbowiak***

# Templariusz i jego mit

Potężny, liczący pół tysiąca stron tom przedstawia dzieje Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona. Z ubóstwem bywało różnie, gdyż ostatecznie zakon templariuszy stał się potęgą finansową. Dan Jones opisuje, jak templariusze z grupy rycerzy eskortujących pielgrzymów do Ziemi Świętej i zapewniających im tam ochronę przekształcił się w „elitarną jednostkę z pierwszej linii wojen krzyżowych", a potem jak z armii rycerzy-zakonników powstała organizacja dysponująca potężnym majątkiem.

Autor pisze też o fenomenie templariuszy, którzy, jak żaden inny zakon rycerski, stali się mitem kulturowym. Mija przecież 700 lat od czasu, gdy templariusze przestali istnieć, a wciąż żyją w wyobraźni dzisiejszych pokoleń i są wdzięcznym tematem rozmyślań dla miłośników teorii spiskowych, tajnej historii i zagadki Graala. A współcześni autorzy nie pozwalają umrzeć mitowi. Autor przytacza przykłady: książkę „Kod Leonarda da Vinci" Dana Browna, film „Królestwo niebieskie" Ridleya Scotta i grę komputerową „Assassin's Creed".

To jednak nie wszystko. Są ludzie i grupy, którzy nawiązują do templariuszy, choćby... meksykańska mafia narkotykowa Los Caballeros Templarios, łącząca chrześcijański radykalizm z lewicowym populizmem.

Dan Jones zapewnia, że legendę templariuszy czeka jeszcze długi żywot. Warto przeczytać tę książkę, bo kto wie, czy w dobie zagrożenia Europy islamem nie pojawią się jacyś nowi templariusze, którzy będą walczyć niczym zakonnicy-rycerze z muzułmanami... ©℗

***Tomasz Stańczyk***

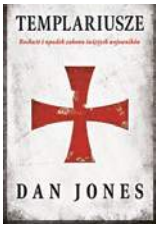


**DAN JONES**
**„TEMPLARIUSZE. ROZKWIT I UPADEK ZAKONU ŚWIĘTYCH WOJOWNIKÓW"**
ZNAK



eprasa.pl cdf2d61de1

Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

# Sąd nad żołnierzem tułaczem

Zupełnie zapomniana sprawa płk. Jana Ulatowskiego warta jest dziś przypomnienia. Ulatowski, publicysta, pisarz, żołnierz Brygady Karpackiej, z którą przeszedł Tobruk i całą kampanię włoską, ośmielił się rzucić wyzwanie brytyjskiej biurokracji i po wojnie odmówił podporządkowania się przydziałowi do tzw. Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia. Korpus był częścią armii brytyjskiej i stanowił formułę prawną mającą zagospodarować jakoś polskich żołnierzy, którzy z końcem wojny nagle stali się w Wielkiej Brytanii nieproszonymi i kłopotliwymi gośćmi.

A raczej stanowił formułę – jak starał się dowieść płk Ulatowski – bezprawną. Stojąc na gruncie legalizmu, twierdził on, że Wielka Brytania nie może żołnierzy polskich, podległych legalnemu rządowi polskiemu w Londynie, wcielać, i to „z automatu", w szeregi swojego wojska i w jakikolwiek sposób nimi dysponować.

Jednoosobowy bunt Ulatowskiego miał ten symboliczny skutek, że brytyjski sąd zmuszony był, rozpatrując jego sprawę, oficjalnie wydać wykładnię, że żołnierze polscy walczący u boku zachodnich sojuszników przestali być żołnierzami polskimi od 1 stycznia 1945 r. Dlaczego? Dlatego, że nie słuchali rozkazów powołanego właśnie wtedy przez Stalina – w miejsce PKWN – rządu komunistycznego (tzw. Rząd Tymczasowy RP). Notabene rządy aliantów nie uznawały tego marionetkowego tworu – wbrew absurdalnemu orzeczeniu brytyjskiego sądu! Dopiero na początku lipca 1945 r. tzw. Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej (do którego wszedł Mikołajczyk) został przez Brytyjczyków uznany za jedyny legalny rząd Polski na mocy postanowień konferencji jałtańskiej.

Było to w sumie logiczne – skoro za rząd polski uznali alianci rząd zdominowany przez komunistów, a ten się polskich żołnierzy na Zachodzie dekretem wyrzekł, to musieli jego decyzję uznać za prawomocną. Tyle że powinno to zrodzić pytanie: Kim w takim razie byli żołnierze I i II korpusu polskiego w 1945 r.? Kto właściwie zdobywał dla aliantów Bolonię i Wilhelmshaven? Kto współuczestniczył w okupacji na rzecz aliantów Włoch i Holandii? Żołnierzami polskimi, wedle aliantów i na mocy kwitów, które podpisali oni Stalinowi, już po tej dacie nie byli. Żołnierzami brytyjskimi – ani tym bardziej amerykańskimi czy francuskimi – też nie, chociaż za tych pierwszych uznano ich, bez pytania o zdanie, z chwilą utworzenia wspomnianego korpusu dla tych, którzy, mimo intensywnych nacisków i akcji propagandowej, nie dali się deportować do okupowanej przez Sowietów Polski.

Użycie w składzie swych armii owych żołnierzy-tułaczy bez statusu i państwowości, jakimi nagle z łaski Churchilla i Roosevelta stali się weterani spod Falaise i Monte Cassino, było właściwie przestępstwem przeciw prawu międzynarodowemu, za które Wielka Brytania powinna była odpowiedzieć. I o to upomniał się płk Ulatowski.

Ze złym dla siebie skutkiem. Metodą wybrnięcia ze skomplikowanej sytuacji prawnej, jaką ostatecznie znalazł brytyjski sąd, było uznanie Jana Ulatowskiego za nielegalnego imigranta, który na teren Zjednoczonego Królestwa dostał się bezprawnie. Jako taki został on aresztowany i deportowany – ostatecznie wylądował we Francji, gdzie spędził resztę życia, pisując do paryskiej „Kultury" i innych pism emigracyjnych.

Nigdy nie słyszałem, by władze polskie, ani emigracyjne, ani te powołane w kraju po roku 1989 i formalnym uznaniu polskiej niepodległości, jakoś się upomniały o jego bodaj najbardziej symboliczną rehabilitację. Chociaż, jak widzimy, do kwestii „praworządności" i legalności procedur współczesna Europa przywiązuje niezwykłą wagę. Jak zwykle zwyciężyła odwieczna polska zasada: nie zadrażniać, nie komplikować, być uprzejmym, a na pewno się nam odwdzięczą. ©℗

/ **Brytyjski sąd oficjalnie wydał haniebną wykładnię, że żołnierze polscy walczący u boku zachodnich sojuszników przestali być żołnierzami polskimi od 1 stycznia 1945 r.!**



eprasa.pl cdf2d61de1

Piotr Semka

/ Felieton

# Kruty – ukraińskie Termopile

Prezydent Ukrainy Petro Poroszenko oficjalnie ogłosił 29 stycznia 2019 r. w Kijowie swój start w wyborach prezydenckich 31 marca 2019 r. „Poczucie ogromnej odpowiedzialności przed państwem, przed współczesnymi i kolejnymi pokoleniami zmusiło mnie do podjęcia decyzji o ponownym kandydowaniu na stanowisko prezydenta" – powiedział Poroszenko. Okazją do zadeklarowania walki o reelekcję było forum „Od Krut do Brukseli. Idziemy swoją drogą".

Wiele polskich mediów poinformowało, że ukraiński prezydent wybrał do ogłoszenia swej decyzji dzień 29 stycznia, 101. rocznicę bitwy wojsk ukraińskich z bolszewikami pod Krutami w 1918 r. Mało komu w Polsce mówi coś ta nazwa. To błąd, gdyż powinniśmy powoli poznawać nową mitologię historyczną Ukrainy.

Bitwa pod Krutami – nazywana obecnie „ukraińskimi Termopilami" – wysuwa się w niej na czoło.

Kruty leżą na ziemi czernihowskiej, 130 km na północny wschód od Kijowa. W tamtym czasie był to ważny węzeł kolejowy. W styczniu 1918 r. Ukraińska Republika Ludowa stanęła wobec naporu sił bolszewików, którzy chcieli stworzyć własną sowiecką Ukrainę. Wojska podległe URL były dość słabe.

27 stycznia 1918 r. kpt. Awerkij Honczarenko, walczący na czele kadetów z Ukraińskiej Szkoły Wojskowej im. Bogdana Chmielnickiego z naporem bolszewików, wysłał pilne wezwanie do Kijowa o posiłki. W stolicy Ukrainy stworzono szybko tzw. Kureń Studencki ze słuchaczy Uniwersytetu im. św. Włodzimierza, Ukraińskiego Uniwersytetu Ludowego i najstarszych roczników uczniów Gimnazjum Cyryla i Metodego w Kijowie. Nie było ich wielu – kureń liczył jedynie 120 (inne źródła mówią o 300) młodych ludzi bez solidnego wyszkolenia wojskowego. Dołączyła do niego setka tzw. Wolnych Kozaków.

Jak głosi ukraińska historiografia, te trzy setki obrońców zatrzymały na pewien czas nacierające siły bolszewickie w sile ok. 4 tys. „bojców". Obrona pozycji pod Krutami spowodowała zużycie przez obrońców całej amunicji. Młodzi obrońcy drogi na Kijów parokrotnie próbowali walki na bagnety. Zginęło ich ok. 300. Część krasnoarmiejcy rozstrzelali już po wzięciu do niewoli. Studenci, uczniowie i Kozacy nie zatrzymali fali bolszewickiej, ale odwlekli zdobycie Kijowa. Ich sławę, już na emigracji, utrwalili dowódcy armii URL, w tym wspomniany już Awerkij Honczarenko, który w 1938 r. wydał wspomnienia z walk o Kruty. Przez ponad 70 lat istnienia sowieckiej Ukrainy bitwa pod Krutami nie istniała w zbiorowej świadomości. Teraz jej ukraińscy uczestnicy wracają do pełnej chwały.

To dla dzisiejszych Ukraińców odpowiednik naszego kultu Orląt Lwowskich. Petro Poroszenko nadał niedawno imię bohaterów Krut Wojskowemu Instytutowi Telekomunikacji i Informatyzacji.

Ukraina, prowadząca dziś wojnę z Rosją, potrzebuje na gwałt nowych wzorców bohaterstwa i tradycji dla swych żołnierzy. Dlatego od zeszłego roku, w stulecie dwóch deklaracji niepodległości Ukrainy – pierwszej z Kijowa z 22 stycznia 1918 r. i drugiej ze Lwowa z 1 listopada 1918 r. – zaczęto lansować panteon dowódców sił URL Symona Petlury i Ukraińskiej Armii Halickiej. Problem w tym, że wielu z nich walczyło w latach 1918–1920 z bolszewikami, a także z Polakami przeciw bolszewikom, ale w czasie II wojny przyjmowało niemieckie zaproszenie do tworzenia Batalionu „Nachtigall", a potem Dywizji SS „Galizien". Tak było z Awerkijem Honczarenką, dowodzącym pod Krutami. W okresie międzywojennym mieszkał w Polsce jako działacz spółdzielczości ukraińskiej, ale w 1943 r. wstąpił jako 53-letni ochotnik w stopniu pułkownika wojsk URL do 14. Dywizji Grenadierów SS „Galizien".

Taki sam problem Ukraińcy mają z Romanem Szuchewyczem, który jako dowódca UPA zginął okrążony przez NKWD w 1950 r. w Karpatach, ale w końcu czerwca 1941 r. służył w hitlerowskim Batalionie „Nachtigall" w dniach pogromów we Lwowie, a potem odpowiadał za rzeź wołyńską Polaków. W tej sytuacji młodzi, którzy zginęli pod Krutami, są bohaterami stosunkowo „bezpiecznymi". Nic więc dziwnego, że ich pamięć robi dziś na Ukrainie karierę. I pewnie dlatego prezydent Poroszenko nawiązał akurat do dnia ich pamięci, inaugurując swą kampanię. ©℗



eprasa.pl cdf2d61de1

XIV–XVII w. / Od Kazimierza Wielkiego do Jana III Sobieskiego

# Królowie we Lwowie

Tomasz Stańczyk

**Polscy władcy doceniali wierność miasta, nadając mu liczne przywileje. Za Jana Kazimierza było ono faktyczną stolicą Rzeczypospolitej**

Historia polskiego Lwowa zaczęła się, gdy w 1340 r. ruscy bojarzy otruli swego władcę, księcia Jerzego, mazowieckiego Piasta. Tron halicko-włodzimierski objął w wyniku rodzinnych koligacji. Jego dziadkiem był bowiem król halicki Jerzy. Na jego cześć – przechodząc na prawosławie – zmienił imię. Urodził się bowiem jako Bolesław. Los Rusi Halicko-Włodzimierskiej był i tak już właściwie przesądzony. To ruskie księstwo nie miało szans się utrzymać, zagrożone przez Tatarów i Litwinów. A swoje apetyty miały też Węgry. Nie jest ważne, czy książę Bolesław Jerzy zawarł umowę sukcesyjną z Kazimierzem Wielkim, czy nie. Polski król i tak musiał interweniować.

Paweł Jasienica trafnie zauważał w „Polsce Piastów", że w 1340 r. „sprawa wcale nie tak wyglądała, że albo będzie Ruś niepodległa, albo król polski we Lwowie. Zagadnienie przedstawiało się w postaci pytania: Kto Ruś Czerwoną zdobędzie: Polska, Węgry czy Tatarzy [...]. Przecież Ruś Czerwona to kraj bezpośrednio przylegający do stołecznej



eprasa.pl cdf2d61de1

Jan Matejko „Śluby Jana Kazimierza" FOT. EAST NEWS

dzielnicy Polski. Usadowienie się Litwinów, a już zwłaszcza Tatarów, nad górnym Wisłokiem stanowiłoby śmiertelne niebezpieczeństwo dla Małopolski".

Kazimierz Wielki zjawił się błyskawicznie na Rusi Halicko-Włodzimierskiej po śmierci Bolesława Jerzego. Dopiero jednak po ćwierć wieku wygrał rywalizację z Tatarami i Litwinami. Dzięki temu przejął kontrolę nad większością ziem dawnego księstwa halicko-włodzimierskiego, nazwanych następnie Rusią Czerwoną.

Zanim to nastąpiło, nadał Lwowowi w 1356 r. prawo magdeburskie. Dwanaście lat później wydał kolejne przywileje dla miasta. „A chociaż wszystkim mieszkańcom i przebywającym we wspomnianym mieście nadajemy prawo magdeburskie, jednakże ze specjalnej naszej łaski pragniemy zachować Ormian, Żydów, Saracenów i Rusinów w ich obrządkach i prawach" – postanawiał król.

Od czasu Kazimierza Wielkiego rozpoczął się rozwój Lwowa. Historyk sztuki Tadeusz Mańkowski pisał, że król uczynił Lwów z grodu miastem. Jeszcze za życia Kazimierza Wielkiego powstało biskupstwo lwowskie.

## Rekordzista Jagiełło

Królem, który najczęściej odwiedzał Lwów, był Władysław Jagiełło. Kronikarze naliczyli 20 wizyt monarchy podczas jego 47 lat panowania. Historyk Franciszek Jaworski pisał, że między królem a lwowskim mieszczaństwem zawiązały się serdeczne więzi. A Lwów zawsze radośnie witał króla. Rajcowie obdarowywali Jagiełłę podarkami, za które odwzajemniał się, przysyłając im upolowaną zwierzynę. Przed bitwą pod Grunwaldem Lwów udzielił królowi pożyczki. Wracając po wojnie, Jagiełło przybył do miasta ze zdobytymi krzyżackimi sztandarami oraz jeńcami. Lwów był także świadkiem innego triumfu króla – odebrania przysięgi lennej od wojewody mołdawskiego Piotra.

W jednym z wystawionych przez siebie dokumentów Jagiełło postanawiał, że Lwów i ziemia lwowska mają po wieczne czasy być złączone z Koroną Królestwa Polskiego. Jagiełło doprowadził też do przekształcenia się biskupstwa lwowskiego w arcybiskupstwo.

Krótkie panowanie jego syna Władysława III zapisało się w dziejach miasta nazwaniem go przez monarchę tarczą i murem przeciw poganom – Turkom i Tatarom.

Widział Lwów królów nieszczęśliwych. W jego murach przeżywał Jan Olbracht swą straszliwą klęskę na Bukowinie. Upamiętniało ją powiedzenie „Za króla Olbrachta wyginęła szlachta". Jego brat, Zygmunt I Stary, przebywając we Lwowie w 1537 r. doznał upokorzenia, gdy na obrzeżach miasta, w Zboiskach, zbuntowała się przeciw niemu szlachta. Nazwano tę rebelię „wojną kokoszą". Bezowocne rozmowy toczyły się także w samym Lwowie.

Zygmunt I był dobroczyńcą Lwowa. Gdy w 1527 r. miasto strawił straszliwy pożar, król pragnąc przyjść z pomocą w odbudowie, zwolnił mieszczan aż na 20 lat z płacenia podatków. Od tamtej chwili drewniany w większości Lwów zaczął stawać się murowanym i renesansowym: władze miejskie zakazały budowy drewnianych domów w obrębie murów.

W 1634 r. Władysław IV przybył do Lwowa w związku z niebezpieczeństwem wojny z Turcją. Nie był zadowolony, gdy się rozwiało. Liczył bowiem na sukces. Król, który mieszkał w kamienicy Korniaktów, pocieszył się romansem z Jadwigą Łuszczkowską. „Przymioty osobiste tej mieszczki lwowskiej – pisał Franciszek Jaworski – jej wyższy polor, elegancja, piękność, sprawiły, że król przywiązał się do niej istotnie, nawet synowi z tego związku dał swoje rodowe nazwisko, Konstantyn de Waza, a kiedy ostatecznie w trzy lata później musiał wprowadzić na tron królewski Cecylię Renatę, nie rzucił Jadwiżki po prostu, ale wydał ją za mąż

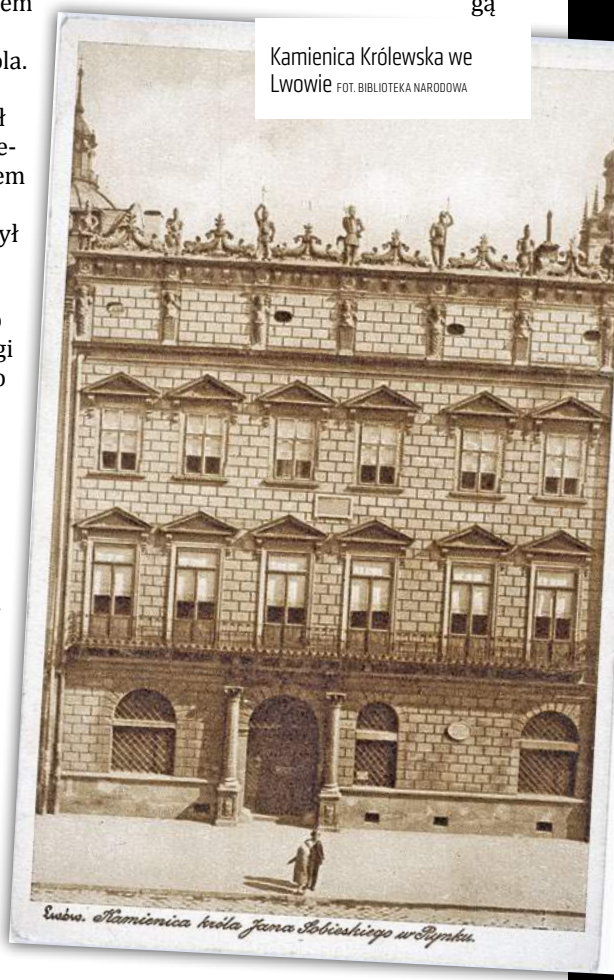


Kamienica Królewska we Lwowie FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



eprasa.pl cdf2d61de1

Jan Matejko „Bogdan Chmielnicki z Tuhaj-bejem pod Lwowem" FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

za niejakiego Jana Wypyskiego herbu Grabie, chorążego nurskiego i starostę mereckiego. Sam podobno oddawał ją na weselu oblubieńcowi" (F. Jaworski, „Królowie polscy we Lwowie", Lwów 1912).

## Miasto zawsze wierne

Podczas powstania Chmielnickiego w 1648 r. Lwów zademonstrował swoją wierność królowi i Rzeczypospolitej, dwukrotnie wytrzymując oblężenie sił kozackich.

Po klęsce wojsk królewskich pod Piławcami, miasto przygotowywało się do obrony. „Mieszczanie nie poskąpili pieniędzy – pisał Leszek Podhorodecki w „Dziejach Lwowa" – odziano i dozbrojono 3348 żołnierzy, resztę oddano rotmistrzom na nowe zaciągi. W ciągu kilku dni Lwów wystawił więc armię równą prawie hetmańskiej pod Korsuniem, nie po raz pierwszy w historii dając dowód, że »Leopolis Poloniae semper fidelis« (Lwów zawsze wierny Polsce)"

Jednak książę Jeremi Wiśniowiecki wycofał wojsko ze Lwowa. Uważał, że w marszu Chmielnickiego na do Warszawy większą przeszkodę będzie stanowił Zamość. We Lwowie została szczupła załoga dowodzona przez generała Krzysztofa Arciszewskiego. Do żołnierzy dołączyło półtora tysiąca mieszkańców Lwowa.

Miasto odrzuciło żądanie Chmielnickiego, by skapitulowało. Rajcy odpowiedzieli, że nakazać poddanie się może jedynie król. A w tym czasie króla nie było. Po śmierci Władysława IV czekano na elekcję. Kozackie szturmy na miasto zakończyły się fiaskiem. Przypisywano to interwencji, zmarłego w opinii świętości, bernardyna Jana z Dukli, który miał się Kozakom ukazać na niebie. Dlatego też, gdy został w XVIII w. wyniesiony na ołtarze przed kościołem Bernardynów we Lwowie wystawiono kolumnę z jego posągiem.

W furii po niepowodzeniu żołnierze Chmielnickiego splądrowali cerkiew św. Jura i dokonali masakry ponad 400 księży i wiernych w klasztorze karmelitów. Aby uwolnić się od niebezpieczeństwa, miasto wypłaciło okup Kozakom i Tatarom.

Chmielnicki raz jeszcze, jesienią 1655 r., próbował zdobyć Lwów, wraz z wojskami moskiewskimi.

Znów zażądał kapitulacji i przysięgi poddańczej wobec cara rosyjskiego, któremu się zaprzedał. Rajcy miejscy wiedzieli, że sytuacja Rzeczypospolitej, zalewanej także szwedzkim „potopem" jest tragiczna. A mimo to ich odpowiedź brzmiała: „Nic już innego nie powiemy, tylko to po tysiąc razy powtarzamy, że my, póki żyje król Jegomość, Pan nasz miły Jan Kazimierz, nikomu innemu przysięgać nie będziemy".

Po tej odmowie – odrzucono także żądanie wydania Żydów – nastąpił szturm miasta. Ponownie zakończony niepowodzeniem, ale też ponownie Lwów musiał złożyć okup.

Ten bohaterski opór Lwowa, którego znaczenie można porównywać do obrony Jasnej Góry, jest dziś, niestety, zapomniany.

Powracając z wymuszonej sytuacją wojenną emigracji, Jan Kazimierz podążył na początku 1656 r. do Lwowa. Powitano go entuzjastycznie. Król przebywał w mieście kilka miesięcy. W tym czasie Lwów stał się faktyczną stolicą Rzeczypospolitej. Warszawa bowiem była w tym czasie okupowana przez Szwedów.

1 kwietnia 1656 r. Jan Kazimierz złożył w katedrze łacińskiej we Lwowie słynne śluby. Chociaż, niestety, nie wypełnił – ani on, ani jego następcy – przyrzeczenia, że poprawi dolę chłopów, uwolni ich „od niesprawiedliwych ciężarów i ucisków", to ogromną rolę odegrało obranie Najświętszej Marii Panny na patronkę Rzeczypospolitej. To właśnie śluby lwowskie, razem z obroną Jasnej Góry, ogromnie przyczyniły się do rozwoju kultu Matki Boskiej.

Jan Kazimierz, wdzięczny za postawę lwowian, potwierdził mieszczanom – bez różnicy, czy chrześcijańskiego wyznania – wszelkie dotychczasowe przywileje. „Miasto zostało zrównane w prawach ze szlachtą, także w zakresie piastowania urzędów świeckich i kościelnych, posiadania i nabywania dóbr ziemskich [...]. Dzięki temu przywilejowi sporo rodów mieszczańskich ze Lwowa uzyskało nobilitację" – pisał Leszek Podhorodecki (Leszek Podhorodecki „Dzieje Lwowa", Warszawa 1993).

Co więcej, Jan Kazimierz nadał mieszczanom lwowskim prawo uczestniczenia w elekcjach królów.

Sam zaś Lwów został zrównany w prawach z Krakowem i Wilnem. Nie był to koniec łaskawości króla dla wiernego miasta. Udzieli bowiem w 1661 r. zgody, by lwowskie kolegium jezuitów przekształciło się w uniwersytet. Spotkało się to zresztą z agresywnymi atakami ze strony uniwersytetu krakowskiego, bojącego się konkurencji.

W listopadzie 1673 r. umierał w kamienicy na lwowskim Rynku, zwanym pałacem arcybiskupim, król Michał Korybut Wiśniowiecki. Niemal w rocznicę zawarcia haniebnego traktatu buczackiego. Oddawał on Turcji Podole z twierdzą w Kamieńcu Podolskim. Jedynym jaśniejszym epizodem tamtego fatalnego roku 1672 była kolejna obrona Lwowa.

Na przyjęcie przez króla czekał wysłannik sułtana. Spodziewano się, że przywiózł polskiemu monarsze zielony kaftan hołdowniczy. Turecki poseł był zapewniany, że zobaczy się z królem, gdy ten dojdzie do siebie. „Wypadało więc życzyć, aby król nigdy nie doszedł do siebie" – opisywał ówczesne nastroje historyk Franciszek Jaworski. Na szczęście dla siebie nieszczęsny król zmarł. Dzień później hetman Jan Sobieski rozgromił Turków pod Chocimiem.

## Król z ziemi lwowskiej

Jan Sobieski był związany urodzeniem z ziemią lwowską. Przyszedł na



eprasa.pl cdf2d61de1

świat w 1629 r. w położonym niedaleko od Lwowa zamku w Olesku. A inne dobra Sobieskiego: Żółkiew, Złoczów, Jaworów, również znajdowały się blisko Lwowa.

Tadeusz Mańkowski pisał: „Związki z bliską Lwowa siedzibą i częstą rezydencją króla Jana III, Żółkwią – pisał Tadeusz Mańkowski – przyczyniają się również do tego, że sztuka lwowska i artyści ze Lwowem, a zarazem z dworem królewskim w Żółkwi związani, nabierali cech dworskości. [...] Lwów był stroną dającą, Żółkiew zaś odbiorczą. Zabytki żółkiewskie czasów Sobieskiego są w znacznej części dziełem lwowskiej produkcji artystycznej i wchodzą w zakres sztuki lwowskiej" (Tadeusz Mańkowski „Dawny Lwów, jego sztuka i kultura artystyczna", Londyn 1974).

W samym zaś Lwowie Jan Sobieski mieszkał w kamienicy Korniakta, kupionej przez jego ojca Jakuba Sobieskiego. Tam w 1652 r. kurował się przyszły król, wówczas starosta jaworowski z rany odniesionej w pojedynku. Leczył go zaś sławny medyk Symche Menachem. Złotnikiem króla był zaś lwowski Ormianin Bedros Zachariaszowicz. To właśnie Ormianie wnieśli elementy orientalne do polskiego rzemiosła artystycznego.

Od czasów Jana III kamienica Korniakta nazywana jest Królewską. Jan III przebudował ją i dostosował do swoich potrzeb. Z czasów króla pochodzi m.in. portal kamienicy. Król ufundował we Lwowie szpital bonifratrów dla rannych żołnierzy, a także dokończył budowę kościoła i klasztoru Karmelitanek Bosych, fundowanych przez jego rodziców.

W 1898 r. Lwów uczcił króla, wystawiając mu pomnik na Wałach Hetmańskich. Dziesięć lat później w kamienicy Królewskiej powstało Muzeum Narodowe im. Jana III. Znalazły się w nim pamiątki po królu i regalia. Próby odzyskania od sowieckiej Ukrainy pamiątek narodowych z tego muzeum, podejmowane zaraz po wojnie, zakończyły się niepowodzeniem. Tak samo jak od wolnej Ukrainy. W 1950 r. pomnik króla Jana III został „repatriowany" i znajduje się dziś w Gdańsku.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Pomnik Jana III Sobieskiego, do 1950 r. we Lwowie

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

# Zapomniane wojny

Tomasz Stańczyk

Wszyscy to wiemy: w listopadzie 1918 r. Józef Piłsudski, uwolniony z niemieckiego więzienia, przyjechał do Warszawy. Wziął w swoje ręce najwyższą władzę cywilną i wojskową. Zarządził wybory do Sejmu. A potem długo nic w naszej pamięci. I wreszcie wspaniałe zwycięstwo w Bitwie Warszawskiej.

Wojnę z bolszewicką Rosją określa się dość często wojną 1920 r. Nie bez powodu. Tamten rok był rozstrzygający dla istnienia odradzającej się Rzeczypospolitej. Cześć i chwała bohaterom tamtego roku! Piłsudskiemu, generałom i bezimiennym wspaniałym polskim żołnierzom. Ocalili Polskę przed zalewem komunistycznego barbarzyństwa. Oby, w stulecie zwycięstwa, powstały muzeum i pomnik na miarę polskiego epokowego zwycięstwa. Pierwszego tak wielkiego od wiktorii Jana III Sobieskiego pod Wiedniem. Być może dzięki zwycięstwu w Bitwie Warszawskiej ocaliliśmy Europę przed komunistycznym potopem. Przecież po trupie Polski, jak się wyraził Michaił Tuchaczewski, Armia Czerwona zamierzała runąć na zachód Europy. Być może... Z pewnością jednak ocaliliśmy siebie. Zyskaliśmy rzecz bezcenną. Dwadzieścia lat wolnej Polski. A pokolenie wychowane za jej czasów podjęło walkę z nowym, niemieckim i rosyjsko-sowieckim zniewoleniem.

Wiktoria roku 1920 przesłania jednak to, że wojna z bolszewicką Rosją zaczęła się w 1919 r. A w tamtym roku Wojsko Polskie musiało walczyć też z Ukraińcami. Znakomitym sukcesem było zdobycie Wilna w kwietniu 1919 r. Jedno z wotów przy obrazie Matki Boskiej Ostrobramskiej zostało umieszczone przez Józefa Piłsudskiego. Widnieją na nim słowa: „Dzięki ci, Matko, za Wilno". Piłsudski miał szczególny sentyment do Wilna. Spędził tam młodość. Dla wszystkich chyba Polaków było jednak nie do pomyślenia, by Wilno znalazło się poza granicami Rzeczypospolitej. Miasto Mickiewicza i filaretów. Słynne ze swojego uniwersytetu. Miasto, w którym zaledwie parę procent stanowili Litwini.

Tak samo nie do pomyślenia było, by Lwów nie należał do Polski. Kiedy myślimy o obronie miasta, które miało w swej dewizie słowa „Semper fidelis" (zawsze wierne), koncentrujemy się na listopadowym czynie jego mieszkańców i Orlętach Lwowskich. Lwów, już za pomocą Wojska Polskiego, musiał jednak bronić się przed Ukraińcami aż do końca kwietnia 1919 r. Pierwsza wojna II Rzeczypospolitej zakończyła się dopiero latem tamtego roku wyparciem armii ukraińskiej za Zbrucz. Rzeka ta stała się później granicą polsko-sowiecką. A przecież wolelibyśmy granicę polsko-ukraińską! Józef Piłsudski godził się na podział terytorium dawnej Galicji Wschodniej. Z myślą, że na wschód od Lwowa powstanie państwo ukraińskie. Niestety, Ukraińcy postawili na kartę: wszystko (do Sanu i nawet dalej) albo nic. Dufni w swą siłę głosili, że rozsądzą nas krew i żelazo. Dlatego też „nic" stało się ich udziałem. ©℗



eprasa.pl cdf2d61de1

30 maja 1434 r. / Z dziejów husyckiej rewolucji w Czechach

# Taboryci giną pod Lipanami

Maciej Rosalak

**Taborytów pokonali dopiero inni husyci – ugodowi kalikstyni, którzy pogodzili się z katolikami**

Przykład taborytów – zbrojnego ramienia husyckiej rewolucji – dowodzi, jak zawodne bywają stereotypy. Zwłaszcza jeżeli ignoruje się przy ich powtarzaniu dostępną przecież wiedzę historyczną. Do takich stereotypów należy u nas – ugruntowane być może na pobieżnej lekturze „Przygód dobrego wojaka Szwejka" – przekonanie o niskiej wartości Czechów jako żołnierzy. Zanim jednak trafili oni w mundury c.k. armii, dawali się we znaki wszystkim sąsiadom, z Niemcami i Polakami włącznie. Szczególnie od XI do XIV w. w średniowieczu, kiedy górowali nad nami potencjałem cywilizacyjnym, demograficznym i militarnym. Potrafili – tak jak Brzetysław – zniszczyć nam całe państwo, podczas naszego rozbicia dzielnicowego uzależnić Śląsk i w końcu zająć krakowski tron.

Natomiast w następnym, XV stuleciu, zadziwili Europę właśnie szalenie bitnym i skutecznym wojskiem husyckim, które łatwo odpierało krucjaty króla niemieckiego i węgierskiego Zygmunta Luksemburskiego (od 1419 r. także dziedzica – po śmierci starszego brata Wacława IV – tronu czeskiego, a od 1433 r. – cesarza). Wojsko to pokonywało również liczne wyprawy rodzimych i niemieckich feudałów katolickich. Jego cudowną bronią okazał się wagenburg – mobilny, ale ufortyfikowany i naszpikowany wszelakim orężem tabor. Do lat 30. XV w., dopóki husytów nie podzieliły wewnętrzne waśnie, byli niepokonani. O wojsku najbardziej radykalnych taborytów i jego kresie w bitwie pod Lipanami piszę poniżej. Na wstępie kilka słów trzeba jednak poświęcić ruchowi husyckiemu.

Jest on związany z postacią Jana Husa – kaznodziei i profesora Uniwersytetu Praskiego – który wzorem Johna Wycliffe'a (1324–1384) na początku XV w. głosił konieczność głębokiej reformy Kościoła,



eprasa.pl cdf2d61de1

Josef Mauthauser „Bitwa pod Lipanami"
FOT. WIKIPEDIA

targanego jednoczesnym funkcjonowaniem dwóch, a w pewnym momencie nawet trzech papieży. Kiedy Zygmunt Luksemburski wezwał go na sobór w Konstancji, gwarantując listem żelaznym nietykalność, a następnie pozwalając spalić go jako heretyka na stosie (6 lipca 1415 r.), liczni w Czechach zwolennicy Husa zawrzeli z goryczy i oburzenia. Stało się to dodatkowym bodźcem do ożywienia religijnego ruchu, bujnie rozwijającego się w Czechach w opozycji do rzymskiego katolicyzmu. Ruch ten rychło przybrał odrębne formy organizacyjne – zarówno religijne, jak i wojskowe. W 1420 r. postulaty husytów znalazły wyraz w tzw. kompaktach praskich, przedstawionych – wtedy na próżno – Zygmuntowi Luksemburskiemu. Poniżej: kilka haseł, które przybliżą charakter ruchu i głównych jego bohaterów.

Defenestracja. 30 lipca 1419 r. wybuchła insurekcja w Pradze. Husyci zdobyli ratusz, uwolnili więźniów i wyrzucili oknem na bruk katolickich rajców miejskich mianowanych przez króla Wacława IV Luksemburskiego. Następnie powstanie husyckie rozprzestrzeniło się w całych Czechach.

## Leksykon husyty

Wyrzucanie przez okno stało się czeską metodą rozwiązywania problemów politycznych. 24 września 1483 r. kalikstyni defenestrowali katolickiego burmistrza z ratusza staromiejskiego (przeżył) i ciała siedmiu zabitych radnych z ratusza nowomiejskiego. 23 maja 1618 r. z okna zamku na Hradczanach wypchnięto trzech cesarskich urzędników. Przeżyli, bo spadli na kupę kompostu, ale wojna trzydziestoletnia i tak wybuchła. Wreszcie 10 marca 1948 r. znaleziono zwłoki szefa dyplomacji czechosłowackiej Jana Masaryka, zapewne wyrzuconego z okna przez komunistyczną bezpiekę.

Utrakwiści i kalikstyni. Takie nazwy nadano husytom, których pobożność przejawiała się w przyjmowaniu komunii pod obiema postaciami (chleba i wina) przez wszystkich wiernych, a nie tylko przez duchownych. Nazwa „utrakwiści" pochodzi od łacińskiego „pod obiema postaciami" i była zamiennie stosowana z nazwą „kalikstyni" – od łacińskiego „kielich". Z czasem utrakwiści (kalikstyni), pochodzący na ogół ze szlachty i z mieszczaństwa, oznaczali bardziej ugodowe skrzydło husytów niż radykalni taboryci i sierotki.

Taboryci i sierotki. Kaznodzieje husyccy wieszczyli koniec świata. Wierni zakładali komuny na wzór pierwszych chrześcijan i nadawali im nazwy biblijnych gór: Tabor, Horeb, Syjon... Od miejscowości Tabor wziął nazwę radykalny nurt husytyzmu, który nie dążył do zreformowania Kościoła, ale do zorganizowania chrześcijańskiego społeczeństwa od nowa, ustanawiając własną organizację religijną, a także wojskową. Najwybitniejszym wodzem (hetmanem) taborytów okazał się Jan Žižka. Po jego śmierci podkomendni – stanowiący najbardziej bitny oddział taborytów – nazwali się sierotkami.

Kompakty praskie. Oto cztery artykuły praskie, zawierające żądania husytów, zredagowane w 1420 r., podczas pierwszej wyprawy krzyżowej Zygmunta Luksemburskiego:

1. Prawo swobodnego głoszenia Słowa Bożego;
2. Zasada udzielania komunii pod obiema postaciami – czyli chleba i wina – wszystkim wiernym;
3. Pozbawienie Kościoła udziału we władzy świeckiej i majątków ziemskich;
4. Publiczne ściganie i karanie osób popełniających jawnie grzechy śmiertelne.

Dla umiarkowanych husytów najważniejszy był pierwszy artykuł, a dla radykałów – ostatni. 30 listopada 1433 r. delegaci soboru w Bazylei i utrakwistycznego duchowieństwa zawarli w Pradze kompromisową umowę. Sobór uznał autonomię Kościoła w Czechach, zgodził się na komunię pod obiema postaciami, liturgię w języku czeskim i milcząco zaakceptował sekularyzację majątków kościelnych. Kościół czeski miał wrócić na łono rzymskiego katolicyzmu. Umowa obowiązywała do wojny trzydziestoletniej w XVII w.

Jan Žižka z Trocnova. Pochodził z drobnej szlachty (ur. ok. 1360, zm. 1424). W młodości stracił lewe oko, a w 1421 r. – prawe. Zadłużony, parał się zbójectwem do 1409 r. Po amnestii jako najemny wojak wyprawił się na wielką wojnę Polski i Litwy z zakonem krzyżackim. W 1419 r. przyłączył się do insurekcji w Pradze i przyczynił się do zdobycia Wyszehradu. Jesienią

Jan Žižka. Fragment „Bitwy pod Grunwaldem" Jana Matejki FOT. WIKIPEDIA



eprasa.pl cdf2d61de1

1419 r. (w potyczce z Bohuslavem ze Švamberka) i wczesną wiosną 1420 r. (pod Sudomieřem) odniósł pierwsze zwycięstwa dzięki użyciu taboru. Jeden z czterech hetmanów wojsk taboryckich, po licznych zwycięstwach, stał się ich niekwestionowanym przywódcą.

Prokop Wielki (Łysy). Pochodził z rodziny praskich patrycjuszy, studiował na Uniwersytecie Praskim, kapłan, kaznodzieja i taboryta. Łysym nazwano go dlatego, że golił brodę. Po śmierci Jana Žižki został przywódcą obozu taborytów, chociaż nigdy nie otrzymał tytułu hetmana. Odniósł m.in. zwycięstwa: pod Ústí nad Łabą (1426), pod Tachovem (1427), pod Domažlicam (1431). Zwyciężał też podczas wypraw na Morawy, Śląsk i Słowację w 1428 r. oraz do Saksonii, Miśni, Palatynatu, Frankonii i Bawarii w latach 1429–1430. Stanął na czele husyckiego poselstwa do Bazylei (1433). Zginął pod Lipanami, dowodząc oddziałami husyckich radykałów.

Diviš Bořek z Miletínka. Czeski szlachcic, wódz husycki. Po śmierci Jana Husa przystał w końcu do obozu kalikstynów. Dowodził oddziałami praskimi, został hetmanem w Chrudimiu i Litomyślu. W bitwie pod Lipanami poprowadził koalicję katolików i kalikstynów do zwycięstwa nad taborytami.

Jan Čapek z Sán. Hetman sierotek, zwycięzca w wielu kampaniach. W 1433 r. doszedł do Bałtyku, dowodząc wyprawą przeciw Krzyżakom. Z pogromu pod Lipanami wyprowadził oddział jazdy, wzbudzając oskarżenia o zdradę. Pod koniec lat 30. zaciągnął się do armii króla polskiego.

## Bratobójcza rzeź

Wojska taborytów liczyły od kilku do kilkunastu tysięcy zbrojnych. W tamtym czasie feudałowie też nie tworzyli większych wojsk. Żołnierze byli fanatycznie oddani nowemu wyznaniu, odważni i bitni, a jednocześnie nadzwyczaj, jak na ochotników, karni i posłuszni rozkazom swych hetmanów. Zbroili się u licznych czeskich płatnerzy. W kapalinach i tzw. łebkach na głowach, z elementami opancerzenia ciała oraz z dużych rozmiarów tarczami (pawężami) przypominali wojsko zawodowe.

Katolicki rycerz w zbroi płytowej, z mieczem i mizerykordią RYS. MAREK SZYSZKO

Dwa zaskakujące zwycięstwa, jakie na przełomie lat 1419 i 1420 odnieśli pod dowództwem Jana Žižki nad oddziałami rycerskimi (patrz wyżej), zadecydowały o nowej organizacji i taktyce tego wojska. Tabory wozów i dawniej służyły do obrony, ale nikt przed Žižką nie uczynił z nich mobilnych jednostek rozstrzygających o zwycięstwie nad wrogiem. Wóz bojowy husyckiego taboru chroniły od zewnętrznej strony solidne deski z otworami umożliwiającym ostrzał z rusznic i kusz. Załogę stanowiło ok. 20 zbrojnych – cepników i halabardników, strzelców, pawężników oraz artylerzystów. Taki wóz pod względem „opancerzenia" i „siły ognia" odgrywał na polu walki podobną rolę jak współczesny czołg.

Husyci z upodobaniem korzystali ze średniowiecznych armat. Wymieńmy dwie rzeczywiście skuteczne: hufnicę i bombardę. Hufnica była działem polowym z mobilną lawetą, kalibru 150–230 mm, o dużej mocy i zasięgu strzału. Stanowiła podstawę artylerii wagenburgu. Bombardy, które osiągały monstrualny kaliber ponad 800 mm, służyły do burzenia murów obronnych. Były ustawiane na nieruchomych konstrukcjach, a ich krótkie lufy wzmacniano stalowymi obręczami, by nie rozerwały się podczas miotania głazów niemal metrowej średnicy.

Ludowe wojsko taborytów zbrojne było w nabijane gwoździami cepy, które okazywały się orężem nad wyraz skutecznym. Piechurzy używali też halabard i innej długiej broni drzewcowej. Po wielu zwycięstwach nad katolikami nastał jednak czas podziałów w obozie husyckim. W 1431 r. rozpoczął się w Bazylei kolejny sobór, który postanowił uśmierzyć ruch husycki na polu negocjacji. Rokowania były korzystne z punktu widzenia kalikstynów, którzy – jak coraz większa część społeczeństwa – dość mieli wojennej zawieruchy, głodu i wyludnienia całych okolic. Toteż 30 listopada 1433 r. podpisali wspomnianą wyżej umowę z delegatami soborowymi. Taboryci, dążący do stworzenia Królestwa Bożego na ziemi, nie chcieli się na warunki umowy zgodzić. I oto w marcu 1434 r. kalikstyni zawiązali sojusz militarny z… katolikami.

Po klęsce dyplomatycznej nastąpiły klęski wojskowe. Długotrwałe oblężenie bogatego katolickiego Pilzna nie doprowadziło do jego zdobycia. Taboryci nie potrafili przeszkodzić w zaopatrzeniu głodującego miasta w żywność przez swych niedawnych współbraci – kalikstynów, a w pogrom zamieniła się próba zatrzymania kalikstyńskiej odsieczy. W samej Pradze doszło zaś 6 maja 1434 r. do niespodziewanego zdobycia Nowego Miasta, będącego ostoją taborytów, przez kalikstynów ze Starego Miasta praskiego. Prokop Wielki salwował się ucieczką.

Aby odbić stolicę, taboryci Prokopa i sierotki Jana Čapka połączyli siły pod miastem, ale na wieść o katolickiej odsieczy ruszyli na wschód w kierunku Kolina. Podążyli za nimi katolicy i utrakwiści, połączeni pod dowództwem Diviša Bořka z Miletínka, wojaka wyszkolonego przez samego Jana Žižkę. Ich wojsko liczyło 13 tys. piechoty i 1,5 tys. jazdy. 28 maja taboryci zatrzymali się w okolicy wioski Lipany, 20 km przed Kolinem, i założyli tabor dowodzony przez Prokopa Wielkiego. Wagenburg ów składał się z 480 wozów, miał 40 hufnic oraz ok. 10 tys. piechoty i 700 jeźdźców. Żołnierze byli zaprawieni w boju, potrafili wykorzystywać zalety taboru, więc przewaga liczebna przeciwników nie musiała okazać się decydująca.

30 maja 1434 r., po dwóch dniach jałowych negocjacji, zagrzmiały hufnice taborytów, a wrogowie ruszyli do natarcia. A jednak tak doświadczeni dowódcy jak Prokop i Čapek dali się wyprowadzić w pole dawnemu kamratowi – Bořkowi. Znał on moc obronną wagenburgu, więc atak części jego sił miał tylko charakter



eprasa.pl cdf2d61de1

pozorowany, podobnie jak ich przesadnie paniczny odwrót. Również rozłączanie wozów kalikstyńskiego taboru miało tylko imitować przygotowania do odwrotu. Wódz kalikstyńsko-katolickiej armii trzymał dodatkowo w tajemnicy asa – oddział jazdy ukryty w dolince niedaleko obozu radykałów…

Gdy taboryci ujrzeli uciekającego wroga, rozłączyli wozy swego taboru i gromadnie ruszyli w pościg. Kiedy już dostatecznie daleko odbiegli od swoich pozycji, jak spod ziemi wynurzył się oddział wrogiej kawalerii, który bez przeszkód wtargnął do taboryckiego wagenburgu i szybko zyskał przewagę nad szczupłą załogą, która w nim pozostała pod dowództwem Prokopa. Zginął z bronią w ręku. Rozsypani po polu radykałowie z łowców stali się zwierzyną łowną, gdy natarła na nich cała armia katolicko-kalikstyńska. Zginęło 1,3 tys. taborytów i zaledwie 200 ich przeciwników. 700 jeńców zwycięzcy spalili podstępnie w stodołach pod Českim Brodem.

Dwa zwarte oddziały wyprowadzili z rzezi i schronili się w przyjaznych miejscowościach Jan Čapek i Ondřej Keřský. Oni też już 2 czerwca przyrzekli stawić się na negocjacje. W 1436 r. radykałowie przyjęli kompakty praskie, co z kolei pozwoliło cesarzowi Zygmuntowi założyć czeską koronę, a po roku umrzeć w spokoju, z poczuciem uśmierzenia husyckiej rewolucji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

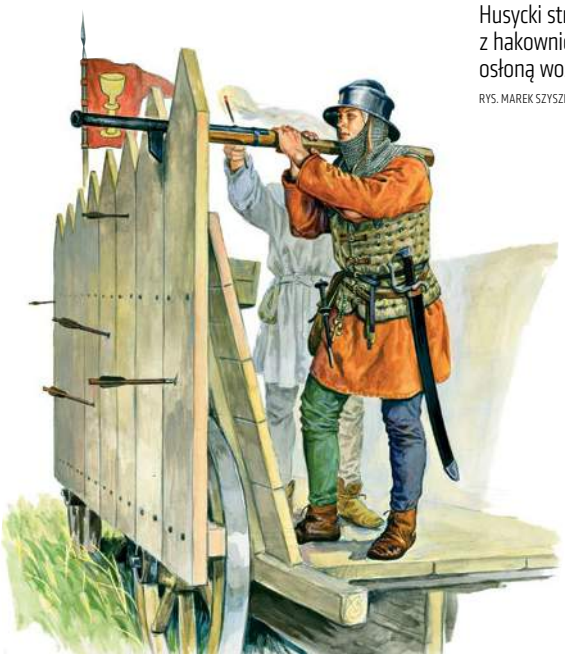

Husycki strzelec z hakownicą, za osłoną wozu taboru

RYS. MAREK SZYSZKO

# Gdy w narodzie pojawia się wspólnota

Maciej Rosalak

Piękne słowa o wspólnocie jednoczącej Polaków w dziejowym dla nich momencie powiedział piękny człowiek – pani Anna Jakubowska „Paulinka", łączniczka i sanitariuszka z batalionu AK „Zośka" w powstaniu warszawskim. Tak wspomina Godzinę „W" na Woli: „Wszyscy na ulicy z biało-czerwonymi opaskami – nieprawdopodobne to było, niezwykłe. A wokół rozentuzjazmowany tłum ludzi, kobiet, dzieci, zapatrzonych w tych chłopaków, starających się pomóc: częstując zupą, budując barykady, drąc prześcieradła na bandaże. Niebywała radość, coś, czego nie da się opowiedzieć. Wielki entuzjazm, wiara, że to jest nasz pierwszy dzień wolności i że okupacja się dla nas kończy. […] Wszyscy byli radośni. Czuliśmy się wolni i mieliśmy nadzieję, że ta wolność będzie już trwać zawsze. Tego uczucia nie da się zapomnieć. […] Było w tym coś niezwykle wzniosłego, nawet w najgorszych przeżyciach. Wiara w to, że wielkie zło można zwyciężyć i my możemy się do tego przyczynić. Są takie chwile w życiu narodu, kiedy w ludziach budzą się najlepsze, najwznioślejsze uczucia. Pojawia się wspólnota, która jednoczy ich wokół jednego celu. Zapominają o osobistych zadrach, niedoskonałościach, zawiści. Gdyby Powstanie trwało dłużej, to zapewne uniesienie też by minęło, ale wtedy, przez te 63 dni, byliśmy wspólnotą" (rozmowa rzeka z Patrycją Bukalską „Szkło pod powieką", Wielka Litera, Warszawa 2018).

To poczucie wspólnoty zmiażdżyły krwawe gruzy cmentarnego rumowiska, w które Warszawę zamienili Niemcy przy celowej bezczynności Sowietów, a potem terror i ordynarna propaganda czasów PRL. Do najbardziej podniosłych momentów, przyniesionych przez dzieje powojennemu pokoleniu, gdy odzyskiwaliśmy poczucie wspólnoty bliskie dziewczętom i chłopcom z „Szarych Szeregów", należy niewątpliwie już pierwszy dzień pielgrzymki papieża Polaka do ojczyzny w 1979 r. Stałem wtedy w tłumnych szeregach na warszawskiej ulicy i usłyszałem wezwanie do Ducha Świętego, by „odmienił oblicze tej ziemi". Po roku z okładem dane mi było trafić do Stoczni Gdańskiej i być świadkiem, jak owo wezwanie się spełnia. Minęło ćwierć wieku i połączył Polaków wielki żal: najpierw po śmierci Jana Pawła II, a po następnych pięciu latach – gdy tysiące rodaków przybywały na Krakowskie Przedmieście, by uczcić pamięć ofiar katastrofy smoleńskiej.

Cóż – entuzjazm Polaków z lat 1979–1980 skutecznie zdeptał milicyjnymi i żołdackimi buciorami stan wojenny, nauczanie Jana Pawła II zawzięcie usiłują wykorzenić ze świadomości społecznej lewackie doktryny, a fenomen Krakowskiego Przedmieścia A.D. 2010 niszczyły haniebne szyderstwa i usuwanie palących się zniczy przez straż miejską. Po tragicznej śmierci prezydenta Gdańska zrazu nieśmiało wyrażano nadzieje na odrodzenie narodowej wspólnoty, ale jeszcze nie odbył się pogrzeb, a już uruchamiano zabójczy dla niej polityczny magiel.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl cdf2d61de1

# Arsenał samuraja

*Michał Mackiewicz,*
*pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie*

**Uzbrojenie japońskie cechowała niepowtarzalna stylistyka, a jego użytkowników – zaawansowane techniki walki**

Głownie japońskich mieczy, najważniejszej broni samuraja, wykonywano z wielu warstw żelaza i stali (dziwerowanie), po czym je nawęglano i poddawano dodatkowo selektywnemu hartowaniu. Głownia składała się z pięciu części: ostrza, rdzenia, dwóch okładzin bocznych oraz grzbietu; rdzeń i grzbiet mogły być wykonane z miękkiego żelaza, pozostałe warstwy były stalowe. Po wykuciu określone miejsca pokrywano izolującą masą (np. gliną) i po jej wyschnięciu głownię hartowano.

Wszystkie te zabiegi, włącznie z polerowaniem, prowadziły do powstania pożądanego wzoru. Podobnie produkowano także wczesnośredniowieczne europejskie miecze, w których starano się osiągnąć zarówno trwałość i twardość, jak i elastyczność. W Japonii jednak proces był bardziej skomplikowany i pracochłonny, dlatego wielu uznaje wyższość mieczy pochodzących z Kraju Kwitnącej Wiśni nad wszelkimi innymi. Rękojeści wykonywano z drewna, rybiej skóry, metalu; tarczowy jelec zwany tsubą stanowił sam w sobie oddzielne dzieło sztuki. Cechą wyróżniającą Japończyków było stosowanie nierozłącznego kompletu zwanego daishō, czyli długiego i krótkiego egzemplarza broni siecznej. Najefektywniejsze ciosy zadawano, trzymając miecz oburącz, ale posługiwano się nim także jedną ręką.

Bronią strzelczą do XVI w. był wyłącznie łuk, w którego posługiwaniu samurajowie intensywnie się szkolili. Funkcjonowało kilka typów, ale najważniejszy był asymetryczny shigeto, znakomicie ułatwiający strzelanie z konia; był to łuk kompozytowy zbudowany z bambusowych listew wzmacnianych trzcinowymi sznurami. Długość łuczyska sięgała przeciętnie 2 m. Broń palna pojawia się w Japonii za sprawą Portugalczyków w pierwszej połowie XVI w. i bardzo szybko stała się jednym z najistotniejszych elementów pola walki. Były to lontowe rusznice, które w niemal niezmienionej formie przetrwały aż do XIX w. Niezwykłym zjawiskiem, cechującym tylko Japonię, były lontowe pistolety.

Ważne miejsce w samurajskim arsenale zajmowała broń drzewcowa. Żeleźca bywały rozmaite, a ich forma wyjątkowa. Do najsłynniejszych należała naginata („dzida-miecz") – jej długie, ponad metrowe szablowe ostrze przymocowywano do ok. dwumetrowego drzewca. Japońską broń drzewcową (podobnie jak chińską) wyróżniały zaawansowane techniki szermiercze, zupełnie odbiegające od tego, co znamy z Europy.

Niepowtarzalny styl japońskiej zbroi cechowała niespotykana ekspresja formy. Techniki sporządzania osłon były jednakowoż takie same jak w innych częściach Azji, a nawet Europy, identyczne były także materiał i poszczególne części: hełm, kirys wraz z fartuchem, nabiodrki, nagolenniki, naramienniki, naręczaki, rękawice. Dominował pancerz lamelkowy, bardzo popularny także w Chinach, Korei i u azjatyckich nomadów. Łatwy w produkcji i stosunkowo elastyczny sprawdzał się we wszystkich warunkach i mógł być używany zarówno przez kawalerzystów, jak i pieszych. Powszechnie stosowano osłony z utwardzonej skóry, a w późnym średniowieczu pojawiła się kolczuga, której używano w celu uzupełnienia właściwej zbroi. Pewien wpływ na rodzime płatnerstwo wywarły kontakty z Europejczykami.

Pojawienie się kołowego arkebuza wymogło zwiększenie odporności kirysu, który zaczęto formować z masywnych płatów stali (tzw. nowoczesna zbroja); nie gardzono też importowanymi napierśnikami, modyfikując je zgodnie z własną modą i tradycją. Poszczególne elementy zbroi pokrywano laką, surowcem niezwykle efektownym i praktycznym zarazem (zwiększenie odporności i zabezpieczenie przed korozją). Hełmy sporządzano ze zbrojników, miewały zazwyczaj wydatny nakarczek i daszek; efekt potęgowały klejnot i niekiedy maska. ©℗



eprasa.pl

# Wybraniec – z rusznicą, szablą i siekierką

Król Stefan Batory uchodzi za jednego z najwybitniejszych wojskowych reformatorów w historii I Rzeczypospolitej. Szczególną wagę przywiązywał do rozwoju piechoty, będącej dotąd formacją pomocniczą w stosunku do jazdy: „W tej Koronie za łaską miłego Pana Boga nic na rycerstwie jezdnym nie schodzi, z którym snadne potrzeby wojenne opatrować się mogą; ale na ludziach pieszych [...], bez których trudno zamki pograniczne, a pod nieprzyjacielem zdobywane i wzięte być mogą". Jednym z rozwiązań był pobór rekruta chłopskiego – powstała w ten sposób tzw. piechota wybraniecka. W 1578 r. sejm w odpowiedzi na królewskie zabiegi postanowił, że w celu pomnożenia pieszych ludzi na potrzeby wojenne wyprawieni mają być tak z miast, miasteczek, jak wsi naszych królewskich jakichkolwiek, wedle słusznej liczby łanów. Sukces był niepełny, gdyż ustawa dotyczyła tylko dóbr królewskich, a pomijała szlacheckie i duchowne. Wybrańcy powoływani mieli być z każdych 20 łanów, a ich gospodarstwa, odrabiane przez chłopów z pozostałych 19 łanów, zwolniono od wszelkich powinności. Rekrut stawić się miał z własnym uzbrojeniem, na które składały się: lontowa rusznica (do tego proch i ołów), szabla i siekierka oraz ubiór, czyli barwa jednolitego koloru, najczęściej niebieskiego. Owo ujednolicone uzbrojenie, zresztą zaadoptowane przez całą w zasadzie ówczesną polską piechotę (w XVII w. należącą do tzw. narodowego autoramentu, w przeciwieństwie do piechoty typu niemieckiego wchodzącej w skład autoramentu cudzoziemskiego), oraz ubiór oparte zostały na wzorcach węgierskich. ©℗

# Tank gewehr

Czołgi zadebiutowały na polu walki latem 1916 r. nad Sommą. Niespełna dwa lata później pojawiła się wyspecjalizowana broń przeznaczona do ich zwalczania – niemiecki Tank und Flieger Gewehr wz. 1918 kal. 13,2 mm. Z wyglądu przypominał XVII-wieczną strzelbę wałową, ważył blisko 18 kg, a odrzut był tak silny, że ponoć łamał strzelcom obojczyki. Ten jednostrzałowy karabin wyróżniały: blisko metrowej długości lufa, odejmowany dwójnóg oraz pistoletowy chwyt. Zamek był w zasadzie geometrycznie powiększonym zamkiem od regulaminowego karabinu piechoty. Masa pocisku wynosiła 117 g, a opuszczał on lufę z prędkością 913 m/s (niekiedy podawane są inne wartości). Przy 90-stopniowym kącie uderzenia pocisk penetrował 15-milimetrowy pancerz z odległości 300 m. Celownik wyskalowany był do 500 m. Do końca I wojny światowej wyprodukowano 15,8 tys. sztuk. T Gewehr stał się protoplastą nowej rodziny broni strzeleckiej – karabinów przeciwpancernych, które w latach 30. XX w. trafiły na uzbrojenie wielu armii. ©℗

# Hakownica lwowska

Należy do najcenniejszych zabytków w kolekcji Muzeum Wojska Polskiego i uchodzi za jeden z najstarszych zachowanych w Polsce okazów ręcznej broni palnej. Spiżowa lufa o ponad 60-centymetrowej długości ma kaliber 15 mm i w przekroju jest ośmiogranna. U wylotu ma wzmacniające kielichowate rozszerzenie; u spodu znajduje się wydatny, trójkątny w formie hak. Na górnej płaszczyźnie lufy umieszczono prostokątną panewkę wraz z otworem zapałowym. Tylna krawędź panewki zaopatrzona jest w niewielki bolec, będący uchwytem do, niezachowanej, ruchomej zasuwki zabezpieczającej proch przed deszczem czy wiatrem. W dennej części lufy jest długie wgłębienie służące do osadzenia drewnianego trzonu/chwytu (którego brak). Przed panewką znajdują się sygnatury – dwa lwy oraz 12 punc układających się w sześciokąt i romb. Oznaczenia te wskazują na puszkarski/rusznikarski warsztat lwowski.

Już w XV w. miasto to należało do najważniejszych ośrodków zbrojeniowych w Królestwie Polskim, a wśród rzemieślników trudniących się tą gałęzią wytwórczości nie brakowało puszkarzy. W dokumentach radzieckich (miejskich) określenia pixidarius, magister pixidum pojawiają się już na początku XV w., w II połowie tego stulecia działa także büchsenmeister. Pierwsze wzmianki o użyciu ręcznej broni palnej w Polsce pochodzą z II połowy XV w. Do końca stulecia pozostawała ona jedynie bronią uzupełniającą, a podstawowym orężem strzelców była kusza – zdecydowanie bardziej szybkostrzelna. ©℗

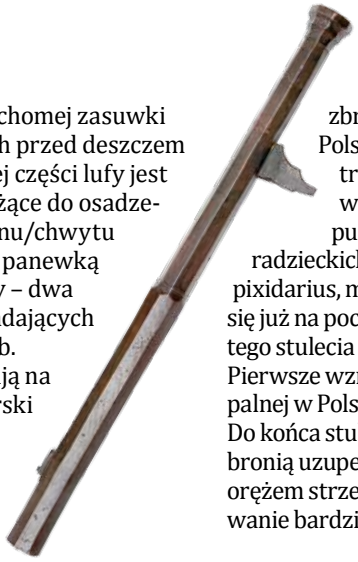



eprasa.pl cdf2d61de1

Tymoteusz Pawłowski

# Czas letni

Przez większą część dziejów ludzkości mierzenie czasu było luksusem. Ludzie żyli zgodnie z porami roku i porami dnia.

Podziału doby na 24 godziny dokonali starożytni – i to tak starożytni, że nie wiadomo dokładnie, dlaczego zdecydowali się na taką liczbę. Polacy dzielenia doby nauczyli się od Czechów, bo stamtąd przyszło chrześcijaństwo. Czesi nauczyli się od Włochów – system ten dość powszechnie nosi nazwę „włoskiego", choć prekursorami byli Arabowie. Doba zaczynała się o zmroku i dzieliła na równe 24 godziny. Latem południe przypadało na godz. 14, a zimą – na 19. W tej skali zbudowano najsłynniejsze i do dziś istniejące zegary w Pradze oraz Wenecji. System ten utrzymał się w Europie do XIX w., choć już wcześniej – w Polsce w XVII w. – zaczęto dobę rozpoczynać o północy, zgodnie z wynikami badań astronomicznych.

Jednak nawet wówczas mierzenie czasu było proste. Ludzie żyli według czasu lokalnego, bo większość swojego życia spędzali w najbliższej okolicy swoich domów, a podróże były rzadkie i powolne. Zmieniło się to w połowie XIX w., gdy linie kolejowe połączyły miasta i państwa. Okazało się wówczas, że w ciągu jednej doby można pokonać dystans wymagający regulacji – coraz powszechniejszych – zegarków. Linie kolejowe rozwiązały sprawę prosto – wprowadzając swój własny czas. I tak w Warszawie, przesiadając się z kolei petersburskiej na kolej wiedeńską, zegarek trzeba było przestawić o kilkadziesiąt minut (a lokalny czas warszawski był jeszcze inny). Gdy jednak koleje zostały zaprzęgnięte do przewozów wojskowych, wówczas system ten wykazał swoje wady.

Należało ujednolicić czas w całym państwie. Zrobili to najpierw Amerykanie, a pięć lat później – w 1888 r. – Austriacy, do których trzy lata później dołączyli Niemcy. Tak się złożyło, że ponieważ w czasach I wojny światowej te dwa ostatnie państwa od 1915 r. okupowały Polskę, po wojnie pozostawiliśmy oficjalnie ten sam czas.

Cały świat został bowiem podzielony na 24 strefy czasowe. Południk zerowy przebiega przez Greenwich w Londynie – to jest pierwsza strefa czasowa, uznawana za uniwersalną. 15 stopni na wschód znajduje się południk wyznaczający środek kolejnej strefy czasowej – przebiegający m.in. przez Stargard pod Szczecinem. Teoretycznie rozciąga się ona od Lublina na wschodzie do Dortmundu na zachodzie. Oznacza to, że o godz. 12 astronomiczne południe jest w Stargardzie – w Lublinie było ono jednak pół godziny wcześniej, a w Dortmundzie będzie pół godziny później. Czas ten nosi nazwę środkowoeuropejskiego i obowiązuje w większości państw Unii – nawet w Hiszpanii. Za wschodnią granicą Polski obowiązuje czas wschodnioeuropejski.

Niestety, chciwość kapitalistów, wojny i perfidia polityków bardzo szybko popsuły to niemal idealne rozwiązanie. William Willett, angielski inżynier, finansista i – co istotne – purytanin, nie mógł znieść, że gdy on rozpoczynał dzień pracy o wschodzie słońca – ok. godz. 4 – robotnicy jeszcze spali. Wszczął więc kampanię polityczną w celu wprowadzenia „czasu oszczędzania światła dziennego". I choć jego pomysł był pod koniec XIX w. dyskutowany przez brytyjski parlament, to nie wprowadzono go w życie.

Gdy wybuchła I wojna światowa, z pomysłu skorzystali Niemcy. Fabryki zbrojeniowe działały na dwie zmiany, praca rozpoczynała się o godz. 6 – kilka godzin po wschodzie słońca, a kończyła o 22 – kilka godzin po zachodzie słońca. Gdyby robotnicy wcześniej zaczynali pracę, można by zaoszczędzić na oświetlaniu pomieszczeń fabrycznych wieczorem. Obawiano się jednak, że zmiana czasu pracy doprowadzi do strajków. Zamiast więc przesuwać godziny pracy, przesunięto... cały zegar. Wiosną 1916 r. na kilka następnych miesięcy popchnięto wskazówki zegara o godzinę do przodu. To samo zrobiono oczywiście w okupowanej Polsce, wzorem niemieckim nazywając te zmiany „czasem letnim". Po kilku tygodniach za Niemcami poszedł cały wojujący świat. Jesienią wszystkie państwa wracały do czasu urzędowego, cofając o godzinę wskazówki zegarków. Trwało to do końca wojny, a w niektórych państwach – w tym w Polsce – z rozpędu również w 1919 r.

Po zakończeniu I wojny światowej zrezygnowano z nienaturalnego czasu letniego. Wracano do niego w czasach kryzysu – na całym świecie używano go w czasie II wojny światowej, a w Polsce również krótko po wojnie i na przełomie lat 50. i 60., gdy oszczędzano na wszystkim, aby eksportem węgla uratować upadający budżet PRL. Cały świat powrócił do okresowych zmian czasu w połowie lat 70., gdy po wojnie Jom Kippur ceny ropy naftowej wzrosły sześciokrotnie. W Polsce wprowadzono go w 1977 r. i do tej pory jest stosowany.

Jednak w XXI w. czas letni staje się coraz mniej atrakcyjny. Niegdyś na oświetlenie poświęcano niemal 40 proc. wyprodukowanej energii. Dzisiaj – 10 razy mniej, a co więcej, niemal tyle samo energii zużywają klimatyzatory. Zmienił się również model dnia pracy – coraz mniej robotników idzie do fabryki na godz. 6, coraz więcej freelancerów rozpoczyna pracę na domowym komputerze o godz. 10.

Negatywne skutki zmiany czasu pojawiają się w zaskakujących momentach. Był taki czas, że za pierwszą ofiarę niemieckiej agresji uznano miasto Wieluń. W niemieckich dokumentach jako czas nalotu podano godz. 5.40. Zakładając – błędnie – różnicę czasu między Polską i Niemcami, ogłoszono, że Wieluń zastał zbombardowany o godz. 4.40 – pięć minut przed atakiem na Westerplatte. Trzeba było zaangażować Instytut Pamięci Narodowej, aby uznać, że „przy ustaleniu, iż nie było wówczas różnicy między czasem polskim i niemieckim [...], atak na miasto Wieluń rozpoczął się o godz. 5.40".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl cdf2d61de1

Enea

enea.pl

eprasa.pl cdf2d61de1

PARTNEREM MATERIAŁU JEST Enea

# Fantastyczna

**Z okazji rocznicy stulecia odzyskania niepodległości w całej Polsce odbyły się tysiące koncertów, konferencji naukowych, wykładów czy konkursów historycznych. Wielu uczestników przyciągnęły biegi niepodległości. Tłumy widzów podziwiały też ogromne murale, nowoczesne pokazy multimedialne i największe w Polsce nocne plenerowe widowisko historyczne**

W zeszłym roku dziesiątki różnych inicjatyw patriotycznych organizowano w niemal każdym mieście Polski. Które z nich były najciekawsze? Które przyciągnęły tłumy?

## FESTIWALE I MARSZE

Na listopadowym Festiwalu Niepodległa na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie bawiło się ponad 300 tys. osób. Uczestnikom proponowano m.in. dwie trasy tematyczne poświęcone stuleciu odzyskania niepodległości. Goście mogli też przyłączyć się do spaceru z przewodnikiem po Trakcie Królewskim, wziąć udział w warsztatach „Tańce polskie", uczestniczyć w warsztatach plastycznych i artystycznych, wysłuchać koncertów, spróbować przysmaków kuchni polskiej, obejrzeć parady zabytkowych aut, historycznych wozów straży pożarnej czy powozów konnych.

Niemal ćwierć miliona osób wzięło zaś udział w warszawskim Biało-Czerwonym Marszu. Był to największy marsz w historii III Rzeczypospolitej. Podobne marsze odbyły się też w wielu innych miastach Polski.

## MUZYKA DLA MILIONÓW

Niezwykłą frekwencją mogli pochwalić się też organizatorzy Koncertu dla Niepodległej, który 10 listopada 2018 r. odbył się na stadionie PGE Narodowym w Warszawie. Na miejscu oglądało go 40 tys. osób. Prawdziwy rekord padł jednak przed telewizorami, gdzie transmisje na pięciu antenach śledziło w sumie ponad 7 mln widzów.

Na scenie wystąpiło wielu znanych artystów – od Krystyny Prońko i Maryli Rodowicz przez Pawła Kukiza do Natalii Nykiel, Natalii Szroeder i Kamila Bednarka – którzy zaśpiewali piosenki mające symboliczne znaczenie w poszczególnych okresach polskiej historii. Podczas koncertu można było sobie więc przypomnieć pieśni legionowe, utwory, które towarzyszyły żołnierzom walczącym pod Monte Cassino i cywilom walczącym w powstaniu warszawskim. Nie zabrakło również piosenek, które dodawały nadziei walczącym z totalitarną władzą, a także tych, które towarzyszyły Polakom na dancingach i dyskotekach. Koncert zakończył się wspólnym wykonaniem „Mazurka Dąbrowskiego".

## STO UTWORÓW W POLSCE I NA ŚWIECIE

W ramach uroczystości rocznicowych sto wybitnych polskich utworów minionego stulecia wybrzmiało również w zeszłym roku w 11 salach koncertowych w Polsce i 11 na świecie: od australijskiego Melbourne i japońskiego Tokio przez Lwów, Paryż czy Londyn do Nowego Jorku. Wśród utworów stulecia polskiej muzyki znalazły się dzieła takich kompozytorów jak Karol Szymanowski, Witold Lutosławski, Andrzej Panufnik, Krzysztof Penderecki, Kazimierz Serocki, Henryk Mikołaj Górecki, Wojciech Kilar,

eprasa.pl cdf2d61de1

Koncert dla Niepodległej na stadionie PGE Narodowym w Warszawie oglądało na miejscu 40 tys. osób, a przed telewizorami ponad 7 mln widzów

FOT. DOMINIK DERAS/NIEPODLEGŁA

# Niepodległa

Mural w Poznaniu oddaje hołd powstańcom wielkopolskim

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Zygmunt Krauze, Eugeniusz Knapik, Paweł Mykietyn czy Agata Zubel.

## „MAZUREK DĄBROWSKIEGO" W TYSIĄCU MIEJSCACH

Aby uczcić rocznicę niepodległości, Polacy nie tylko słuchali koncertów, lecz także sami śpiewali. W ramach akcji „Niepodległa do Hymnu" łącznie w tysiącu miejscach 11 listopada punktualnie o godz. 12 uroczyście odśpiewano „Mazurka Dąbrowskiego".

Hymn odśpiewano nie tylko w polskich miastach i miasteczkach, lecz także na pięciu kontynentach: w Eurazji, Afryce, Ameryce Północnej i Południowej oraz w Australii, czyli na całym świecie poza Antarktydą.

## MAPPINGOWA LEKCJA HISTORII

W obchody rocznicy stulecia odzyskania niepodległości oraz stulecia powstania wielkopolskiego aktywnie włączyła się Grupa Enea, która zaangażowała się w sumie w ponad sto inicjatyw patriotycznych. – W listopadzie 1918 r., po 123 latach nieobecności na mapach politycznych Europy, Polska odzyskała niepodległość. Stało się to głównie dzięki wytrwałości i ofiarności polskiego społeczeństwa. Dzisiaj chcemy upamiętnić bohaterów tamtych wydarzeń. Dla Grupy Enea – firmy społecznie odpowiedzialnej, związanej z Poznaniem – niezwykle ważne są wartości patriotyczne, utrzymanie tradycji pracy organicznej oraz nieustanne działanie na rzecz rozwoju gospodarczego Polski. Jesteśmy dumni z polskiej historii i narodowych osiągnięć, dlatego jesteśmy częścią ogólnopolskich obchodów – powiedział Mirosław Kowalik, prezes Enei.

Innowacyjny koncern surowcowo-energetyczny zafundował m.in. niezwykłą lekcję historii pod nazwą „Wielkopolska wiktoria", będącą połączeniem najnowszych multimedialnych technologii i szczególnej formy wideo-artu. Nowoczesny projekt łączący mapping fasadowy z wielkoformatową animacją onscreen sprawił, że tysiącom widzów zgromadzonych 11 listopada w centrum Poznania zaprezentowano 18 symbolicznych animowanych obrazów, przedstawiających odzyskanie przez Polskę niepodległości i wydarzenia związane z powstaniem wielkopolskim. Multimedialny pokaz był istną ucztą dla oczu i dla uszu – uświetniły go bowiem nie tylko efekty specjalne, lecz także muzyka na żywo.

## PATRIOTYCZNE MALOWIDŁA

W setną rocznicę odzyskania niepodległości wiele budynków w miastach położonych w różnych częściach Polski pokryły wielkie malowidła, które w nowoczesny i radosny sposób pokazują historię w przestrzeni publicznej oraz sprawiają, że wizerunki bohaterów, mężów stanu i liderów odradzającego się narodu czy najważniejsze wydarzenia z historii Polski są widoczne dla każdego przechodnia. Pierwszy mural z serii patriotycznych malowideł, którego mecenasem była Enea, został odsłonięty w czerwcu 2018 r. Wspólnie z poznańską Wyższą Szkołą Umiejętności Społecznych stworzono go w stolicy Wielkopolski na ścianie kamienicy przy ul. Dąbrowskiego 33.

Wielkie malowidło nawiązuje do największego z polskich powstań narodowych zakończonych zwycięstwem Polaków, czyli powstania wielkopolskiego. Grafika przedstawia defiladę baonu zapasowego 10. Pułku Strzelców Wielkopolskich w Poznaniu, odbieraną przez Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego.

eprasa.pl cdf2d61de1

W listopadzie 2018 r. na biało-czerwono podświetlono najważniejsze obiekty na świecie, w tym paryską wieżę Eiffla FOT. MSZ

Z kolei w Pile, na budynku Zespołu Szkół przy ul. Teatralnej, stworzono mural, na którym widnieją wizerunki trzech wybitnych Polaków: Ignacego Jana Paderewskiego, Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego, którzy mimo bardzo odmiennych poglądów na kształt nowej Polski na kartach historii zapisali się niezwykłymi czynami niepodległościowymi.

W Lesznie patriotyczny mural powstał w centrum miasta na ścianie prywatnej kamienicy przy al. Jana Pawła II. Malowidło przedstawia herb Polski z lat 1919–1927 oraz Ignacego Jana Paderewskiego, wybitnego polskiego pianistę i kompozytora, działacza niepodległościowego i męża stanu, którego przyjazd do Poznania w 1918 r. stał się iskrą do wybuchu powstania wielkopolskiego, dzięki któremu m.in. Leszno powróciło do granic niepodległej Polski. Autorem wszystkich trzech wymienionych murali jest prof. Arkadiusz Marcinkowski.

## BIAŁO-CZERWONY ŚWIAT

Tak ważną dla Polaków rocznicę świętowano nie tylko na terenie kraju. Według MSZ polskie placówki za granicą zorganizowały ok. 1,2 tys. inicjatyw związanych z obchodami stulecia odzyskania niepodległości: od konferencji i seminariów przez wystawy i prezentacje multimedialne do spotów internetowych oraz filmów.

W ponad 30 krajach na pięciu kontynentach na kolor biało-czerwony podświetlone zostały najważniejsze na świecie, niezwykle reprezentacyjne obiekty, takie jak najwyższy budynek świata, liczący 823 m wysokości wieżowiec Burdż Chalifa w Dubaju, figura Chrystusa Króla w Rio de Janeiro, piramidy w Gizie oraz posąg Sfinksa, wieża Eiffla w Paryżu, krzywa wieża w Pizie, wieża telewizyjna w Pradze, wieża CN Tower w Toronto, plac Wolności w Tallinie, a także dwa wileńskie mosty – most Łańcuchowy w Budapeszcie, most Parkowy w Kijowie, ateński Zappeion oraz diabelski młyn w Los Angeles. W polskich barwach rozbłysnął również wodospad Niagara, a także gigantyczny billboard na Times Square na nowojorskim Manhattanie.

## NIEZWYKŁE FLAGI

Najdłuższą flagę narodową utkaną światłem można było oglądać 11 listopada w Łodzi podczas spektaklu „Światło dla Niepodległej". Na odległość kilku przecznic ul. Piotrkowskiej utworzyły ją dwa strumienie laserów w polskich barwach narodowych. Monumentalny, innowacyjny multimedialny spektakl świetlno-laserowy, będący zwieńczeniem łódzkich obchodów 100-lecia odzyskania niepodległości, odbył się na placu Wolności, czyli dawnym Nowym Rynku, gdzie sto lat wcześniej doszło do symbolicznego rozbrojenia niemieckiego patrolu. Pokazowi towarzyszyła muzyka wybitnych polskich kompozytorów, m.in. Wojciecha Kilara, Michała Lorenca i Andrzeja Kurylewicza.

Z kolei w Lublinie setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości upamiętniono, m.in. wciągając na Maszt Niepodległości o wysokości 35 m naszą flagę narodową o powierzchni aż 50 mkw. Oficjalnemu odsłonięciu Masztu Niepodległości towarzyszył armatni salut narodowy – zgromadzeni mogli usłyszeć 21 wystrzałów z historycznego działa przeciwlotniczego Bofors.

## „ORZEŁ I KRZYŻ"

Ogromne wrażenie na widzach robiło również wystawiane latem w Murowanej Goślinie największe nocne plenerowe widowisko historyczne: „Orzeł i Krzyż – Niepodległa" w Murowanej Goślinie pod Poznaniem. Niemal 400 aktorów wcielających się w ponad 1,5 tys. postaci zabrało tysiące widzów w niezwykłą podróż w czasie od legend o Lechu, Czechu i Rusie przez początki państwa polskiego z chrztem Polski, triumfy husarii, potop szwedzki i odzyskanie niepodległości w roku 1918 do XX-wiecznego przesłania Jana Pawła II. Wzruszająca i piękna opowieść sprawiła, że każdy mógł poczuć dumę z bycia Polakiem. Atutem widowisk byli również grający w nich wolontariusze: mieszkańcy Murowanej Gośliny, Poznania i sąsiednich gmin w wieku od czterech do 80 lat.

Enea widowiska „Orzeł i Krzyż" wspiera już od trzech lat.

## ROZBIEGANE ŚWIĘTO

W listopadzie zeszłego roku zorganizowano ok. 100 Biegów Niepodległości, które ukończyło niemal 100 tys. osób. W Poznaniu udział w takiej imprezie wzięła rekordowa liczba ponad 22 tys. osób. Bieg wystartował punktualnie o godz. 11.11 i podzielony był na siedem fal. Pierwsi ruszyli powstańcy kościuszkowscy, a następnie listopadowi, krakowscy, poznańscy, styczniowi i wielkopolscy.

W 30. Biegu Niepodległości w Warszawie pobiegło ponad 18 tys. osób, co było frekwencyjnym rekordem, w tym licząca 115 osób drużyna dyplomatów, w której skład oprócz pracowników Ministerstwa Spraw Zagranicznych weszli także przedstawiciele akredytowanego w Polsce korpusu dyplomatycznego. Przed biegiem tysiące startujących odśpiewało polski hymn, a startujący w imprezie uczestnicy, ubrani w białe i czerwone koszulki, utworzyli niezwykłą „żywą" flagę Polski. Tysiące biegaczy wystartowało dla Niepodległej również m.in. w Gdyni, Krakowie czy we Wrocławiu.

Biegacze świętowali niepodległość również poza granicami kraju. Na przykład ponad 700 Polaków wzięło udział w Maratonie Ateńskim. Biegacze mieli na sobie specjalne, okolicznościowe koszulki, a wielu na metę dobiegało, trzymając w rękach polską flagę. Bieg z okazji stulecia odzyskania niepodległości przez Polskę odbył się też nawet w południowokoreańskim Seulu.

A to nie koniec atrakcji. W 2019 r. na widzów i uczestników czekają setki kolejnych inicjatyw. Uroczystości w ramach stulecia odzyskania niepodległości będą zaś organizowane aż do 2022 r.

***Jan Pieniążek***



eprasa.pl cdf2d61de1

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

# Świetlny pokaz historii

**Unikatowe połączenie najnowszych multimedialnych technologii, wyjątkowej formy wideo-artu oraz kilkunastu symbolicznych obrazów pozwoliło na stworzenie w stulecie niepodległości niezwykłej lekcji historii pod nazwą „Wielkopolska wiktoria". Przepiękny pokaz multimedialny był jedną z głównych atrakcji obchodów Święta Niepodległości w Poznaniu**

Wielkopolska wiktoria" to nazwa widowiska multimedialnego opartego na nowatorskim projekcie połączenia mappingu fasadowego z wielkoformatową animacją onscreen. Cóż to takiego? Najprościej rzecz ujmując, to pokaz multimedialny polegający na rozświetlaniu obiektów i ich elementów za pomocą świateł z potężnych projektorów. Zmieniające się cienie na obiekcie, zmiany kolorów oraz poruszające się elementy oświetlanego projektorem budynku sprawiają, że odbiorcy mają wrażenie trójwymiarowości prezentowanych treści, a także ulegają iluzji, np. rozpadającego się po wybuchu budynku.

Dzięki wykorzystaniu najnowszych technologii wizualnych tysiącom poznaniaków i turystów zaprezentowano 18 animowanych obrazów, przedstawiających odzyskanie przez Polskę niepodległości i wydarzenia związane z powstaniem wielkopolskim.

Jego twórcy dopasowali go do architektury na poznańskim placu Wolności. Podczas finału uroczystości „ożył" zaś budynek Arkadii, naoczny świadek wydarzeń powstania wielkopolskiego. Najnowsze technologie pozwoliły na stworzenie niezwykłej lekcji historii. Podczas zaledwie pięciu minut zaprezentowano widzom najważniejsze wydarzenia sprzed stu lat. Widzowie mogli zobaczyć m.in. „zamach na ratusz" z 13 listopada 2018 r., gdy polscy żołnierze z POW wtargnęli do poznańskiego ratusza, żeby przypomnieć Niemcom, kto tu jest w większości.

Podczas niezwykłej lekcji historii można było też podziwiać entuzjastyczne powitanie światowej sławy pianisty i orędownika sprawy niepodległości Polski Ignacego Jana Paderewskiego na dworcu kolejowym w Poznaniu 26 grudnia 1918 r. Nie zabrakło też wątków bitewnych, w tym przypomnienia zwycięskiej bitwy pod Zdziechową (30–31 grudnia 2018 r.), a także przypomnienia, jak powstanie wybuchało w kolejnych miastach: w Gnieźnie, Mogilnie, Kruszwicy, Strzelnie i Inowrocławiu. Obrazom towarzyszyły widowiskowe wybuchy, odgłosy broni maszynowej i też silników samolotów (gdy 6 stycznia powstańcy wielkopolscy zdobyli lotnisko Ławica). Widzowie mogli też oglądać zdjęcia z przekazania dowództwa wojsk wielkopolskich pod rozkazy naczelnika państwa (25 maja 1919 r.).

Multimedialny pokaz był istną ucztą zarówno dla oczu, jak i dla uszu – uświetniły go bowiem nie tylko efekty specjalne, lecz także muzyka na żywo. Jednocześnie na specjalnie przygotowanym telebimie prezentowano najistotniejsze fakty i treści historyczne.

Tak zwany mapping był jedną z wielu rocznicowych inicjatyw Grupy Enea, firmy społecznie odpowiedzialnej, funkcjonującej w bliskim kontakcie ze społecznościami lokalnymi. Enea była również m.in. partnerem wyjątkowego „Kurjera Powstańczego" – okolicznościowego wydawnictwa, które trafiło do rąk poznaniaków świętujących odzyskanie niepodległości.

eprasa.pl cdf2d61de1

# Bohaterowie na murach

Dzięki Enei – której celem jest budowanie świadomości historycznej oraz odpowiedzialne promowanie nowoczesnego podejścia do patriotyzmu i która włączyła się w ogólnopolski Program Wieloletni „Niepodległa" – murale patriotyczne powstały w kilku wielkopolskich miastach, m.in. w Poznaniu, Pile i Lesznie. Wielkie malowidła w nowoczesny i radosny sposób pokazują historię w przestrzeni publicznej, sprawiając, że wizerunki bohaterów, mądrych mężów stanu i liderów odradzającego się narodu oraz najważniejsze wydarzenia z historii, z której Polacy mogą być dumni, są widoczne dla każdego przechodnia każdego dnia.

Tego typu dzieła są dobrą inspiracją do tego, aby historią własnego kraju, regionu oraz miasta zainteresowali się wszyscy ci, którzy na co dzień nie pamiętają o tego typu wydarzeniach. Nowe formy ekspresji patriotyzmu świetnie trafiają również do młodych ludzi.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

**W roku obchodów setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości na ścianach wielu szkół i kamienic w różnych miastach kraju powstały dzieła nawiązujące do wydarzeń historycznych oraz twórców odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej**

## CHWAŁA ZWYCIĘSKIM POWSTAŃCOM

Murale jako rodzaj sztuki monumentalnej upiększają także miejską przestrzeń i stają się swego rodzaju atrakcją turystyczną. Tak się stało choćby w stolicy Wielkopolski, gdzie Enea, angażując się w projekt murali patriotycznych, przypomina wydarzenia oraz osoby związane z walką i odzyskaniem niepodległości. Pierwszy mural z serii patriotycznych malowideł został odsłonięty w czerwcu 2018 r. Wspólnie z poznańską Wyższą Szkołą Umiejętności Społecznych Enea stworzyła go na ścianie kamienicy przy ul. Dąbrowskiego 33.

Wielkie malowidło nawiązuje do powstania wielkopolskiego, największego z polskich powstań narodowych zakończonych zwycięstwem Polaków. Grafika przedstawia defiladę baonu zapasowego 10. Pułku Strzelców Wielkopolskich w Poznaniu, odbieraną przez Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego. Miejsce wydarzenia to dzisiejszy plac Mickiewicza, w tle widoczne są Zamek Cesarski, a także flaga powstańcza z orłem w koronie. Na górze muralu widnieje napis: „Chwała Powstańcom". Całość przedstawiono w tradycyjny sposób.

Projekt malunku przygotował dr hab. Arkadiusz Marcinkowski. Autorką linii kreatywnej jest zaś dr Agnieszka Woch-Juchacz. Wykonanie muralu trojgu artystów zajęło cztery dni. Patronat nad akcją objęli wojewoda wielkopolski Zbigniew Hoffmann, Niepodległa oraz Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych w Poznaniu.

## OJCOWIE NIEPODLEGŁOŚCI

Na budynku Zespołu Szkół przy ul. Teatralnej w Pile pojawił się mural, na którym widnieją wizerunki trzech wybitnych Polaków. Na kartach historii zapisali się oni niezwykłymi czynami niepodległościowymi.

Ze ściany na przechodniów spoglądają Ignacy Jan Paderewski, Józef Piłsudski i Roman Dmowski, którzy – mimo bardzo odmiennych poglądów na kształt nowej Polski – wolność i niepodległość cenili jako wartości bezwzględne i nadrzędne. Mural na ścianie pilskiego zespołu szkół zaprojektował prof. Arkadiusz Marcinkowski z Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych w Poznaniu. Wykonawcą dzieła są członkowie śląskiej grupy Epic.

Dzięki temu, że popularna pilska „Teatralka" mieści się niedaleko dworców PKP i PKS oraz dużego centrum handlowego, niepodległościowy przekaz odbierać będą nie tylko uczniowie, lecz także tysiące przechodniów.

## PIANISTA I MĄŻ STANU

W Lesznie patriotyczny mural powstał w centrum miasta na ścianie prywatnej kamienicy przy al. Jana Pawła II. Malowidło przedstawia herb Polski z lat 1919–1927 oraz Ignacego Jana Paderewskiego, wybitnego polskiego pianistę i kompozytora, działacza niepodległościowego i męża stanu. To jego przyjazd do Poznania w 1918 r. oraz płomienne przemówienie do tłumów wygłoszone z balkonu poznańskiego hotelu Bazar stały się impulsem do wybuchu powstania wielkopolskiego, dzięki któremu Leszno i Wielkopolska powróciły do granic niepodległej Polski.

Mural jest wspólnym projektem Enei oraz samorządu Leszna, wojewody wielkopolskiego, Klubu Sportowego Unia Leszno i Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych. Autorem grafiki jest prof. Arkadiusz Marcinkowski.

eprasa.pl cdf2d61de1

# Orzeł i Krzyż

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

**Niemal 400 aktorów wcielających się w ponad 1,5 tys. postaci. Scena o wielkości sześciu boisk piłkarskich. A do tego spektakularne efekty specjalne, niesamowite mappingi, projekcje na ekranach wodnych, konie i akrobaci. To elementy niezwykłego przedstawienia prezentującego historię Polski od czasów założenia państwa do powstania Solidarności i przesłania papieża Polaka**

Od trzech lat innowacyjny koncern surowcowo-energetyczny Enea wspiera największe w Polsce plenerowe widowisko historyczne. Scenariusz rozgrywanego latem po zachodzie słońca przedstawienia opowiada historię Polski za pomocą obrazów znanych głównie z malarstwa historycznego. Półtoragodzinny spektakl w Murowanej Goślinie pod Poznaniem to niezwykła podróż w czasie. Od legendy o Lechu, Czechu i Rusie przez początki państwa polskiego z chrztem Polski, triumfy niezwyciężonej husarii, potop szwedzki i odzyskanie niepodległości w roku 1918 do XX w. z przesłaniem Jana Pawła II i Solidarności.

Na trybunach może zasiąść nawet 2 tys. widzów. Od momentu pierwszego wystawienia „Orła i Krzyża" przedstawienie obejrzało już ponad 45 tys. osób. W czerwcu 2018 r. odbyła się zaś premiera widowiska „Orzeł i Krzyż" ze specjalnym dopiskiem „Niepodległa" – znalazły się w nim bowiem szczególne elementy nawiązujące do setnej rocznicy odzyskania niepodległości. – Dla Enei, firmy odpowiedzialnej społecznie i zaangażowanej, to niezwykle ważne, by uczcić pamięć o bohaterach tamtych wydarzeń – podkreśla Magdalena Hilszer, kierownik Biura Komunikacji w Enei.

Pozostający na długo w pamięci spektakl, pełen podniosłych i emocjonujących scen, to rewelacyjny sposób nie tylko na zaszczepienie w dzieciach zainteresowania historią, lecz także na spędzenie czasu z rodziną. Wzruszająca i piękna opowieść sprawia również, że każdy może poczuć dumę z bycia Polakiem. Atutem widowisk są również grający w nich wolontariusze: mieszkańcy Murowanej Gośliny, Poznania i sąsiednich gmin w wieku od czterech do 80 lat.

Widowisko „Orzeł i Krzyż – Niepodległa" to część projektu historycznego „Parku Dzieje", inspirowanego parkiem historyczno-rozrywkowym Puy du Fou, który jest drugim po Disneylandzie największym parkiem rozrywki we Francji. Latem w Murowanej Goślinie pod Poznaniem można więc nie tylko zobaczyć niezwykły spektakl nocny, lecz także obejrzeć widowisko dzienne „Zawisza", przedstawiające historię z czasów Władysława Jagiełły i wojen krzyżackich, podziwiać pokazy sokolnicze, wziąć udział w warsztatach rękodzieła, zbudować własną katapultę czy poznać staropolskie gry i zabawy, takie jak strzelanie z łuku czy rzut podkową. W „Parku Dzieje" można także wziąć udział w biesiadzie staropolskiej, tradycyjnej uczcie z jadłem, tańcami i odgrywanymi scenami szlacheckich zabaw.

W tym roku w „Parku Dzieje" będzie wystawiane widowisko „Orzeł i Krzyż – Zwycięskie powstanie". Spektakle będą wystawiane od 21 czerwca do 13 lipca.

eprasa.pl cdf2d61de1

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

15 KWIETNIA 1809 ROKU ARCYKSIĄŻĘ FERDYNAND D'ESTE PRZEKROCZYŁ GRANICĘ KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO, PROWADZĄC ZE SOBĄ 38 TYSIĘCY ŻOŁNIERZY I NIEMAL 100 DZIAŁ. ZNACZNA CZĘŚĆ WOJSK POLSKICH BYŁA W TYM CZASIE ZAANGAŻOWANA W HISZPANII, GDZIE WSPIERAŁA DZIAŁANIA MILITARNE NAPOLEONA. KSIĄŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI MIAŁ DO DYSPOZYCJI OKOŁO 18 TYSIĘCY W WIĘKSZOŚCI NIEDOŚWIADCZONYCH ŻOŁNIERZY I 32 DZIAŁA.

KLUCZOWE BYŁO TAKIE ROZMIESZCZENIE DZIAŁ, ABY OBJĘŁY ONE SWYM OGNIEM WSZYSTKIE MIEJSCA, W KTÓRYCH WOJSKA FERDYNANDA MUSIAŁY PRZEJŚĆ PO GROBLACH CZY MOSTACH. ZAJĘLI SIĘ TYM GENERAŁOWIE: JEAN-BAPTISTE PELLETIER ORAZ STANISŁAW FISZER.

OKOŁO GODZINY 14 RUSZYŁ, JEDNOCZEŚNIE W KILKU MIEJSCACH, ATAK WOJSK AUSTRIACKICH. JEDNAK TYLKO NA PRAWYM SKRZYDLE POLSKIE ODDZIAŁY ZOSTAŁY ZMUSZONE DO WYCOFANIA SIĘ W STRONĘ FALENT MAŁYCH.

WKRÓTCE DOTARŁ TAM Z RASZYNA PONIATOWSKI.

I CHWILĘ PÓŹNIEJ SAM POPROWADZIŁ UDANY KONTRATAK.

ZAŚ WIECZOREM TEGO SAMEGO DNIA PONIATOWSKI ZAGRZEWAŁ DO WALKI KANONIERÓW BRONIĄCYCH DOJŚCIA DO RASZYNA.

OGIEŃ DZIAŁ POWSTRZYMAŁ AUSTRIAKÓW I ZMUSIŁ DO WYCOFANIA. BITWA POD RASZYNEM BYŁA UDANYM CHRZTEM BOJOWYM DLA POLSKICH ŻOŁNIERZY I WZMOCNIŁA ICH MORALE. ZDOBYTE DOŚWIADCZENIE BOJOWE PRZYDAŁO SIĘ W NASTĘPNYCH MIESIĄCACH W KOLEJNYCH POTYCZKACH Z WOJSKAMI AUSTRIACKIMI.



eprasa.pl cdf2d61de1

Sławomir Cenckiewicz

/ Felieton

# Na odejście Pana Premiera

W nieznanym szerzej artykule „Podwójne znaczenie daty 4 czerwca w III RP – dwie koncepcje budowy państwa" Jan Olszewski napisał, że istnieje jedno osiągnięcie jego rządu „równoważące wszystkie inne mankamenty", którym nie zdołał zapobiec. Jest nim zablokowanie parafowania protokołu do układu polsko-rosyjskiego, który przewidywał wykorzystanie terenów po sowiecko-rosyjskich wojskach w Polsce dla rozwoju rosyjskich przedsiębiorstw o statusie międzynarodowym.

Zgadzając się z tą refleksją, trzeba przyznać, że z perspektywy czasu cała operacja obalenia przez Lecha Wałęsę i jego koalicjantów rządu Jana Olszewskiego w czerwcu 1992 r. miała swój kontekst rosyjski. Wszystko zaczęło się już na początku 1992 r., kiedy to minister obrony narodowej Jan Parys stanął przed setką generałów WP i zapowiedział „przejście z opcji wschodniej na opcję atlantycką", a oficerom uwikłanym we współpracę z Sowietami dał siedem dni na wystąpienie z armii. Chcąc „usunąć wszelkie nitki zadzierzgnięte w czasach Układu Warszawskiego", pierwszy cywilny minister obrony wysłał na emeryturę związanych z Jaruzelskim: wiceadmirała Piotra Kołodziejczyka i członków WRON – generałów Jerzego Jarosza i Mirosława Hermaszewskiego. Później doszła do tego dymisja szefa WSI kontradmirała Wawrzyniaka i wreszcie wspomniana już sprawa traktatu polsko-rosyjskiego.

Rada Ministrów jednoznacznie skrytykowała artykuł 7, przygotowywanej przy decydującej roli Wałęsy i jego otoczenia, umowy traktatowej między Polską i Rosją ze względu na możliwość tworzenia spółek polsko-rosyjskich w dawnych bazach sowieckich. Wałęsa nie chciał w ogóle o tym rozmawiać nawet wówczas, gdy został ostrzeżony przez szefa MSW, że Rosjanie mogą posłużyć się jego agenturalną teczką, by osiągnąć postawione cele.

W tej sytuacji premier Jan Olszewski był zmuszony wysłać przebywającemu w Moskwie Wałęsie, szyfrogram z kategorycznym sprzeciwem rządu wobec treści spornego artykułu. Ostatecznie zmieniono zapisy traktatowe, ale po powrocie do kraju Wałęsa oskarżył rząd o „nieodpowiedzialność" i zdecydował o jego obaleniu (26 maja 1992 r.). Upadek rządu przesądziła uchwała lustracyjna Sejmu RP z 28 maja 1992 r. i ogłoszenie w jej wyniku, że Wałęsa był agentem bezpieki o ps. Bolek.

Jaruzelski tak dziękował Wałęsie za inicjatywę obalenia rządu Olszewskiego: „Rad jestem, że sprawy zostały opanowane, i chcę podkreślić w tym szczególną rolę Lecha Wałęsy". Wdzięczność dyktatora wynikała nie tylko z osobistego interesu, lecz także przede wszystkim z troski o okrągłostołowe status quo w sprawach związanych z armią, lustracją i rozliczeniem zbrodni komunizmu. Niemal otwarcie przyznał to wówczas Kiszczak: „Odczuwam ulgę, ale częściową. Po prostu nie sądziłem, że ci, którym władzę przekazaliśmy nieomal na złoconym talerzu, będą postępowali tak, jak postępują. Nie sądziłem, że zostanie rozpętana afera teczkowa, że Sejm przyjmie uchwałę lustracyjną ze wszystkimi jej konsekwencjami. Nie po to organizowaliśmy »okrągły stół«, nie po to byłem jednym z jego konstruktorów, by działo się to, co się dzieje. […] Był to najdogodniejszy moment [do oddania władzy], przeciwnik był tak osłabiony, że uznaliśmy, że obędzie się bez jakichkolwiek awantur. Inna rzecz, że nie przewidzieliśmy, iż rząd premiera Mazowieckiego, że grupa mądrych ludzi z obozu »Solidarności«, tak łatwo odda władzę oszołomom politycznym".

Słowa wdzięczności płynące od Jaruzelskiego i Kiszczaka za zniszczenie rządu w nocy z 4 na 5 czerwca 1992 r. są najlepszym wytłumaczeniem stosunku większości elit III RP do Jana Olszewskiego. W szczególny sposób objawiło się to 16 lutego br., podczas pogrzebu premiera. Kiedy tysiące Polaków żegnały premiera, odprowadzając go na wojskowe powązki, ten, który stał się sprężyną haniebnych wydarzeń sprzed 27 lat, wyżywał się w obelżywych wpisach na Facebooku.

W sumie to nic wyjątkowego, a nawet po części zrozumiałe… We wspomnianym na początku artykule Jan Olszewski określał prorosyjskie działania Wałęsy z 1992 r. jako „akt zdrady stanu". ©℗



eprasa.pl cdf2d61de1

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
VII EDYCJI NAGRODY

# STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

STRAŻNIK PAMIĘCI

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl cdf2d61de1